CENA DEPRESJI
Półtora miliona Polaków bez pomocy

AKTYWISTKA
Anna Alboth: Z czym wracam spod granicy

ABP RYŚ
Chrześcijaństwo bez Jezusa

CHWAŁA „KIEPSKICH”
Jeśli w Europie, to tylko z Ferdynandem

CIUCHOLANDY
Kiedy śmieci są skarbami

Kraków 12 grudnia 2021 nr 50 (3779) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DOMINIKA BEDNARCZYK KONRAD W „DZIADACH”

Ja, Naród

W WYDANIU DODATEK FRANCJA I SOLIDARNOŚĆ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

MUZEUM WARSZAWY

Błażej Brzostek

Wstecz. Historia Warszawy do początku

Wywrotowa biografia miasta!

Brzostkowi udało się ukazać Warszawę nieuchwytną – miasto, które jako stolica należy do Państwa, Narodu, Historii, ale jest równocześnie własnością i prywatnym światem każdego mieszkańca. Mądra i wciągająca książka.

Grzegorz Piątek

Nowa książka Muzeum Warszawy

www.sklep.muzeumwarszawy.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny”
– artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu!

Czytelniczko, Czytelniku!

Kupujesz pismo w kiosku? Na stacji? W saloniku prasowym?
A może rozważysz zakup TYGODNIKA z dostawą do domu?

To wygodne, pewne, szybkie i bezpieczne, a dodatkowo pod koniec stycznia dostaniesz W PREZENCIE nasz autorski notes kulinarny „Smaki” – dostępny WYŁĄCZNIE dla Prenumeratorów! **Wybierz najlepszą dla siebie opcję dostawy** – o wszystkich przeczytasz na sąsiedniej stronie, a w styczniu dostaniesz „Smaki” bez dodatkowych kosztów.

+

ZAMÓW NA
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
już od 155 zł

CIESZ SIĘ WYSMAKOWANYM PREZENTEM!

Dziękujemy za to, że wybieracie „Tygodnik”, że jesteście z nami.

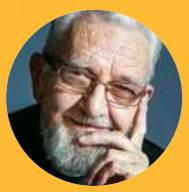

ks. Adam Boniecki
redaktor senior
obieżyświat

Piotr Mucharski
redaktor naczelny
działkowiec

Agnieszka Grzywa
koordynatorka
Działu Prenumeraty
cyklistka

sprawdź cennik →

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

CENNIK WAŻNY OD 1 GRUDNIA 2021

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną) można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Do KAŻDEGO zamówienia autorski, wyjątkowy notes kulinarny W PREZENCIE!

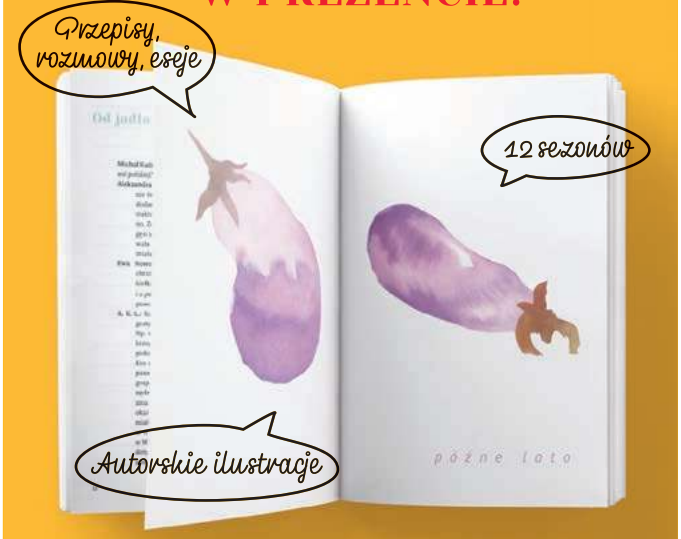

Notes kulinarny „Smaki” otrzymasz już w styczniu na nasz koszt!

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Czy Kościół ma sens?*

Nie ja wymyśliłem to pytanie. Tak zatytułowali swoją książkę arcybiskup Grzegorz Ryś i nasz redakcyjny filozof i teolog (świecki) Piotr Sikora. O tym rzeczywiście jest ich długa, przyjacielska rozmowa, której fragment publikujemy w tym numerze. Przyjacielska, bo rozmówcy mówią do siebie po imieniu, co w przypadku rozmów z arcybiskupami jest rzadkością, a tu okazuje się zaletą książki – jej klimat dobrze działa na czytelnika. Rozmówcy wiele razy są odmiennego zdania i spierają się, ale przecież się nie kłócą. Piotr Sikora wziął na siebie rolę rzecznika tych, którzy zadają – sobie i innym – tytułowe pytanie i którzy sugerują zasadnicze zmiany w Kościele.

Ktoś może powie, że książka ukazuje się za późno, bo dziś nikogo już nie interesuje sensowność czy nonsensowność istnienia Kościoła. Moje doświadczenie jest inne, choć trudno negować poczucie zawodu instytucją, której autorytet jeszcze niedawno był w Polsce tak znaczny.

Co się stało? Oczywiście swoje zrobiło ujawnienie skandali i przestępstw. Co jeszcze? Arcybiskup Ryś mówi: „uczymy was dwanaście lat religii, a w efekcie macie Boga, który jest abstrakcyjnym, teoretycznym pojęciem. Nie jest osobą. (...) Uczymy (...) zredukowanej teologii, zasad katechizmowych. I dobrze, że tego uczymy, ale temu nauczaniu nie towarzyszy w żaden sposób propozycja spotkania z Bogiem. Nasz przekaz jest tak jednostronny, że na końcu zostaje zbiór pojęć i zasady etyczne”. I dalej: „Doświadczenie masowego Kościoła nie służy umiejętności zejścia na poziom indywidualny. A to zejście jest konieczne”...

Czyż nie masowość była siłą Kościoła w PRL-u? Czy nie masowości zawdzięczaliśmy ten nieustannie limitowany i zagrożony obszar wolności? Chyba nie powinny nikogo dziwić ostre reakcje przywódców ówczesnego Kościoła na brak entuzjazmu dla różnych manifestacji tej masowości oraz nasz sceptycyzm wobec jej imponujących przejawów?

Odpowiedź „takie były czasy, taka była sytuacja” jest oczywiście słuszna, jednocześnie wiele tłumacząc z tego, co dziś przeżywamy. A przecież nadal obserwujemy działania, jakby w „doświadczeniu masowego Kościoła” nie zaszły żadne zmiany. Podejmuje się akcje żywcem z tamtej epoki: pielgrzymki cudownych obrazów, masowe uroczystości na Jasnej Górze, zbiorowe ślubowania itp. Owszem, ludzie się gromadzą, ale widzi się tylko tych, którzy przychodzą, być może wiedzeni nostalgią do lat młodości. Natomiast nie widzi się tych, którzy nie przychodzą, do których to kompletnie nie przemawia, ludzi pokolenia, które widok masowego Kościoła raczej przeraża, niż pociąga.

Wśród podejmowanych tematów znalazły się także pandemia i ograniczenia możliwości spotykania się w kościołach. W tym kontekście pada pytanie: „do czego ty chciałbyś wrócić, a do czego nie?”. To pytanie można rozszerzyć na obecną sytuację Kościoła w Polsce: „do czego ty chciałbyś wrócić, a do czego nie?”. Abp Ryś mówi przytomnie (to już z książki, a nie z zamieszczonego u nas jej fragmentu): „potrzebna jest lepsza równowaga pomiędzy spotkaniem indywidualnym a spotkaniem we wspólnocie. Nie wystarczy, że ludzie będą przychodzić do kościoła”.

Nie chodzi o to, by przywrócić Kościołowi blask dawnej potęgi i chwały, ale żeby był tym, czym ma być: miejscem spotkania z Bogiem. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Moc czytania na Boże Narodzenie

Wigilia starsza niż chrześcijaństwo | Radek Rak: Tak, to czas magiczny
Poszukiwacze zaginionej nadziei | Gwiazda z drona i pasterze graniczni
Świat ze światła | Pierogowym szlakiem | Szlachetna Paczka po latach
Opowieść wigilijna Andrzeja Stasiuka **oraz:**
Nasz brat Frankenstein | Zakamarki ciemnej energii
Prawdziwa żydowska arystokracja | O czym śnią niedźwiedzie

Podwójny, bożonarodzeniowy numer „Tygodnika Powszechnego” ukaże się w środę 15 grudnia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

26 Państwo hybrydowe
RAFAŁ MATYJA
Cena, jaką przyjdzie nam zapłacić za kolejne zwycięstwo PiS, wciąż rośnie. Istotą tych rządów jest dewastacja struktur państwowych i samorządowych, a także odebranie im logiki działania, obliczonej na dobro wspólne.

38 Chrześcijaństwo bez Jezusa
ROZMOWA Z ARCYBISKUPEM GRZEGORZEM RYSIEM, METROPOLITĄ ŁÓDZKIM:
Mamy tendencję, by sprowadzać chrześcijaństwo do kilku prostych zasad etycznych.

80 Jej imię
ROZMOWA Z DOMINIKĄ BEDNARCZYK, AKTORKĄ:
W pewnym momencie Konrad mówi: „Ja kocham cały naród". To zdanie nie mogło mi przejść przez usta. Dojrzewałam do niego trzy miesiące. Tak wielki był we mnie poziom gniewu – konsekwencji bezradności.

32 Jest miejsce u mnie
ROZMOWA Z ANNĄ ALBOTH, AKTYWISTKĄ:
Słowo „push-back" było niezrozumiałe. Szukając zastępstwa, doszliśmy do wniosku, że „wywózka" i „łapanka" oddają to, co się dzieje na granicy. Nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie.

50 Etiopska matrioszka
AGATA KAŹMIERSKA
Zachodni analitycy alarmują, że ta wojna może przerodzić się w koszmar jak w Rwandzie. A w samej Etiopii? Tu ludzie patrzą fatalistycznie na bieg zdarzeń.

94 Miejsce niespodzianki
EWELINA BURDA
Nigdy nie wiesz, co uda się dziś upolować. Wizyty w ciucholandzie składają się na opowieść o tym, jak niepotrzebny śmieć może stać się prawdziwym skarbem.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // THOMAS ALBOTH // AMANUEL SILESHI / AFP / EAST NEWS // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE // JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

8 Na pandemicznym podium
MACIEJ MÜLLER

9-15 Obraz tygodnia

24-25 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

26 Państwo hybrydowe
RAFAŁ MATYJA

30 Wietnamski szlak
BARTOSZ JÓZEFIAK: *Przemyt ludzi przez wschodnią granicę nie zaczął się latem*

32 Jest miejsce u mnie
ROZMOWA Z ANNĄ ALBOTH, AKTYWISTKĄ

WIARA

38 Chrześcijaństwo bez Jezusa
ROZMOWA Z ARCYBISKUPEM GRZEGORZEM RYSIEM, METROPOLITĄ ŁÓDZKIM

42 Szczepionka na fundamentalizmy
DAWID GOSPODAREK: *Czy Kościół ma jeszcze potencjał do zniwelowania społecznych lęków?*

44 Pobożne grzechy
WACŁAW OSZAJCA SJ: *Adwent to czas zwiększonych kolejek przy konfesjonałach. Porozmawiajmy o spowiedzi*

ŚWIAT

50 Etiopska matrioszka
AGATA KAŹMIERSKA

54 Duszone sumienie Rosji
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Po wyzerowaniu kadencji prezydenckich Putina kolejną operacją polityczną Kremla jest wyzerowanie pamięci*

TEMAT TYGODNIKA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

16 Jak dobrze byłoby nie być
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Epidemia nie tylko stworzyła nową grupę chorych na depresję, ale też nasiliła objawy wcześniej cierpiących.

21 Zatroszcz się o siebie
ROZMOWA Z MARTYNĄ SZEWCZYK-JANICKĄ, PSYCHOLOŻKĄ I PSYCHOTERAPEUTKĄ:
Z szukaniem pomocy nie warto zwlekać. Kiedy u człowieka rozwija się epizod depresyjny, życie przynosi kolejne wyzwania i trudności.

DODATEK

67 Francja i Solidarność

FELIETONY

37 JACEK PODSIADŁO **49** WOJCIECH BONOWICZ
74 HANNA KRALL **92** JAN KLATA
93 PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DOMINIKA BEDNARCZYK
Kraków, grudzień 2021 r.
FOTO: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

56 Covidowe paszporty niezgody
AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU: *W Szwajcarii obywatele głosują w sprawie obostrzeń pandemicznych*

59 Cypryjski mur
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK Z NIKOZJI *o podzielonym Cyprze*

HISTORIA

62 Czy była alternatywa?
ŁUKASZ KAMIŃSKI: *Stan wojenny długo postrzegano jak naturalną katastrofę. Na ile ta historia mogła potoczyć się inaczej?*

NAUKA

76 Ciało krzemowe
DANIEL KOZŁOWSKI: *Kto powiedział, że biolog nie może zbadać również komputera?*

79 Duży dym, małe dzieci
BARTOSZ KABAŁA: *Brudne powietrze przyczynia się do spadku wagi noworodków*

KULTURA

80 Jej imię
ROZMOWA Z DOMINIKĄ BEDNARCZYK, AKTORKĄ

84 Nie palcie muzeów, zakładajcie własne
PIOTR KOSIEWSKI

87 Ostatni taki serial
JAKUB MAJMUREK: *Czas się pożegnać ze „Światem według Kiepskich"?*

90 Powrót taty
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Powrót do tamtych dni"*

92 W trybie przypuszczającym
LEKTOR *o książce „Ideot. Rzecz o narodzinach potwora" Kaspra Bajona*

ZMYSŁY

94 Miejsce niespodzianki
EWELINA BURDA

Strona świata
Administracyjnymi i gospodarczymi sankcjami wobec mediów chcą zapewnić sobie spokój rządzący w Kabulu talibowie i etiopski premier, niegdyś nadzieja Afryki – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Podróż do przeszłości [Podkast Powszechny]
Stary wojskowy namiot, kadzidło z kupy renifera zamiast repelentów na komary, zero elektroniki. Tak wygląda rzeczywistość **RAFAŁA „RUFUSA" WIERZBICKIEGO** *w podróży, która odbywa się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie* tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NA PANDEMICZNYM PODIUM

Im bliżej szczytu fali, tym mniejsza skuteczność stosowanych obostrzeń – a my właśnie ten szczyt osiągamy.

MACIEJ MÜLLER

Tylko skrajny optymista mógłby dojść do wniosku, że pojawienie się na horyzoncie wariantu Omikron skłoniło polski rząd do postawienia tamy koronawirusowi. Owszem, premier zapowiada (bliżej niesprecyzowane) obostrzenia na czas świąt, a na razie zmniejszono limity w restauracjach, galeriach handlowych czy kościołach. Tyle że przepisy te, podobnie jak obowiązek noszenia maseczek, są w praktyce martwe. Krążą żarty, że zmiana polega na tym, iż wcześniej nie pilnowano limitu 75 proc., a teraz – 50 proc.

Wiele europejskich krajów decyduje się na ruchy bardzo radykalne, nie tylko wprowadzając przymus szczepień, ale też minimalizując obecność niezaszczepionych w przestrzeni publicznej (zob. obok tekst Wojciecha Pięciaka). Tymczasem nasz rząd wciąż zachowuje się tak, jakby pandemia była zagrożeniem teoretycznym. W języku ministra zdrowia obok znanego od dawna „chcemy" i „będziemy chcieli, żeby" pojawiło się ostatnio „zaczynamy powoli myśleć o". W dodatku fraza ta padła w kontekście tak umiarkowanego obostrzenia, jak obowiązek szczepień jedynie niektórych grup zawodowych. To ruch oczywiście niezbędny, ale takie punktowe działania nie stanowią już żadnej przeszkody dla zakażeń. Aktywność wirusa w populacji jest ogromna, a my jesteśmy właściwie pozbawieni narzędzi do jej ograniczenia.

Oddział intensywnej terapii dla chorych na COVID-19 w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Lublinie, listopad 2021 r.

Epidemiolog Rafał Halik uważa, że rządzący obserwują przede wszystkim wykres hospitalizacji, a w świetle prognozy Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW idzie on na razie wariantem optymistycznym. – To trochę zagranie *va banque*, bo epidemia jest żywiołem, a każdy żywioł jest nieobliczalny i trzeba szykować się na gorsze, a nie lepsze – podkreśla badacz. – Obostrzenia najlepiej stosować podczas wypiętrzania się epidemii. Tę szansę straciliśmy. Im bliżej szczytu fali, tym gorsza skuteczność stosowanych obostrzeń, a my właśnie szczyt osiągamy. Co więcej, pojawił się *game changer* w postaci wariantu Omikron, choć na razie nie wiemy, w jakim stopniu zmieni on zasady gry (zob. obok tekst Bartosza Kabały).

Polska zalicza się obecnie do światowej dziesiątki krajów o najwyższych dziennych przyrostach zakażeń – i to w liczbach bezwzględnych. Co gorsza, w niektóre dni trafiamy do pierwszej piątki pod względem liczby zgonów. W Polsce umiera dziennie na covid nawet 500 osób, a biorąc pod uwagę, że jest to liczba skorelowana z zakażeniami sprzed ok. czterech tygodni – będzie niestety nadal rosnąć.

Minister Niedzielski cieszy się, że w najbardziej do tej pory dotkniętych epidemią województwach podlaskim i lubelskim dynamika nowych zakażeń już spada (*nota bene*: żadna w tym zasługa rządu). O zgonach już nie wspominał – tymczasem analityk Łukasz Pietrzak wyliczył, że spośród oficjalnych 7649 zgonów na covid w listopadzie, aż 23 proc. odnotowano w tych dwóch województwach. Na dodatek przez najbliższe tygodnie fala będzie przetaczać się przez o wiele gęściej zaludnione województwa środkowej i południowej Polski.

Część ekspertów nie mówi już w kontekście obecnej fali o szczycie zakażeń, a raczej o „płaskowyżu". Rafał Halik spodziewa się, że potrwa on do stycznia. Część obserwatorów ocenia, że z falą zimową już przegraliśmy. W powietrzu zawisło pytanie, które jako pierwszy sformułował Tomasz Rożek: „Czy jest już przygotowywana strategia walki na wiosnę? Czy znowu będziemy gasili pożar, jak już będzie się paliło?". ©℗

JACEK SZYDŁOWSKI / PAP

Europa stawia na przymus szczepień

WOJCIECH PIĘCIAK

Niektórzy podjęli już taką decyzję: od lutego 2022 r. szczepienie przeciwko covid będzie obowiązkowe w Austrii i Niemczech. Za Odrą decyzję musi podjąć jeszcze Bundestag, ale to formalność, taka jest wola politycznej większości, a ekspertyzy prawne dopuszczają przymus państwa wobec obywatela. Natomiast aby już teraz złamać czwartą falę, w minionym tygodniu za Odrą wprowadzono *de facto* lockdown dla niezaszczepionych: w wielu sferach życia publicznego mogą uczestniczyć tylko osoby zaszczepione lub ozdrowieńcy (nie wystarczy już, jak miało to miejsce wcześniej, okazanie wyniku testu).

Wiedeń i Berlin idą więc tu najdalej. Ale choć inne kraje Europy nie zdecydowały się (jeszcze?) na podobny krok, w bardzo wielu – o ile już nie w większości – obowiązują dziś przepisy, które stawiają obywateli wobec *de facto* przymusu szczepienia, o ile chcą oni uczestniczyć w szeroko pojętym życiu zawodowym i społecznym. W języku niemieckim nazwano to „Regułą 2G": jeśli chcesz żyć na co dzień bez drastycznych ograniczeń, musisz być szczepiony lub być ozdrowieńcem.

Przepis ten często idzie w parze z obowiązkiem szczepień wobec poszczególnych grup społecznych. Zróbmy krótki przegląd – on sam w sobie wiele mówi. We Włoszech od maja szczepienie jest obowiązkowe dla zawodów medycznych (opornych się zawiesza), a od października także dla pracowników opieki. We Francji od września obowiązek szczepień dotyczy 2,7 mln osób personelu medycznego i opiekuńczego (15 tys. opornych zawieszono bez wypłaty pensji). Na Łotwie – również nauczycieli i urzędników. W Belgii medycy muszą zaszczepić się do 1 kwietnia 2022 r.; opornym grozi odsunięcie. W Grecji obowiązek ten rozszerzono także na seniorów: kto ma powyżej 60 lat, a nie przyjmie do 16 stycznia co najmniej jednej dawki, będzie musiał płacić 100 euro grzywny za każdy miesiąc zwłoki. W minionym tygodniu także minister zdrowia Czech ogłosił, że obowiązek szczepień będzie dotyczyć seniorów powyżej 60 lat (oraz służby zdrowia, policji itd.). Listy zawodów, w przypadku których szczepienie jest obowiązkowe, są także w Wielkiej Brytanii, Słowenii, Danii, Rosji, na Węgrzech czy Ukrainie.

Do poniedziałku 6 grudnia w tym gronie nie było Polski. ©℗

Wariant Omikron: co już wiemy?

DO LISTY NIEPOKOJĄCYCH WARIANTÓW wirusa SARS-CoV-2 dołączył Omikron, odkryty dwa tygodnie temu przez naukowców z Botswany i RPA. Analiza genomu wykazała, że jest to bardzo odległy kuzyn dominującej w czwartej fali Delty. Omikron ma około 50 mutacji. Część z tych zmian jest już znana z wcześniejszych badań, które łączą je z większą zdolnością transmisji i możliwością omijania mechanizmów obronnych układu odpornościowego. Ale inne mutacje są nowe, dlatego trudno określić realne zagrożenie.

Na tym etapie naukowcy dysponują jedynie poszlakami. Zmiany w białku kolca (ponad 30), przeciwko któremu w wyniku zaszczepienia lub przechorowania powstają przeciwciała, wydają się oszukiwać odporność nabytą. Niedawna praca badaczy z RPA sugeruje, że wraz z pojawieniem się nowego wariantu ryzyko i liczba reinfekcji znacząco wzrosły.

W prowincji Gauteng w RPA już teraz Omikron stanowi ponad 90 proc. wszystkich pozytywnych wyników, zaś analiza wody ściekowej w Pretorii wykazała wzrost ilości wirusa do poziomu bliskiego poprzedniej fali związanej z wariantem Delta. Jednocześnie dynamika tych wzrostów jest dużo większa. To wszystko pozwala przypuszczać, że Omikron jest jeszcze bardziej zaraźliwy, choć trzeba pamiętać, że w RPA zaszczepieni to jedynie 25 proc. populacji.

Na podstawie danych szpitalnych z dystryktu Tshwane w RPA, gdzie za większość nowych przypadków odpowiada Omikron, stworzono wstępny profil pacjenta. Większość chorych przyjęta w ostatnich dwóch tygodniach nie wymaga podania tlenu. Maleje też średni wiek pacjentów, a to właśnie wśród młodych poziom wyszczepienia jest najniższy. Co ciekawe, wśród 9 chorych z zapaleniem płuc wszyscy byli niezaszczepieni. Omikron dopiero się przedstawił. Lepiej poznamy go w najbliższych tygodniach, ale pewne jest, że zostanie z nami dłużej.

© BARTOSZ KABAŁA

Czekając na wyrok TSUE

MECHANIZM „pieniądze za praworządność” miał w zamyśle Brukseli chronić Polaków przed dalszą degeneracją zmian w sądownictwie. Wycofując groźbę zawetowania Funduszu Odbudowy, premierzy Morawiecki i Orbán zgodzili się przed rokiem na ten mechanizm – jednak w zamian za gwarancje odwleczenia jego startu. Bruksela obiecała, że poczeka do wyroku TSUE, gdzie Warszawa i Budapeszt zaskarżyły zasadę „pieniądze za praworządność” jako sprzeczną z traktatami. Była to głównie gra na czas, nie jest więc zaskoczeniem, że w minionym tygodniu rzecznik generalny TSUE zarekomendował odrzucenie polsko-węgierskich zastrzeżeń. Wyrok Trybunału, w pierwszym kwartale 2022 r., będzie zapewne podobny.

Orbán, który wplątał Morawieckiego w blokowanie Funduszu Odbudowy (tak jak od miesięcy uwodzi PiS wizjami budowy nowej prawicy z Marine Le Pen, czemu miało służyć weekendowe spotkanie narodowych konserwatystów z całej Unii), chciał uniknąć kłopotów przed wyborami parlamentarnymi wiosną 2022 r. Ten cel może już uznać za osiągnięty, ponieważ od wniosku Komisji Europejskiej o cięcia funduszy do jego zatwierdzenia musi i tak upłynąć 5–6 miesięcy.

Ale co z Polską? Przepisy „pieniądze za praworządność” dotyczą defektów państwa prawa, które „wystarczająco bezpośrednio” zagrażają poprawnemu gospodarowaniu funduszami Unii. Choć Bruksela już uprzedziła, że takie ryzyko niesie podwójna rola Zbigniewa Ziobry (ministra i prokuratura generalnego) i „reformy” sądownictwa, to jednak w Polsce nie ma podejrzeń o przekręty ponad średnią unijną. Dlatego nadal „pieniądze za praworządność” mają bardziej odstraszać od dalszych zmian, niż już ciąć fundusze. Zresztą, główna batalia co do pieniędzy z Brukseli toczy się teraz w ramach rokowań o Krajowy Plan Odbudowy.

© TOMASZ BIELECKI z Brukseli

KRAJ W SKRÓCIE

DAS RADIO
Z okazji 30-lecia Radia Maryja Poczta Polska wydrukowała specjalny znaczek, a politycy partii rządzącej tłumnie stawili się na obchodach, podczas których o. Tadeusz Rydzyk zalecił zebranym naukę języka niemieckiego, bo „nie wiadomo, co przyjdzie”.

DAS REICH
Jarosław Kaczyński wie, co przyjdzie. „Niemcy wyłożyły karty na stół i chcą budowy IV Rzeszy. My na to nie pozwolimy” – miał powiedzieć prezes PiS podczas nadzwyczajnego posiedzenia klubu parlamentarnego swojej partii.

DAS GESETZ
PiS nie pozwolił także na dalsze zaostrzenie prawa antyaborcyjnego: Sejm odrzucił w pierwszym czytaniu obywatelski projekt ustawy likwidującej ostatnie wyjątki od zakazu przerywania ciąży.

DIE ACHTLOSIGKEIT
Do komisji trafił natomiast projekt ustawy o Instytucie Rodziny i Demografii. Rządzący wygrali jednym głosem, podczas głosowania zabrakło grupy posłów opozycji, a z nagrań kamer rejestrujących przebieg obrad wynika, że niektórzy po prostu zapomnieli nacisnąć przycisk.

DER DRECK
W nowym numerze tygodnika „Sieci” z pewnością znaleźlibyśmy tekst o tym, co Niemcy szykują Europie, ale po zapoznaniu się z okładką zrezygnowaliśmy z zakupu.

RDC POLSKIE RADIO **EWELINA BURDA** opowie Grzegorzowi Chlaście o second handach (tekst na s. 94). Słuchaj w środę 8 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Radom 89,1 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie

Mejza panem sytuacji

JEST ZNAKIEM CZASU. Dowodem na proces rozkładu, jakiemu od miesięcy ulega PiS i cały obóz władzy. Wiceminister sportu, pod adresem którego media wysuwają bardzo poważne i do tego solidnie udokumentowane zarzuty, trwa na stanowisku, bo – jak sam przyznał w przypływie szczerości –„właściwie to ja ten rząd Zjednoczonej Prawicy uratowałem”. I racja, krucha sejmowa większość trzyma się na kole Pawła Kukiza i trzech posłach niezależnych, a Łukasz Mejza to jeden z nich. „Nie jestem niczyim zakładnikiem” – zapewnia prezes Jarosław Kaczyński, ale tylko to mu pozostało: udawać, że wciąż jest panem sytuacji. Tymczasem warunki coraz śmielej dyktują Nowogrodzkiej wszyscy wokół: przeciwnicy „segregacji sanitarnej”, broniąca Izby Dyscyplinarnej SN Solidarna Polska, nawet koncesjonowana Partia Republikańska. Kaczyńskiego dopadł tak przezeń znienawidzony „imposybilizm” – personalna, strukturalna i systemowa niemożność zmieniania rzeczywistości na swoją modłę. „Trzeba być idiotą, by nie wiedzieć, że rząd, który nie ma realnego poparcia w parlamencie, długo nie potrwa” – diagnozował dawno temu prezes PiS, stąd na ostatnim, zwołanym naprędce klubie parlamentarnym mobilizował posłów do udziału w każdym głosowaniu. Ale to, co się już rozeszło w szwach, trudno będzie zebrać na nowo, bo zaczął się już czas, kiedy każdy gra na siebie. A za sprawą ministra, co to chciał „niekonwencjonalnie” leczyć za dolary, zobaczyliśmy, jak wygląda obiecywane przez prezesa „państwo moralne”. Otóż, wcale nie wygląda.

© KAROLINA LEWICKA

Minister Kamiński zdecyduje o wstępie na granicę

W OSTATNIM DNIU STANU WYJĄTKOWEGO przy granicy z Białorusią Sejm uchwalił ustawę pozwalającą przedłużyć zakaz wstępu na te tereny. Głosami posłów PiS i Kukiz’15 odrzucone zostały wszystkie poprawki senackie, zmierzające do ułatwienia pracy dziennikarzom, lekarzom oraz organizacjom charytatywnym, a także te zwiększające rekompensaty dla lokalnych firm. Zdaniem wielu prawników, także tych parlamentarnych, ustawa o ochronie granicy może być niezgodna z konstytucją, gdyż o wjeździe do strefy nadgranicznej będzie decydował wyłącznie minister spraw wewnętrznych lub działający w jego imieniu lokalni komendanci Straży Granicznej. Jeśli wydadzą decyzję odmowną, nie będzie można się od niej odwołać. Ponadto, zakaz dostępu nad granicę może być wprowadzony bezterminowo. W efekcie urzędnicy otrzymają szersze kompetencje niż prezydent, który może co prawda wprowadzić stan wyjątkowy (na terenie całego kraju lub w jego części), ale na czas nie dłuższy niż trzy miesiące. Takiego ograniczenia nie ma w uchwalonej w ub. tygodniu ustawie. Poza tym nowe przepisy pozwalają blokować dostęp nie tylko do gmin przy granicy, ale także sąsiednich, znajdujących się do 15 km od granicy. Przekazy stamtąd zobaczymy zapewne tylko w TVP.

©℗ KĘS

Brexit ciągle zbiera żniwo

CZERWONA CIĘŻARÓWKA z reklamą coca-coli nie będzie w Wielkiej Brytanii symbolem najbliższych świąt. Może w ogóle nie przyjechać – bo od miesięcy brakuje tu zawodowych kierowców. I to mimo tego, że rząd jeszcze we wrześniu przyznał 5 tys. tymczasowych wiz pracowniczych dla tego sektora, luzując brexitowe ograniczenia dla kierowców z Unii Europejskiej.

Także polscy kierowcy mniej chętnie podejmują pracę na Wyspach. – Ubieganie się o wizy to dodatkowe procedury – mówi „Tygodnikowi" jeden ze spedytorów. – W Wielkiej Brytanii nie chcą pracować nie tylko kierowcy tirów, lecz również mniejszych samochodów. Ważny stał się czas spędzany z rodziną. Praca na Wyspach oznaczała często spędzenie w domu tylko tygodnia w miesiącu. Ostatecznie nawet takie niewielkie utrudnienia jak ruch lewostronny czy język przyczyniają się do decyzji o pozostaniu w kraju.

W sondażach kierowcy pracujący w Wielkiej Brytanii jako powód kryzysu wymieniają też fakt, że w zawodzie nie chcą pracować młodzi (przeciętny wiek kierowcy wynosi 55 lat). Brakuje ich też w państwach Unii, m.in. w Polsce i we Włoszech, tu jednak od początku 2021 r. liczba branżowych ogłoszeń o pracę znacznie się zwiększyła. Restrykcyjne kontrole przewozów, które zostaną wprowadzone na granicy unijno-brytyjskiej w pierwszej połowie 2022 r., zapewne pogorszą sytuację na Wyspach.

JAROSŁAW JAKUBCZAK / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Brexit nie spowodował tąpnięcia w brytyjskiej gospodarce, ale w dłuższej perspektywie może mieć poważniejsze konsekwencje niż pandemia. Według Biura Odpowiedzialności Budżetowej (OBR), rządowej instytucji od prognoz gospodarczych, opuszczenie Unii ostatecznie zmniejszy brytyjski PKB o 4 proc. (covid ujmie zaś kolejne 2 proc.). Dodatkowo rosnąca inflacja – która może osiągnąć 5 proc. – sprawia, że koszty życia na Wyspach rosną najszybciej od trzech dekad. ©℗ MARCIN ŻYŁA

PETROS GIANNAKOURIS / AP / EAST NEWS

UZYSKANIE POMOCY przez Afganki, które są ofiarami przemocy, stało się dziś prawie niemożliwe – twierdzi Amnesty International w raporcie o sytuacji kobiet w Afganistanie, opublikowanym 6 grudnia. Istniejąca tam przez ostatnie 20 lat ogólnokrajowa sieć – oferująca różną pomoc, jak grupy wsparcia, porady prawne czy schroniska dla kobiet uciekających przed biciem lub przymusowym małżeństwem – po przejęciu władzy przez talibów zniknęła (niektóre instytucje zamknęły się same z obawy przed represjami). Wcześniej co roku tysiące kobiet otrzymywały tam pomoc. W stolicy kraju działa już tylko jedno schronisko, gdzie przebywa 15 kobiet i czworo dzieci. Na zdjęciu: na ulicy w Kabulu, 5 grudnia 2021 r. ©℗ WP / DPA

Rosyjski szantaż wobec Zachodu

WOJCIECH KONOŃCZUK

Jednym z najważniejszych tematów wystąpień zachodnich liderów w ostatnich dniach stała się możliwa agresja militarna Rosji przeciw Ukrainie. Dane wywiadowcze pokazują, że przy granicy ukraińskiej doszło do bezprecedensowej koncentracji rosyjskiej armii, czemu towarzyszy agresywna retoryka Kremla.

O co tu chodzi? Moskwa postanowiła zagrać o wysoką stawkę. Żąda, by Zachód zrezygnował ze współpracy wojskowej z Ukrainą, i chce zmusić Kijów do realizacji porozumień mińskich z 2015 r., dla niego niekorzystnych (doprowadziłoby to do odzyskania przez Rosję wpływów nad Dnieprem). USA i NATO miałyby też zobowiązać się do rezygnacji z infrastruktury wojskowej w państwach bałtyckich, Polsce i Rumunii. Kreml chce więc wymusić zawarcie nowego układu o bezpieczeństwie w regionie, czego efektem byłoby przekreślenie stanu obecnego. Jeśli do tego nie dojdzie, to – jak przekonuje rosyjskie MSZ – „działania odwetowe będą bardzo zdecydowane i Zachód pożałuje, że nie skorzystał z możliwości porozumienia się z nami". Moskwa sugeruje zatem: przyjmujecie nasze warunki albo zaczniemy wojnę. Blef? A może Kreml rzeczywiście gotowy jest do agresji? To kluczowe dziś pytania.

Wydaje się, że na tym etapie groźby Rosji to element trwających negocjacji z USA, których ważnym etapem miała być wtorkowa wideokonferencja Biden-Putin (już po zamknięciu tego wydania „TP"). Zmasowana inwazja na Ukrainę jest mało prawdopodobna, gdyż wiązałaby się ze znaczącymi kosztami dla samej Rosji. Putin musiałby postradać zmysły, by wydać podobny rozkaz. Jest jednak prawdopodobne, że dojdzie do działań zbrojnych na linii frontu między kontrolowanym przez Rosję Donbasem a resztą Ukrainy, czemu mogą towarzyszyć uderzenia w ukraińską infrastrukturę krytyczną.

Rozwój wydarzeń zależy też od postawy Zachodu i jego zdolności do przekonującego odstraszenia Rosji. Jakiekolwiek ustępstwa zostaną na Kremlu odczytane jako słabość, co pociągnie za sobą maksymalizację żądań. ©

Podatek od danych czy cyfrowy kaganiec

NOTOWANIA GIEŁDOWE Alibaby, Tencenta i kilku innych chińskich gigantów internetu zanurkowały na wieść o planach wprowadzenia podatku od obrotu danymi, który miałby je obciążyć.

Oficjalnie temat nie pojawia się w chińskich dokumentach rządowych, ale kolejne wypowiedzi coraz wyżej postawionych partyjnych oficjeli mogą świadczyć o tym, że władze prowadzą coś na kształt konsultacji społecznych. Kilka tygodni temu były burmistrz 7-milionowego Chongqingu, Huang Qifan, w przemówieniu na forum w Szanghaju stwierdził, że podatek od danych może zapobiec dalszemu „niekontrolowanemu wzrostowi" rodzimych gigantów internetowych. „Platformy, które posiadają dużą ilość danych osobowych, powinny zwracać 20-30 proc. przychodów, które uzyskują w wyniku przetwarzania tych danych ich »wytwórcom«, czyli społeczeństwu" – podkreślił.

Nie jest jasne, jak taka danina miałaby funkcjonować. Część komentatorów uważa, że podstawą do jej naliczania może być sama liczba użytkowników. Inni – jak jeden z nestorów chińskiej informatyki, Lyu Jian, rektor Uniwersytetu w Nankinie – są zdania, że wysokość podatku winna zależeć od stopnia „eksploatacji" danych przez algorytmy.

Bez względu na konstrukcję daniny pewne wydaje się, że partia chce dzięki niej wzmocnić kontrolę nad tym, co korporacje robią z danymi użytkowników. Kluczowe wydaje się zwłaszcza niedopuszczenie do udostępnienia tych zasobów podmiotom zagranicznym. W listopadzie 2020 r. władze giełdy w Szanghaju zablokowały debiut giełdowy Ant Group, właściciela platformy Alibaba w USA, tłumacząc, że wtedy konieczne byłoby udostępnienie danych użytkowników władzom USA. W lipcu Chińska Administracja Cyberprzestrzeni wszczęła z kolei dochodzenie w sprawie platformy Didi Chuxing; oficjalnym powodem miało być „bezpieczeństwo danych" po debiucie spółki na giełdzie w Nowym Jorku. ©℗ MAREK RABIJ

Franciszek na Lesbos

ZAKOŃCZONA W PONIEDZIAŁEK pięciodniowa wizyta papieża na Cyprze i w Grecji była wołaniem o jedność i solidarność. W sposób szczególny zabrzmiało w Nikozji, jedynym mieście Europy przedzielonym wrogim granicznym murem [o sytuacji na Cyprze piszemy w dziale Świat – red.]. Ale odnosiło się też do podzielonych przez historię i doktrynę chrześcijan: w obu odwiedzanych krajach większość stanowią wyznawcy prawosławia, których Franciszek przeprosił za krzywdy wyrządzone przez katolików. Papieski apel adresowany był też do Europy, niszczonej przez populizm, nacjonalizm i izolacjonizm. Wyrazem jej jedności powinna być międzypaństwowa solidarność, której brak szczególnie dotknął Grecję i Cypr, obarczone ciężarem kryzysu migracyjnego.

Najważniejszym punktem pielgrzymki była wizyta w obozie uchodźców na wyspie Lesbos. Franciszek odwiedził go już w 2016 r. i – jak teraz zauważył – przez pięć lat niewiele się zmieniło: świat wciąż buduje nowe mury i odgradza się kolczastym drutem. „Gdy życie ludzkie jest w niebezpieczeństwie, gdy zagrożona jest godność człowieka, granice państwowe nie mają znaczenia" – mówił, cytując Elie Wiesela (na zdjęciu: papież w obozie Moria).

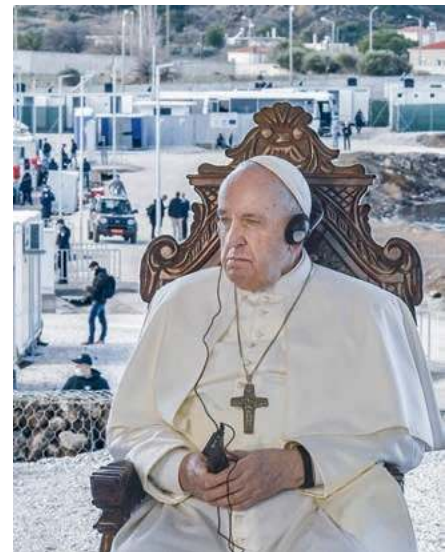
LOUISA GOULIAMAKI / ANADOLU AGENCY / PAP

Aby nie poprzestać tylko na słowach, papież zdecydował o przyjęciu 50 uchodźców z obozu na Cyprze: Watykan pokryje koszt ich przyjazdu do Włoch i integracji w społeczeństwie. Porozumienie z rządami obu państw w tej sprawie Stolica Apostolska podpisała jeszcze w trakcie przygotowań do papieskiej pielgrzymki. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Wielki kanion internetowy

BLISKO TRZY MILIARDY ludzi na świecie nigdy nie korzystało z internetu – to niemal 40 proc. ludzkości.

Z jednej strony świat coraz bardziej uzależnia się od sieci; są w nim całe branże, które swoje istnienie zawdzięczają internetowi, a także dziedziny prawa czy socjologii, których powstanie wymusiła cyfryzacja życia. Z drugiej strony jest bieda, analfabetyzm, ograniczony dostęp do elektryczności i brak umiejętności – życie, w którym internetu nie ma w ogóle.

Z opublikowanego właśnie raportu Międzynarodowego Związku Telekomunikacyjnego ONZ (ITU) wynika, że pandemia sporo zmieniła. Gdy pojawił się wirus, sieć gwałtownie urosła – liczba użytkowników zwiększyła się z 4,1 mld w 2019 r. do 4,9 mld w tym roku. Problem w tym, że wśród tych 800 mln ludzi, setki milionów korzystają z internetu rzadko, współdzielą urządzenia z innymi osobami lub mają dostęp jedynie do wolnych łączy. Prezentująca raport Doreen Bogdan-Martin, dyrektor Biura Rozwoju Telekomunikacji ITU, podkreślała, że 96 proc. nowych użytkowników mieszka w krajach rozwijających się. „Tylko jedna trzecia ludności Afryki korzysta z internetu. W Europie to prawie 90 proc. To właśnie to, co sekretarz generalny ONZ António Guterres nazwał »wielkim kanionem w sferze łączności«".

W danych dotyczących dostępności internetu odbijają się, jak w zwierciadle, także inne nierówności: dysproporcja między miastami, gdzie z sieci korzysta 76 proc. mieszkańców, a wsiami, gdzie jest to zaledwie 39 proc. Podobne różnice dotyczą osób młodych (71 proc.) i starszych (57 proc.) czy mężczyzn i kobiet – szczególnie w państwach rozwijających się, choć tu konkretne dane mocno uzależnione są od kraju i regionu.

Z perspektywy Zachodu, zakochanego w mediach społecznościowych czy serwisach streamingowych, może się wydawać, że dostęp do sieci to błahostka, nieistotna w porównaniu z innymi potrzebami. Internet daje jednak szanse na edukację, lepszą opiekę medyczną czy godną pracę. Otwiera drzwi do niepozbawionego problemów, ale jednak lepszego świata.

© AGATA KAŹMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

30 lat ponad prawem

SYMPATYKOM RADIA MARYJA zgromadzonym w hali Arena w Toruniu oraz wspierającym rozgłośnię biskupom dziękował o. Tadeusz Rydzyk podczas uroczystości obchodów 30-lecia założenia rozgłośni. Wyrazy wdzięczności redemptorysta kierował także do obecnych polityków (m.in. Mariusza Błaszczaka, Przemysława Czarnka i Zbigniewa Ziobry).

To ostatnio punkt obowiązkowy toruńskich corocznych uroczystości. Z wyliczeń portalu OKO.press wynika, że podmioty założone przez o. Rydzyka od początku rządów Zjednoczonej Prawicy otrzymały 325 mln zł publicznego wsparcia. Z jakim skutkiem?

Według badania Radio Track wskaźnik słuchalności Radia Maryja w ostatnim roku oscylował między 1,2 a 1,8 proc. Z kolei z danych KRRiT wynika, że istniejąca od 2003 r. Telewizja Trwam w 2020 r. zanotowała 0,55 proc. udziału w rynku oglądalności. Z widownią na poziomie 36 tys. osób znalazła się na 28. miejscu wśród najchętniej oglądanych stacji telewizyjnych. Założona w 2001 r. Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu plasuje się na 27. miejscu na 43 placówki w rankingu uczelni niepublicznych magazynu „Perspektywy". W październiku tego roku minister nauki i szkolnictwa wyższego nadał szkole tytuł akademii.

O. Rydzyk realizował swoje plany, nie oglądając się na prawo (po zwycięstwie PiS czyni to z silnym wsparciem władz). Prokuratura m.in. badała wywóz waluty za granicę i prowadzenie niezarejestrowanych zbiórek pieniędzy. O. Rydzyk nigdy się także nie rozliczył z kwot zebranych na ratowanie Stoczni Gdańskiej (szacuje się, że chodzi nawet o 160 mln zł).

Ostatnio o ujawnienie wydatków z redemptorystą procesuje się stowarzyszenie Sieć Obywatelska Watchdog Polska. Nie wiadomo jednak, czy wyrok w ogóle zapadnie. 15 grudnia Trybunał Julii Przyłębskiej ma zdecydować, czy przepisy zobowiązujące do jawności wydawania publicznych pieniędzy są zgodne z konstytucją. Sędzią sprawozdawcą ma być Krystyna Pawłowicz, która na Twitterze zapowiedziała wsparcie Radia Maryja.

©℗ ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

AKOLITKI

Od 12 grudnia kobiety będą mogły rozdawać w Polsce komunię. Tego dnia wchodzi w życie dekret Konferencji Episkopatu dotyczący „wieku oraz przymiotów kandydatów i kandydatek do stałego lektoratu i akolitatu". Wymaga się od nich m.in. wieku minimum 25 lat, wzorowego życia moralnego, szczerej pobożności oraz ducha posłuszeństwa Kościołowi.

KOMISJA

Po biskupach niemieckich i francuskich także hierarchowie portugalscy zdecydowali się powołać Niezależną Komisję ds. Badań nad Krzywdzeniem Dzieci w Kościele. Jej przewodniczącym z prawem doboru współpracowników został Pedro Strecht, lekarz psychiatrii dziecięcej zaangażowany w pomoc dzieciom maltretowanym.

WIZYTA

Papież chce w najbliższej przyszłości odwiedzić Ukrainę. Choć wizyta nie została jeszcze oficjalnie zapowiedziana, to już trwają do niej przygotowania – ujawnił arcybiskup większy kijowsko-halicki Światosław Szewczuk.

BUDOWNICZY

W wieku 96 lat zmarł w swej rodzinnej miejscowości Mejorada del Campo nieopodal Madrytu Justo Gallego Martínez, który jako wotum za wyzdrowienie z gruźlicy od 60 lat budował katedrę z surowców wtórnych i odpadów. Niedokończony budynek ma 55 m długości, 25 m szerokości i 35 m wysokości oraz 12 wież.

MARK EVELEIGH / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

IZABELA MOŚCICKA, ZAŁOŻYCIELKA CENTRUM POMOCY SIOSTROM ZAKONNYM

Siostry potrzebują pomocy

ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA GOC: Dlaczego była zakonnica zakłada schronisko dla sióstr?

IZABELA MOŚCICKA: Gdy odchodziłam z mojego zgromadzenia, nie wiedziałam, gdzie szukać pomocy i czy przysługują mi jakiekolwiek prawa. Na przykład czy mam prawo odwołać się od decyzji siostry przełożonej, której ślubowałam posłuszeństwo. Zakonnica, która chce odejść, zostaje sam na sam z przełożoną, a dotąd przełożona miała pierwsze i ostatnie słowo.

Już teraz działa Wasz telefon zaufania i strona internetowa Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym. Z jakimi problemami dzwonią siostry?

Od praktycznych, np. które dokumenty trzeba złożyć przed odejściem i gdzie je znaleźć, po egzystencjalne – jak poradzić sobie z samotnością.

W wielu żeńskich zgromadzeniach jest jasna ścieżka wejścia do wspólnoty, ale o wyjściu nikt nie rozmawia.

Zdarza się, że telefon do nas siostry traktują jak ostatnią deskę ratunku. Niektóre są wzruszone, bo po raz pierwszy ktoś im uwierzył, a one dzięki temu dały sobie prawo do emocji, które czują od dawna. Niektóre mówią o doznanej w klasztorze przemocy.

Co wtedy?

To bardzo trudna sytuacja, bo siostry opowiadają o zachowaniach przemocowych, ale ich tak nie nazywają. Są lojalne wobec sprawców czy sprawczyń. Przemoc w klasztorach można porównać do przemocy domowej – krzywd doznaje się od kogoś bliskiego, wszystko dzieje się pod wspólnym dachem i zwykle nie ma jak i dokąd uciec.

Teraz powstała także inicjatywa „Siostry dla Sióstr", którą zorganizowała Konferencja Przełożonych Zakonów Żeńskich we współpracy z Fundacją św. Józefa, delegatem episkopatu ds. ochrony nieletnich i KEP. To pokazuje, że siostry potrzebują pomocy.

Schronisko, które planuje Pani założyć, ma być takim pierwszym miejscem pomocy. Kiedy powstanie?

Chcemy je uruchomić jak najszybciej.

Siostry często opuszczają klasztorne mury z jedną reklamówką, w której mają bieliznę. Zaczynają od zera: nie mają świeckich ubrań, oszczędności, pracy ani gdzie mieszkać. I – bardzo często – nie mają przyjaciół. ©℗

IZABELA MOŚCICKA – *pedagożka, social media manager. Poszukuje miejsca dla ludzi wykluczanych w Kościele. Założycielka Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym pomocdlasiostr.pl.*

Amantadyna: duże zamieszanie wokół małego odkrycia

OPUBLIKOWANY W CZASOPIŚMIE „Communications Biology" artykuł Trine Lisberg Toft-Bertelsen i współpracowników wywołał w polskim internecie wyjątkowe poruszenie.

Celem pracy była weryfikacja, czy amantadyna jest w stanie zablokować funkcję kanału jonowego białka E, będącego wiroporyną SARS-CoV-2. Wiroporyny to białka zmieniające właściwości błony komórkowej w taki sposób, by ułatwić namnożonym cząsteczkom wirusa ucieczkę z komórki, a niekiedy także wniknięcie do kolejnej. Ta właśnie funkcja białka E ma według wcześniejszych doniesień duże znaczenie dla wirulencji (zjadliwości patogenu) – jej „wyłączenie" u osoby zarażonej mogłoby złagodzić przebieg choroby. Blokada po dodaniu amantadyny, a także trzech innych substancji, została potwierdzona w badaniu na owocytach żaby szponiastej. Rimantadyna – pochodna amantadyny – ku zaskoczeniu autorów okazała się zaś nieskuteczna. Ponadto zidentyfikowano jako potencjalne wiroporyny białka ORF10 i ORF7b i dowiedziono, że amantadyna blokuje to pierwsze.

Wbrew pozorom niewiele tu nowego. Blokowanie białka E przez amantadynę to wieści dobrze znane od co najmniej roku, a białko ORF10 zostało w innych badaniach ocenione jako nieistotne dla wirulencji. To nadal zdecydowanie za mało, by nazwać amantadynę lekiem na COVID-19 i by przepisywać ją pacjentom zgodnie z etyką lekarską. Autorzy badania sami wskazują na konieczność ukończenia testów klinicznych przed opracowaniem zaleceń. Na świecie prowadzone są obecnie trzy takie badania – dwa z nich toczą się w Polsce, jedno w Danii. Na rozstrzygnięcie kwestii amantadyny przyjdzie nam zatem jeszcze poczekać. © JACEK SOWIŃSKI

Dowód sztucznie wspomagany

MATEMATYCY NIE OD DZIŚ pomagają sobie w pracy komputerami. Zwykle służą im jako zaawansowane, wielofunkcyjne kalkulatory, które liczą, wizualizują, a nawet sprawdzają poprawność dowodów. Od lat rozwijane są także algorytmy sztucznej inteligencji (AI), które same potrafią znaleźć dowody podsuwanych im hipotez matematycznych.

Jak jednak donosi grudniowe „Nature", najnowsza AI autorstwa firmy DeepMind poszła o krok dalej. Gdy „nakarmiono" ją danymi z dwóch dziedzin matematyki, AI samodzielnie wysunęła dwie nowe, głębokie hipotezy, które następnie udowodniono (już „po ludzku"). Pierwsza z nich dotyczyła geometrii skomplikowanych, supłowatych kształtów badanych przez tzw. teorię węzłów. Zapoznawszy się z danymi na temat milionów różnych węzłów, algorytm dostrzegł w nich nieznaną wcześniej zależność. Z kolei druga hipoteza dotyczyła tzw. teorii reprezentacji, zajmującej się formalnym opisem symetrii. W tym przypadku AI znalazła sposób na rozbicie pewnej beznadziejnie trudnej procedury obliczeniowej na szereg prostszych kroków, usuwając tym samym przeszkodę gnębiącą badaczy od dekad.

Być może era cyfrowych Gaussów i Banachów jest bliżej, niż nam się wydaje. ©TOMASZ MILLER

KULTURA W SKRÓCIE

TANIEC

Występem w spektaklu „We love Chopin" zainaugurował działalność zespół baletowy Opery i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku.

MUZYKA

Ponad 20 artystów podjęło zmagania o nagrody Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego Mieczysława Wajnberga, którego pierwszą edycję organizuje Akademia Muzyczna w Katowicach.

KINO

Reżyser i scenarzysta „Wesela" Wojciech Smarzowski otrzymał dwie nagrody podczas 25. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Tallinnie. Jury wyróżniło go „za prowokacyjny i brutalnie wyrazisty portret polskiego społeczeństwa i historii".

FOTO

Do Muzeum Powstania Warszawskiego trafiła kolekcja 59 oryginalnych fotografii z powstania warszawskiego. Na zrobionych we wrześniu 1944 r. zdjęciach widać przygotowania Niemców do obrony przed Sowietami zbliżającymi się do prawego brzegu Wisły.

TEATR

Praski teatr Činoherní klub zdjął z afisza komedię Martina McDonagh „A Behanding in Spokane". Powód: umowa o przedłużeniu praw do wystawiania sztuki zastrzega, że główną rolę może grać tylko potomek Afrykanów. W czeskim przedstawieniu występował dotąd Ondřej Sokol, tłumacz i reżyser spektaklu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Raczej nic niż coś

MONIKA OCHĘDOWSKA

Po zakończonych właśnie Warszawskich Targach Sztuki wycenianą na 35 tys. zł rzeźbę „Fortune" młodego artysty Tomasza Górnickiego przekazano do zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach. Prywatny kolekcjoner zapłacił dziesięciokrotność tej kwoty za wersję cyfrową dzieła.

Kilka dni później w największym polskim domu aukcyjnym DESA Unicum na pół miliona złotych wyceniono nieistniejący obraz „Dlaczego jest raczej coś niż nic?" Pawła Kowalewskiego, przedstawiający żółtego geparda na tle zachodzącego słońca. Ponieważ dzieło uległo zniszczeniu podczas powodzi w 1997 r., kupiec otrzyma jego wersję NFT – niewymienialny cyfrowy token (ang. *non-fungible token*). To rodzaj certyfikatu, zaświadczenie o prawie własności cyfrowego mienia zapisanego w niepowtarzalnym pliku, którego teoretycznie nie można podrobić ani skopiować.

Po co komuś dzieło, którym nie można udekorować domu? Cóż, wygląda na to, że zaczynamy się powoli urządzać w metawersum Marka Zuckerberga. Do każdego zakupu dorzucany jest kod QR, dzięki któremu możliwe jest wchodzenie w interakcję z dziełem – zapewniają entuzjaści tokenów. Cyfrowa sztuka cieszy się już tak dużym zainteresowaniem, że w pierwszym półroczu 2022 r. DESA planuje aukcję poświęconą wyłącznie NFT. ©℗

PAWEŁ KOWALEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Zachęta: czy już za późno?

GRZEGORZ DĄBROWSKI / AG

PIOTR GLIŃSKI OGŁOSIŁ, że zamierza nominować Janusza Janowskiego, malarza i prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków, na nowego dyrektora warszawskiej galerii Zachęta. To bardzo zła wiadomość. Galeria, która niedawno obchodziła 140-lecie powstania, w ostatnich trzech dekadach dzięki zaangażowaniu jej pracowników oraz kolejnych dyrektorek, od Barbary Majewskiej i Andy Rottenberg po Agnieszkę Morawińską i Hannę Wróblewską, stała się jednym z kluczowych miejsc dla polskiej sztuki, ale też szerzej – kultury.

Dziś Zachęta w wiarygodny i odpowiedzialny sposób zajmuje się przeszłością polskiej sztuki, prezentuje to, co najistotniejsze w niej obecnie powstaje, oraz wprowadza nas w obieg międzynarodowy. I to ona wyznacza w Polsce standardy profesjonalizmu w przygotowywaniu wystaw, opiece nad kolekcjami sztuki (ma ważny zbiór i stale go rozwija), działalności edukacyjnej oraz relacjach z publicznością. O skali działań najlepiej świadczą liczby. W roku 2019, ostatnim przed pandemią, Zachęta zorganizowała 26 wystaw w kraju i za granicą oraz ponad 700 wydarzeń edukacyjnych. Odwiedziło je ponad 120 tys. osób!

Dlatego zdumienie wywołała decyzja o niepowołaniu dotychczasowej dyrektor Zachęty Hanny Wróblewskiej na kolejną kadencję. Jest ona bowiem nie tylko wybitną kuratorką i osobą kompetentnie zarządzającą galerią, ale też kimś, kto potrafi dbać o interes publiczny i dobro wspólne. To u nas rzadkie. Jeszcze większe zdumienie – i protesty – wywołuje kandydatura Janusza Janowskiego. Pomijając jego dorobek artystyczny, nie posiada on doświadczenia pozwalającego kierować tak dużą instytucją. Owszem, zorganizował kilkanaście wystaw, były to jednak w przeważającej większości wydarzenia o zasięgu lokalnym, niezauważone w skali ogólnopolskiej ani przez publiczność, ani przez krytykę.

Nie jest za późno, by wybrać inną drogę. W przypadku instytucji o tak ogromnym znaczeniu jak Zachęta niezbędny jest wiarygodnie przeprowadzony konkurs. Bo tylko on pozwoli wyłonić najlepszą kandydaturę – i ją legitymizować. Umożliwi też opinii publicznej poznanie realnego dorobku kandydatów i kandydatek oraz proponowanego przez nich przyszłego programu galerii.

Wiemy, do czego prowadzą nieodpowiedzialne nominacje: do marginalizacji, upadku znaczenia dla polskiej kultury, instytucjonalnego uwiądu, czego dobitnym przykładem jest warszawskie Muzeum Narodowe, które ministerialny nominat doprowadził na skraj zapaści. Ministerstwo ponosi dziś wyłączną odpowiedzialność za los Zachęty. I będzie za nią odpowiadać nie tylko przed artystami, lecz przede wszystkim przed publicznością. Nie wolno bowiem zapominać, że instytucje publiczne jej przede wszystkim muszą służyć. Publiczność to największa siła Zachęty, lecz w decyzjach obecnego ministra jest całkowicie lekceważona.

© PIOTR KOSIEWSKI

Od góry:

Leon Tarasewicz przygotowuje instalację na schodach Zachęty. 14 grudnia 2006 r.

„Naziści" (fragment), na wystawie Piotra Uklańskiego „Czterdzieści i cztery". 10 grudnia 2012 r.

„Kobiety brzemienne" Xawerego Dunikowskiego na wystawie „Rzeźba w poszukiwaniu miejsca". 1 lutego 2021 r.

JAN ROLKE / FORUM

PIOTR KOSIEWSKI

TEMAT TYGODNIKA

JAK DOBRZE BYŁOBY NIE BYĆ

Epidemia nie tylko stworzyła nową grupę chorych na depresję, ale też nasiliła objawy wcześniej cierpiących. I przytkała systemowe drogi ratunku.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ

Proszę, by opisały, jak to właściwie jest. Ale nie tak, jak to robią medyczne portale (piszą o obniżonym nastroju przez co najmniej dwa tygodnie; o płaczu; o bezsenności bądź nadmiernej senności; o anhedonii, czyli nieodczuwaniu przyjemności). Tak, by zdrowy człowiek coś poczuł.

Anna mówi, że to jak jazda z zepsutymi wycieraczkami w ciężką ulewę.

Milena wspomina. Np. jak leży, chce jej się płakać, krzyczeć, ale nawet na to nie ma siły. Albo jak wbija sobie paznokcie w ramiona lub uda, żeby fizycznym bólem przykryć ten psychiczny. – Zabić się nie próbowałam. Bałam się, że mnie odratują i będę na przykład sparaliżowana – dopowiada. – No i dlatego, że samobójstwo nie idzie w parze z wiarą w Boga. Bo już o śmierć zdarzało mi się modlić. Miałam też myśli: wziąć opakowanie tabletek, przedawkować narkotyki. Aha, był jeszcze pociąg. Tylko to kłopot, na przykład opóźnienie taboru.

Mają mniej więcej tyle samo lat (tuż po trzydziestce). Mieszkają w dużych miastach (Trójmiasto i Warszawa). Są po studiach. Dużo się śmieją i uśmiechają. Może dlatego nikt im nigdy specjalnie nie dowierzał.

Pierwszy raz

Milena: – Pochodzę z małej miejscowości, gdzie na komunikat „depresja" reaguje się zdaniami: „Nie masz tak źle", „weź się w garść". Z domu pamiętam chłód. A byłam dzieckiem, które dużo i intensywnie przeżywa. Pamiętam też nieustanne porównywanie: „Zobacz, jak Agnieszka prowadzi zeszyt". I brak wiary mamy we mnie. W gimnazjum polubiłam biologię i chemię. Chciałam iść na biol-chem do liceum. Mama powtarzała: „nie uda się". Udało się. Potem słyszałam: „Nie zdasz matury". Zdałam. Później musiałam udowodnić, że dostanę się na studia. Może dlatego kilka lat później, gdy nie chciało mi się żyć, nie poszłam z tym ↦

↦ do mamy. To by było jak przyznanie: nie radzę sobie.

Anna: – Byłam chorowitym dzieckiem. Moje schorzenie przekładało się na zachowanie – nadpobudliwe, jak przy ADHD. Dla innych dzieci byłam dziwna: z jednej strony nadaktywna, z drugiej piekielnie inteligentna. Od szkoły podstawowej aż po gimnazjum, czyli przez dziewięć lat z przerwami, znęcano się nade mną. Niby rodzice interweniowali, niby mama chodziła do szkoły, ale potem mi to wypominała. A w szkole wszystko się powtarzało: popychanie, wyzwiska, niszczenie rzeczy, tornistra, wyrzucanie go za okno, a później też napastowanie seksualne, na przykład łapanie za piersi. Ulgą od szkoły był szpital, w którym często leżałam. I pobyty w bibliotece, gdzie chowałam się na każdej długiej przerwie. Nie dom. Istnieli psychologowie dziecięcy, ale rodzice z tego nie skorzystali, „bo przecież nie jestem wariatką".

Milena ma ponad 20 lat, gdy po raz pierwszy słyszy od mamy: „A ty dlaczego jesteś taka smutna?". Wakacje 2013 r. Wraca z pracy i orientuje się, że któryś raz z rzędu nachodzi ją myśl: jak dobrze byłoby nie być. Dużo pije. Pewnego razu, latem, budzi się pod gołym niebem. Podrapana, z pogubionymi rzeczami. – Przestraszyłam się i zaczęłam wycofywać z kontaktów towarzyskich – opowiada. – Powodów mojego stanu szukałam w alkoholizmie. Ale brat, który znał się na psychologii, powiedział, że problem jest głębiej.

Liceum, pierwszy punkt zwrotny Anny. Tu nikt jej nie popycha, nie wyzywa, nie wyrzuca plecaka. – Dostałam pierwszego ataku paniki – opowiada. – Może dlatego, że nie wiedziałam, jak się zachować, gdy wszystko jest dobrze? Atak paniki to takie coś, co przydarza się nagle. Przyspiesza puls, zaciska krtań, jesteś pewien, że zaraz umrzesz. To wtedy zaczęła się też depresja. I autoagresja. Uderzałam się w coś twardego, łokciem albo kolanem. Chciałam umrzeć, ale nie chciałam się zabijać.

Ma 17 lat, więc nie może sama zwrócić się o pomoc. Dostaje ją nielegalnie: dzięki koleżance, która ma mamę psychiatrę, otrzymuje próbki leków – poza obiegiem aptecznym. To fluoksetyna, odpowiednik prozaku, o którym mówi się: „pigułka szczęścia".

Na jakiś czas pomaga.

Epidemia depresji

Zaburzenia nastroju miało w ciągu swojego życia prawie półtora miliona dorosłych Polaków. Przynajmniej jeden epizod depresji ujawnia nieco ponad 1,2 mln. Ale gdy tę grupę rozszerzyć o wszystkich, którzy przeżyli jakiekolwiek zaburzenie psychiczne (np. związane z piciem alkoholu, lękami napadowymi czy fobiami) – wyjdzie ponad 8 milionów. I to bez dzieci i młodzieży – sumę kryzysów w tej grupie szacuje się według innej metodologii, tzn. nie z perspektywy całego życia, ale doświadczeń z ostatniego roku. Tak liczona skala problemów przekłada się na ponad pół miliona cierpiących. Przy czym jest w tej grupie aż 9 tys. nastolatków z dużym ryzykiem samobójstwa.

Zaburzenia nastroju miało w ciągu swojego życia prawie półtora miliona dorosłych Polaków. Przynajmniej jeden epizod depresji ujawnia nieco ponad 1,2 mln.

Tak prezentują się wyniki projektu EZOP II – drugiej już edycji przeprowadzanego przez warszawski Instytut Psychiatrii i Neurologii, jedynego tak przekrojowego badania stanu psychicznego Polaków, z którego pełen raport zostanie dopiero opublikowany (wybrane wyniki przekazali „Tygodnikowi" psychiatra prof. Jacek Wciórka i dr hab. Krzysztof Ostaszewski). Pomiary do EZOP II wykonano w 2019 r., a więc tuż przed epidemią. A ta mogła tylko pogorszyć sytuację – choć trudno precyzyjnie określić, jak bardzo.

Tu przytaczać można tylko dane szczątkowe. Np. sondaże, które pokazywały na różnych etapach epidemii obniżenie nastroju Polaków. Albo wskaźnik najpoważniejszych problemów – liczbę prób samobójczych. W pierwszym półroczu 2021 r. było ich o kilkanaście procent więcej niż w analogicznych okresach dwóch poprzednich lat (choć śmierci samobójczych nie odnotowano więcej). To samo porównanie w grupie nieletnich wygląda dramatycznie: od stycznia do września zabić próbowało się więcej nastolatków niż przez całe 12 miesięcy roku 2020 i trzech poprzednich.

Jeszcze inny problem to zaostrzenie kryzysów u tych, którzy cierpieli wcześniej. Ponad połowa osób, u których przed marcem 2020 r. zdiagnozowano zaburzenia depresyjne, lękowe lub objawy stresu pourazowego, odczuła pogorszenie na skutek pandemii – poinformował Instytut Nenckiego PAN, przytaczając wyniki międzynarodowych badań obejmujących także Polskę.

Ta wesoła Milenka

Scena z życia Mileny: wraca z pracy, wpada do pokoju. Nie ma nawet siły dojść do łóżka, więc kładzie się na stercie porozrzucanych ubrań. Rano znowu praca.

– Co w takim stanie pcha do wstania mimo wszystko?

– Mnie tylko jedno: udawanie. Że jestem „tą wesołą Milenką", do której wszystkich przyzwyczaiłam. Aż pewnego razu obudził mnie mój własny szloch. Przyszła myśl, że jeśli zaraz nie pójdę do lekarza po leki, to coś sobie zrobię.

Rok 2017, diagnoza: głęboka depresja. – Przepisane leki nie od razu zaczęły działać, ale gdy już zaczęły, zmiana była zauważalna – opowiada Milena. – Zapisałam się na psychoterapię. To wszystko razem było jak tlen dla osoby, która się dusi. Na terapii dowiedziałam się, że jest coś takiego jak „przywiązanie unikające". Jak w dzieciństwie krzyczałam, to mama mnie zostawiała, „żebym się wypłakała". Wtedy dziecko już na początku uczy się, że okazywanie uczuć nie ma sensu.

Zwrot kolejny: odstawienie leków; częsta reakcja pacjentów na poprawę. Milena: – Minął tydzień, drugi, trzeci – nic. „Ale super, nie potrzebuję już leków", pomyślałam. Ścięło mnie po dwóch miesiącach. Cofnęłam się do tej sterty ubrań na podłodze. Tylko że tym razem nie miałam już nawet sił, by iść do pracy. Zasypiałam, budziłam się, płakałam, leżałam, znowu zasypiałam... Wynajmowaliśmy mieszkanie w sześć osób. Współlokatorzy wiedzieli, że mam zjazd. Pewnej nocy

obudziłam się i zobaczyłam przy łóżku talerzyk z marchewkami – to było jedyne, co w najgorszych czasach mogłam przełknąć. To było pokazanie ich obecności, troski. No i kolejny zwrot: znowu psychiatra, znowu leki, znowu poprawa.

Anna: – W 23. roku życia się rozpadłam. Zaczęłam wszystko odwoływać, a że wcześniej wiele rzeczy robiłam, to też wiele trzeba było przekładać. Dwa kierunki studiów, dwie organizacje studenckie, wyjazdy, aktywizm, manify... Bywało, że leżałam, długo się nie ruszając. Przetrwałam wtedy takie stany, że teraz, jak słyszę podobne historie, chwytam się za głowę. A przetrwałam, bo wreszcie poszłam na psychoterapię. Raz spóźniłam się na kolokwium, usiadłam pod kolumną na korytarzu. Zaczęłam ryczeć, spazmatycznie. Podeszła koleżanka, dała namiary. Potem kilka razy się upewniła, że już trafiłam na terapię.

Anna wraca do porównania, które zaczerpnęła od koleżanki: depresja jest jak jazda bez wycieraczek w czasie ulewy, a pomoc – jak ich naprawa. – Dzięki terapii zobaczyłam, co mi tak naprawdę jest. Zdiagnozowano u mnie rys na granicy osobowości borderline. To wynik, jak się dowiedziałam, zaprzeczania uczuciom w dzieciństwie. Plus moja nieodłączna para: depresja i zaburzenia lękowe.

Kolejny punkt zwrotny: rok 2019. Kończy pisać doktorat, wracają ataki paniki. Znowu leki, znowu pomoc. I poprawa.

Aż do wybuchu epidemii.

W łóżku z klawiaturą

O ocenę, co covid zrobił z psychiką Polaków, poprosiłem psychiatrów i psychologów. Związanych z Collegium Medicum UJ prof. Dominikę Dudek oraz dr. hab. Macieja Pileckiego, a także Annę Morawską-Borowiec, prezeskę Fundacji „Twarze depresji" i inicjatorkę kampanii pod tym samym hasłem. Z ich opowieści wyłania się obraz kilku grup, które mogły ucierpieć najbardziej.

Pierwsza: osamotnieni. – Diagnozowałam wiele osób starszych, głównie z objawami depresyjno-lękowymi – opowiada Dominika Dudek. – Od jednej z nich usłyszałam: „Umrę w samotności i nawet nie będzie miał mnie kto potrzymać za rękę". Wiele z tych osób było aktywnych przed pandemią. A potem zaczęli się bać wychodzić z domu. Jak pewna starsza osoba, która opowiadała mi, że z lęku spłukuje wodę w toalecie łokciem, mimo że nikt

W pierwszym półroczu 2021 r. było o kilkanaście procent więcej prób samobójczych niż w analogicznych okresach dwóch poprzednich lat.

jej nie odwiedza... Te osoby pozostały w „przetrwalnikowej" fazie pomimo zakończenia restrykcji. Nabrały przekonania, że życie się dla nich skończyło. Niektórzy gwałtownie się zestarzeli i zniedołężnieli. Mimo iż w sensie zdrowia fizycznego nic się z nimi specjalnego nie stało.

Dominika Dudek opowiada też o innej grupie – pracujących. Do marca 2020 r. się nie leczyli, wielu odnosiło sukcesy. – I nagle za sprawą jednego wirusa zobaczyli, że nie są omnipotentni, że coś tak małego może im wywrócić życie – opowiada lekarka.

Maciej Pilecki zapamiętał pacjenta w wielotygodniowym ciągu alkoholowym. – Pił, zasypiał, budził się, pracował, miał przemieszany dzień z nocą, tym bardziej że faktycznie pracował w różnych strefach czasowych, mając kontakty na różnych kontynentach – opowiada psychiatra.

Podobny przypadek pamięta Anna Morawska-Borowiec: – To był człowiek, któremu kontakt z naszą fundacją mógł nawet uratować życie. Przez kilka tygodni leżał z komputerem w łóżku, z trudem już odpisywał na maile służbowe. Miał zamiary samobójcze. Podczas zdalnej konsultacji udało mi się go przekonać, by w mojej obecności zadzwonił do psychiatry, z którym zerwał kontakt jakiś czas temu. Tylko jak dużo jest ludzi, którzy z nikim się nie skontaktowali? – pyta szefowa Fundacji „Twarze depresji", dodając, że wyśrubowane wymagania firm pomimo epidemii to jedna z dominujących przyczyn kryzysów, z jakimi się zetknęła.

Anna Morawska-Borowiec wyodrębnia też inną grupę: zmagających się z lękiem przed pandemią i chorobą: – Człowiek, który zawsze trochę się bał o swoje zdrowie, teraz mierzyć się może z ciężkim zaburzeniem depresyjno-lękowym. Znam ludzi, którzy przez to nie wychodzili z domu. I innych, którzy szli do pracy, ale np. wymykali się ze spotkań, by w toalecie mierzyć sobie pulsoksymetrem poziom saturacji.

Wreszcie grupa ostatnia: ofiary mniejszej dostępności do pomocy psychiatryczno-terapeutycznej. – Niestety jest u nas trochę tak jak w onkologii: mierzymy się z falą konsekwencji zwlekania pacjentów z podjęciem bądź wznowieniem leczenia. Zgłaszają się do nas osoby w bardzo ostrych kryzysach – relacjonuje Maciej Pilecki.

– Na początku zdawało się, że to wszystko jakby przechodzi obok nich – mówi o grupie już wcześniej leczących się pacjentów Dominika Dudek. – A potem stało się jasne, że części z nich zaszkodziła mniejsza dostępność do pomocy twarzą w twarz. Teleporady są super, jeśli pacjent jest stabilny, a konsultacja sprowadza się do weryfikacji, że wszystko jest nadal dobrze i do przedłużenia recept. Jeśli jednak ta osoba jest akurat w ciężkim kryzysie, to wówczas porada online zaczyna być problematyczna. Był i jest jeszcze jeden problem: w leczeniu podkreślamy wagę czynnika środowiskowego, tzn. szybszego wychodzenia z kryzysu dzięki aktywności i przebywaniu wśród ludzi. Pandemia zaburzyła tę sferę rehabilitacji.

Jak huśta covid

Scena z pandemicznego życia Anny: siedzi ze słuchawkami przed komputerem, prowadzi zdalne zajęcia. W ciągu kilku sekund dostaje ataku paniki – niemal do utraty oddechu. Żeby ukryć swój stan, włącza studentom filmik z YouTube'a.

– To się znowu zaczęło, gdy przeszliśmy z mężem covida, którego teraz mamy rocznicę – opowiada Anna, gdy łączymy się na Skypie pod koniec listopada. – Przebieg mieliśmy dość łagodny, ale koronawirus totalnie rozhuśtał mi psychikę. Zaczęłam mieć też problemy ↦

↦ kognitywne, które opisuje się często w pocovidowych badaniach [np. donoszono, że co trzeci ozdrowieniec wykazywał objawy neurologiczne lub psychiatryczne – red.]. Jestem humanistką, dużo czytam. A tu nagle zauważam, że mam problem z przebrnięciem przez akapit tekstu! Na portalach są przeliczniki, ile średnio czyta się dany artykuł. Np. przejście przez taki, który był przewidziany na 5 minut, zajmowało mi 20.

Sam covid i jego konsekwencje to tylko jedno z jej złych wspomnień. Anna: – Kolejnym było odkrycie dotyczące rodziców. Siostra robiła im zakupy, bo nie wychodzili w pewnym okresie z domu. Dowiedziałyśmy się, jak dużo piją. Dotarło do mnie, że nie tylko ojciec jest tzw. wysoko funkcjonującym alkoholikiem, który nie zaśnie bez dwóch piw. Mama również. To mi wyjaśniło wiele jej zachowań z dzieciństwa, np. „nieobecność" wieczorami. Mojego samopoczucia nie poprawiło też nauczanie online, mimo że jestem technologicznie biegła, i zdalny kontakt generalnie mi pomagał. Ale jako prowadząca zajęcia na uczelni musiałam przemawiać do „bandy ikonek" zamiast do ludzi, i była w tym jakaś rozpacz. Widziałam zagubionych i apatycznych młodych ludzi. Pytałam np. o tekst, który mieli przeczytać, a odpowiadała mi cisza. Przerywana pod koniec: do widzenia, do widzenia, do widzenia... Mój pocovidowy kryzys trwał około pół roku.

W życiu Mileny pandemia początkowo niczego nie zmieniła. – Normalnie chodziłam do pracy, normalnie się leczyłam – opowiada. – A później zaczęły się lęki. Że zostanę bez pracy. Że będę bez środków do życia. Że coś złego stanie się z rodzicami. Po pół roku pandemii poprosiłam o dodatkowe leki przeciwlękowe.

Psychiatra za trzysta dni

30 listopada, wtorek. Obdzwaniam poradnie zdrowia psychicznego w różnych miastach. Terminy do psychiatrów na NFZ: od kilku do kilkuset dni. O ile jednak są miejscowości, w których da się znaleźć przynajmniej jedno miejsce z nieodległym terminem, bywają takie, w których bezpłatnej pomocy po prostu nie ma.

– Chciałbym umówić się do psychiatry – mówię pani rejestratorce Wojewódzkiego Zespołu Lecznictwa Psychiatrycznego w Olsztynie.

– W tym momencie zapisujemy na 21 czerwca.

Sprawdzam. Pierwsza poradnia psychiatryczna: 117 dni oczekiwania. Druga poradnia: 348 dni. Trzecia: 112 dni.

– Czerwca?

– Wiem, to brzmi strasznie, ale tak jest niestety...

– A co, jeśli ktoś jest w złym stanie?

– A co się dzieje?

– Myśli samobójcze.

– Mogę panu podać telefony do innych poradni z Funduszu.

Sprawdzam. Poradnia pierwsza: 117 dni. Poradnia druga: 348 dni. Trzecia: 112 dni. Innych już w Olsztynie nie ma.

Ostatni ratunek: tutejszy szpital psychiatryczny. Dzwonię, rejestratorka łączy z lekarzem. Przyjmą, jeśli stan jest ciężki. Potrzebne jest skierowanie, np. od lekarza rodzinnego. No i zgoda na leczenie ze strony pacjenta. Tyle że dla wielu chorych sama myśl o szpitalu to próg nie do przejścia.

Zostaje sektor prywatny – dla wybranych. Ale i on w niektórych miastach nie nadąża za popytem. – Z psychiatrami w Krakowie nie jest może tak źle, ale ludzie, zwłaszcza ci z zaburzeniami depresyjno-lękowymi, bardzo potrzebują psychoterapii – słyszę od prof. Dudek. – A dobrzy terapeuci, nawet ci przyjmujący prywatnie, zwykle nie mają już miejsc.

– Wydolność systemu dla dzieci i młodzieży już dawno doszła do granic – dodaje Maciej Pilecki. – Mowa zarówno o gabinetach psychiatrycznych, jak i psychoterapeutycznych. Problem jest też z oddziałami szpitalnymi, których mamy w Małopolsce dwa. W jednym mieliśmy ognisko koronawirusa, przez tydzień nie przyjmowaliśmy pacjentów, a przez cztery dni ich nie konsultowaliśmy.

– Gdzie byli potrzebujący pomocy, np. ci z zamiarami samobójczymi?

– W domach. Na oddziałach pediatrycznych. Na SOR-ach. Na oddziałach dla dorosłych. To pierwsza odsłona tego kryzysu. A druga: zwykle w psychiatrii dziecięcej widać sezonowość. Np. latem jest mniejsze obłożenie. A w tym roku ta zasada nie działała. Nie pamiętam takiej sytuacji, by na oddziale z 32 łóżkami było 37 pacjentów. Z codziennymi telefonami rodziców, lekarzy. Z prośbami o natychmiastowe przyjęcie.

Anna Morawska-Borowiec opowiada o pierwszym programie bezpłatnej, zdalnej pomocy psychologicznej dla dorosłych. Ruszył 1 października dzięki Fundacji „Twarze depresji", wspartej przez Fundację Enea. Liczba konsultacji online do końca listopada to 250. – Czasami to były spotkania ratujące życie – opowiada. – Jak w przypadku pewnej osoby, którą nasza psycholog po długich rozmowach nakłoniła do wizyty u psychiatry. Miała myśli i zamiary samobójcze, a nie chciała iść do szpitala. Równocześnie okazało się, że najbliższy wolny termin w tym 200-tysięcznym mieście to około miesiąca. Mamy już ten termin zaklepany, ale musimy do niego doczekać... Temu służą regularne konsultacje z naszą panią psycholog. Jest już blisko, ale to chodzenie po krawędzi.

Jednym z kryteriów otrzymania pomocy w programie jest próg majątkowy (nie jest on jednak bezwarunkowy, innym jest np. niedostępność pomocy w danym miejscu): poniżej 1500 zł na osobę w rodzinie. Nieprzypadkowo: usługi psychiatryczne i psychoterapeutyczne tak się sprywatyzowały, że podział na uprzywilejowanych i tych bez wsparcia jest bardzo silny.

Jest też i inny podział na dwie Polski – terytorialny. Tam, gdzie działają powołane wraz z reformą psychiatrii pilotażowe Centra Zdrowia Psychicznego (jest ich 41, obejmują kilkadziesiąt powiatów i miast), wsparcie dostaje się od ręki. Można iść do centrum bez skierowania, przejść wstępną konsultację z psychologiem, który – w razie potrzeby – w ciągu 48 godzin wyśle do psychiatry albo terapeuty.

Tyle że Polska z pomocą od ręki jest znacznie mniejsza od tej drugiej.

Festiwal pięciu smaków

Milena i Anna korzystały głównie z systemu prywatnego.

Milenie pomagało też pisanie. Cztery lata temu założyła bloga i profil na Facebooku: Pokolenie Depresja. Najpierw nie miała ani płci, ani imienia, ani nazwiska. Wpisami nie dzieliła się nawet ze znajomymi. Później ujawniła, że jest kobietą. Potem podała imię. Na koniec nazwisko i miejsce pracy. – Jestem Milena Barysz, mieszkam w Warszawie, pomagam bezdomnym pracując dla Fundacji Kapucyńskiej. Od jakiegoś czasu nie mam problemu z otwartym mówieniem o swojej chorobie – deklaruje.

Anna też o niej otwarcie opowiada. Swojego prawdziwego imienia nie poda tylko z jednego powodu – nie chce publicznie mówić o problemach rodziców.

Pytam o zdrowienie. O powrót do przyjemności życia.

Milena: – Biorę leki. W październiku 2020 roku postanowiłam wrócić na terapię. Jest jesień, znoszę ją ciężko. Znów mam myśli: nie poradzę sobie, jestem beznadziejna. Ale dzięki terapii i leczeniu szybciej te nastroje przepędzam. I oddzielam fakty od myśli, jakie podsuwa głowa. Wtedy są częste momenty, kiedy myślę: życie jest fajne.

Anna: – Dzięki teleporadzie wróciłam do leków. Pomagała też obecność męża, dotyk. Mamy kanapę, gdzie się mieści jedna osoba. Ale my na niej siadaliśmy oboje. Był moment, że w pandemii nie mogliśmy już nic oglądać, bo ileż można. Tylko siedzieliśmy. Po pół roku kryzysu niektóre rzeczy znowu mnie zaczęły cieszyć. Np. festiwal Pięć Smaków, który można śledzić online. Oglądamy filmy z koleżankami, potem rozmawiamy na specjalnie stworzonej grupie. Ale to, że nie jest już najgorzej, nie znaczy, że jest idealnie. Jestem nadal zmęczona, nadal w wielu rzeczach zablokowana. Bywam śpiąca. Jest OK – dobrze to może będzie za rok.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zatroszcz się o siebie

MARTYNA SZEWCZYK-JANICKA, PSYCHOLOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA:

Z szukaniem pomocy nie warto zwlekać. W czasie, gdy u człowieka rozwija się epizod depresyjny, życie przynosi kolejne wyzwania i trudności.

ANNA KIEDRZYNEK: Czy człowiek w depresji może się uśmiechać i dowcipkować?

MARTYNA SZEWCZYK-JANICKA: Może tak być. Przekonanie wielu osób o tym, że człowiek chorujący na depresję jest zawsze smutny, przybity albo nieobecny, jest słuszne, ale są wyjątki. To nieoczywiste, ponieważ problemy mogą być ukrywane pod uśmiechem i dowcipem. Owszem, utrzymywanie się obniżonego nastroju dłużej niż dwa tygodnie jest jednym z podstawowych kryteriów diagnostycznych tej choroby. Jednak objawów depresji, poza smutkiem i poczuciem beznadziei, jest wiele.

Na przykład?

Wybuchy gniewu, agresja, pobudzenie ruchowe, zaniedbywanie higieny osobistej, nadużywanie alkoholu, ucieczka w pracę. Ale też: wybuchy płaczu, spowolnienie w funkcjonowaniu, zmiany we wzorcach snu, zmiany apetytu, zmniejszenie popędu seksualnego.

Czy jedna osoba może doświadczyć wszystkich tych objawów podczas epizodu choroby?

Niekoniecznie, bo każdy, u kogo zdiagnozowana zostanie depresja, może chorować w nieco inny sposób. Wymienione przeze mnie objawy padają na konkretny grunt, jakim jest struktura osobowości danego człowieka. U jednych silniejsza będzie tendencja do wycofania, zerwania kontaktów społecznych i popadania w rozpacz, a u drugiego – do szybkiej jazdy samochodem, samookaleczeń, zaglądania do kieliszka. Dlatego też w niektórych przypadkach mówimy o tzw. depresji maskowanej, czyli takiej, która na pierwszy rzut oka przypomina zupełnie inny problem: uzależnienie od alkoholu, pracy, szybkiej jazdy samochodem.

Z jakimi emocjami przychodzą do Pani gabinetu pacjenci z diagnozą depresji? Odczuwają lęk albo wstyd związany z tym rozpoznaniem?

Pierwsza konsultacja zawsze wiąże się z silnym przeżywaniem emocji, niezależnie od rozpoznania. Często przychodzą do mnie osoby, które już od dawna czują się źle i wiedzą, że coś jest nie tak, ale właśnie z powodu wstydu zwlekają z udaniem się do psychoterapeuty albo do psychiatry. „Bo co sobie inni pomyślą", „bo przecież ja wcale nie jestem chory", „bo na terapię tylko »wariaci« chodzą"... W wielu ludziach wciąż tkwią te fałszywe, autostygmatyzujące przekonania. W efekcie często pojawiają się w gabinecie specjalisty dopiero wtedy, gdy jest już naprawdę źle – bo do samego chorowania doszły jeszcze trudności życiowe, które wydarzyły się w międzyczasie. Jednak na szukanie pomocy nigdy nie jest za późno.

Nie chcę banalizować tego tematu, ale widzę tu trochę podobieństwo do sytuacji z bólem zęba. Na początku tylko nas lekko kłuje i wmawiamy sobie, że samo przejdzie. A gdy trafiamy do dentysty, jest już bardzo źle, bo np. wdało się zapalenie.

Z szukaniem pomocy nie warto zwlekać, bo w czasie, gdy rozwija się u człowieka epizod depresyjny, a życie toczy się dalej, pojawiają się kolejne wyzwania albo trudności. Dlatego warto zatroszczyć się o siebie jak najwcześniej. Później może nam do tego zabraknąć energii albo środków.

Weźmy taki przykład: u człowieka, który pracuje, pojawiają się symptomy depresji. Czuje się źle, ale tłumaczy sobie, że mogłoby być gorzej, że rozpoczęcie leczenia nie jest konieczne. Mijają miesiące, może lata, stany depresyjne mogą powracać. Jeśli z powodu swojego stanu zdrowia nie może pracować, straci ↦

środki do życia i możliwości leczenia – przynajmniej w sektorze prywatnym. Dla osoby z objawami depresji ta sytuacja może stać się czymś niemożliwym do udźwignięcia. Bo trzeba się przecież zmobilizować, znaleźć kolejną pracę, może w czymś podszkolić albo nawet przekwalifikować. I skąd brać na to energię, jeśli człowiekowi brakuje siły na wstanie z łóżka?

Po takim życiowym tąpnięciu może przyjść refleksja: „A może ja jednak potrzebuję terapii?". Albo może się też okazać, że w myśleniu takiej osoby nie będzie innego rozwiązania, jak zakończyć swoje życie. Tylko że wtedy okazuje się, że na terapię trzeba czekać w kolejce miesiącami albo nawet latami, bo ten system opieki w Polsce jest tragicznie niedofinansowany. Gdyby ten człowiek zdecydował się na psychoterapię wcześniej, mógłby udać się na nią prywatnie. Później, już w momencie kryzysu utraty pracy, miałby więcej narzędzi, żeby sobie z tym poradzić. Oczywiście optymalnym rozwiązaniem byłaby darmowa terapia w ramach NFZ dla wszystkich potrzebujących, ale niestety – poza interwencjami w obliczu zagrożenia zdrowia lub życia, jest trudno dostępna.

Czy są ludzie bardziej podatni na depresję od innych? I jeśli tak, to czy są jakieś sposoby, aby tę podatność zmniejszyć?

To zależy od osobowości, wsparcia społecznego, warunków życia itp. Kluczowa jest autorefleksja, uważne przyglądanie się sobie po to, aby wcześnie wyłapać pierwsze objawy tego, że dzieje się z nami coś, co odbiega od naszej normy, i poszukać wsparcia. Nie zalecałabym czekania, aż epizod depresyjny minie sam – owszem, tak się zdarza, jednak u około połowy osób, które nie podjęły leczenia, epizod może się powtórzyć. Z kolei prawdopodobieństwo wystąpienia kolejnego epizodu po drugim, nieleczonym, wynosi aż 75 procent. Jeśli stany depresyjne uporczywie powracają w odpowiedzi na życiowe trudności i kryzysy, warto poszukać pomocy u terapeuty, który pomoże nam przebudować cały system naszych mechanizmów funkcjonowania.

GRAŻYNA MAKARA

MARTYNA SZEWCZYK-JANICKA jest psychologiem o specjalności klinicznej, absolwentką Uniwersytetu SWPS oraz Szkoły Psychoterapii Psychodynamicznej w Krakowskim Centrum Psychoterapii.

Tu dochodzimy do najważniejszej kwestii – szukania specjalistycznej pomocy. Do kogo należy udać się w pierwszej kolejności: psychiatry czy terapeuty?

W wielu przypadkach konieczne jest podjęcie leczenia farmakologicznego – u lekarza psychiatry; oraz psychoterapii – u psychoterapeuty. W polskich warunkach najlepiej jest po prostu zarezerwować najwcześniejszy możliwy termin. Jeśli najpierw zasięgniemy pomocy w gabinecie terapeutycznym, psychoterapeuta może wskazać konieczność konsultacji z lekarzem. Optymalnym rozwiązaniem dla pacjenta byłaby współpraca obu tych specjalistów, ale w polskich warunkach często sam pacjent musiałby o to zadbać. Ja w swoim mieście współpracuję z różnymi specjalistami, jednak myślę, że trudniej o taką współpracę w mniejszych miejscowościach.

Kolejna sprawa to znalezienie odpowiedniego dla siebie terapeuty. Ogłoszeń i ofert w internecie jest mnóstwo. Jak się w tym nie pogubić?

Na pewno warto zacząć od zapytania specjalisty, do którego trafiliśmy, czy ma do polecenia kogoś, z kim współpracuje. Jeśli potrzebujemy intensywniejszego wsparcia, i mamy możliwość wzięcia zwolnienia w pracy, możemy szukać

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

BIAŁYSTOK, piątek, 10 grudnia 2021 r.
Spotkanie z prof. Lechem Giemzą,
„Ojczyzna jako wspólnota wyobraźni" / stacjonarnie

SŁUPSK, piątek, 10 grudnia 2021 r.,
spotkanie z ks. dr. Krzysztofem Owczarkiem SDB
„Biblia. Historia, wiarygodność, autentyczność" / stacjonarnie

RZESZÓW, piątek, 10 grudnia 2021 r.
Spotkanie z prof. Arturem Wołkiem,
„To nie jest kraj dla imigrantów" / stacjonarnie

WARSZAWA, czwartek, 16 grudnia 2021 r.
Spotkanie z Katarzyną Kubisiowską /
cykl: Piszą w Tygodniku / online

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

pomocy na oddziałach stacjonarnych lub dziennych szpitali psychiatrycznych.

Przykładowo, psychoterapia grupowa na oddziale dziennym psychiatrycznym trwa zazwyczaj trzy miesiące i może stanowić początek procesu terapeutycznego kontynuowanego w warunkach pozaszpitalnych. Są też różne nurty psychoterapii, co może wprowadzać w zakłopotanie, ale dla człowieka szukającego pomocy najważniejsza powinna być konsultacja ze specjalistą – bez względu na to, w jakim nurcie on pracuje. Jeśli jest rzetelny i godny zaufania, to nie podejmie się zadań, które przekraczają jego kompetencje.

No właśnie – jak szukać tych rzetelnych i godnych zaufania specjalistów? W Polsce nie jest to regulowane ustawą o zawodzie psychologa czy psychoterapeuty. Nie da się sprawdzić, czy ktoś posiada prawo wykonywania tego zawodu.

To może być problemem, zwłaszcza że osoby poszukujące pomocy nie mają wiedzy specjalistycznej na temat opieki w zakresie zdrowia psychicznego, tylko po prostu wpisują w Google'a np. „psycholog plus nazwa miasta" i wybierają na chybił trafił. To zrozumiałe, bo przecież wchodzą na zupełnie nieznany sobie grunt.

Zamiast tego jednak można odwiedzić strony internetowe takich organizacji jak: Polskie Towarzystwo Psychologiczne, Polskie Towarzystwo Psychiatryczne, Polskie Towarzystwo Psychoterapii Psychodynamicznej czy Polskie Towarzystwo Terapii Poznawczej i Behawioralnej. Tam znajdziemy listy członków, czyli osób posiadających niezbędne dyplomy i certyfikaty lub będących w trakcie tej ścieżki kształcenia. Gdy nie mamy pewności co do kwalifikacji, możemy zapytać o dyplomy i certyfikaty danego specjalisty. Rekomendacje dotyczące wymagań znajdziemy na stronach wymienionych towarzystw.

> U około połowy osób, które nie podjęły leczenia, epizod depresyjny może się powtórzyć. Dlatego warto pomyśleć o psychoterapii.

Czego się spodziewać po wizycie u terapeuty, a czego u psychologa?

Psychologia zajmuje się funkcjonowaniem człowieka. Psycholog nie leczy, ale powinien rozpoznać, że z człowiekiem dzieje się coś niepokojącego, i odesłać go do specjalisty – psychoterapeuty i/lub psychiatry. W tym środowisku ludzie nawzajem się kojarzą i polecają, dlatego warto w takim przypadku dopytać psychologa o dostępne w danym miejscu opcje leczenia. Z kolei psychoterapeuta podczas pierwszej konsultacji powinien wyjaśnić nam, w jaki sposób pracuje, i odnieść się do zakresu swoich kompetencji, przedstawić plan leczenia i zaproponować ewentualne inne opcje.

Wiele osób obawia się, że terapia będzie trwała długo, np. latami. Czy zawsze musi tak być?

Wszystko zależy od indywidualnego przypadku. Jeśli objawy depresji są nasilone, to terapeuta pracujący w nurcie poznawczo-behawioralnym (CBT, od *cognitive behavioral therapy*) pomoże je opracować w stosunkowo krótkim czasie. Ten rodzaj terapii jest polecany przy depresji przez amerykańskie stowarzyszenia psychologów ze względu na swoją skuteczność, ale też krótkoterminowość. Czasami jednak u pacjenta pojawia się potrzeba głębszej analizy jego powtarzających się problemów i wzorców zachowania. Może temu służyć m.in. terapia psychodynamiczna, czyli nurt, w którym pracuję, a który umożliwia dotarcie do najgłębiej ukrytych treści o nas samych i przebudowę całego systemu swoich przekonań i mechanizmów działania. Ten proces rzeczywiście trwa dość długo, np. kilka lat. Jednak zmiany, które zajdą w jego rezultacie, są trwałe.

© Rozmawiała ANNA KIEDRZYNEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Józef

Rozpieszczony nastolatek, przekonany o swojej wielkości siedemnastoletni narcyz – czyż nie tak zwykliśmy postrzegać Józefa? Ukochany synek tatusia, któremu rodzic sprawia wyjątkową szatę. To prawda, że skarży na braci i zapewne brak mu wyczucia, skoro po opowiedzeniu swojego pierwszego snu, widząc ich reakcję, decyduje się na podzielenie z nimi kolejnym.

Spróbujmy jednak spojrzeć na młodziana z innej perspektywy. Rachela umiera, rodząc Beniamina, i Józef chowa się bez matki. To nie wina chłopca, że ojciec obdarza go wyjątkową miłością i rodzeństwo jest zazdrosne. Zdobna szata jeszcze podsyca braterską nieżyczliwość, która eskaluje aż ku nienawiści. Czy tych uczuć nie dostrzega Jakub, wysyłając ulubieńca na pewną zgubę? Sychem źle wróży: to tam została zgwałcona Dina i tam zostanie podzielone Dawidowe królestwo (zob. 1 Krl 12). Posłuszny syn stara się za wszelką cenę wypełnić wolę ojca i dotrzeć do braci, choć nie znalazłszy ich tam, gdzie mieli być, mógłby spokojnie wrócić do domu.

Najwyższy często gości na wargach Józefa. Gdy niedwuznaczną propozycję składa Potifarowa żona, słyszy odeń w odpowiedzi między innymi: „Jakże miałbym spełnić tę niegodziwość wielką, i zgrzeszyć przeciw Bogu!?" (Rdz 39, 9; Cylkow). Nawet gdy zwraca się doń faraon z prośbą o interpretację snu, młodzian nie twierdzi, że dokona tego sam: „Nie ja! Bóg objawi szczęście faraona!" (41, 16). Józef przyznaje, że posiadane przezeń dary pochodzą od Najwyższego: własne prorocze sny, trafne interpretowanie snów innych, umiejętność dawania dobrych rad, zdolności przywódcze, a do tego jeszcze uroda. Nie jest arogancki: zdaje sobie sprawę, dzięki Komu osiąga tak wiele.

W hierarchii rodzinnej od małego na samym dole – tłumaczom widocznie nie mieści się to w głowie i dlatego nie oddają fragmentu wersu 2 w rozdziale 37 jako „był służącym synów Bilhy i synów Zilpy", czyli drugorzędnych żon swojego ojca. Wrzucony przez braci do dołu (wers 24; Biblia Tysiąclecia: do studni), znalazł się jeszcze głębiej.

Skoro ojciec nie rozumiał, że swoim działaniem tylko pogrąża ulubieńca, można stwierdzić, że nastolatek nie miał w domu wsparcia. Odtąd był już zdany wyłącznie na siebie – fizycznie zagubiony w wielkim świecie, wśród duchowych ograniczeń (hebr. *mecarim*) Egiptu („Micraim").

Z Bożą pomocą dźwignął się jednak z tego dołu – to samo słowo użyte jest w Ps 40, 3 – a nawet osiągnął wyżyny jako wicekról w kraju faraona. Cierpiał po to, by dzieci Izraela trafiły do Egiptu i zostały uratowane od śmierci głodowej, wybrany, by służyć. Rozpieszczony nastolatek – czyżby? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zobaczcie dobro

Wielu pytało Jana Chrzciciela: „»Co więc mamy robić?«. A On im mówił: »Kto ma dwa ubrania, niech podzieli się z tym, który nie ma. Kto ma żywność, niech czyni podobnie«. Przyszli też celnicy, aby przyjąć chrzest, i pytali go: »Nauczycielu, co mamy robić?«. A On im odpowiedział: »Nie pobierajcie więcej niż to, co wam wyznaczono«. Pytali go również żołnierze: »A my, co mamy robić?«. Powiedział do nich: »Na nikim nic nie wymuszajcie, nikomu też nic siłą nie zabierajcie, ale poprzestawajcie na swoim żołdzie«". Paweł Apostoł tak mówił do Filipian: „Radujcie się zawsze w Panu! Jeszcze raz mówię: radujcie się! (...) Pan jest blisko. O nic się nie martwcie, lecz we wszystkim przedstawiajcie wasze prośby Bogu (...), miejcie na uwadze wszystko, co sprawiedliwe, co czyste, miłe i szlachetne, wszystko, co jest cnotą i zasługuje na pochwałę. Czyńcie to, czego się nauczyliście i co przyjęliście, co usłyszeliście i zobaczyliście we mnie".

Łatwo powiedzieć, ale czym niby mam się cieszyć, skoro wokół mnie same nieszczęścia, a wielu z nich jestem sprawcą? Tylko siąść i płakać. Owszem, bywa, że człowiekowi tylko to pozostaje. „Płaczcie z płaczącymi" – mówi Paweł i radzi: „Radujcie się z radosnymi". A jednym i drugim zaleca: „Miłość niech będzie nieobłudna. Unikajcie zła, przylgnijcie do dobra. (...) W ucisku bądźcie cierpliwi, w modlitwie wytrwali. Wspomagajcie świętych, przestrzegajcie gościnności. Błogosławcie tych, którzy was prześladują; błogosławcie, a nie złorzeczcie". Pięknie, ale co to znaczy w praktyce?

Gunhild Krämer-Kornja, na skutek zażywania przez matkę nasennych tabletek Contergan (które, jak się okazało, prowadziły do poważnych uszkodzeń płodu), urodziła się ze skróconymi rękami, z czterema palcami u każdej dłoni, z odbytem znajdującym się z boku biodra. Przeżyła wiele skomplikowanych operacji. Przechodzi rehabilitację. Uczy się sztuk walki, zdobywa pas w ju-jitsu, przez trzydzieści lat pracuje w Urzędzie Stanu Cywilnego. Wychodzi za mąż i zostaje matką. „Ale nie ma w niej gniewu – pisze Andrzej Gurkow w „Deutsche Welle". – Co dodaje jej odwagi? Życie. Bycie świadkiem, jak dorasta jej wnuczka. Jej motto, gdy los uderza: Upadaj, podnoś się i idź dalej".

Klaus Michel dzisiaj ma 60 lat. Choć nie dawano mu szans na życie, ukończył szkołę, przez kilkadziesiąt lat pracował, przeszedł na emeryturę, ale nadal uprawia sport, angażuje się w życie parafii i szkoły syna. W zarządzie Federalnego Stowarzyszenia Ofiar Conterganu prowadzi kampanię na rzecz lepszej opieki medycznej. Podobnie potoczyły się losy Claudii Weinert. Wspomniani tutaj, i wielu innych nieznanych, na ten życiowy sukces ciężko zapracowało, a równie ciężko pracowały ich rodziny, społeczeństwo i państwo. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wiara obcego

Adwent rozpoczęliśmy (niemal) Ewangelią o uzdrowieniu sługi setnika (zob. Mt 8, 5-13).

Jezus przychodzi do Kafarnaum, to znaczy do „swojego miasta", to znaczy (dziś) do... Kościoła. Zaraz za bramą podchodzi do niego setnik: oficer rzymskiej armii (poganin i wróg). Wszyscy znamy tę rozmowę – setnik prosi o uzdrowienie swojego sługi.

Dialog kończy się pochwałą wiary setnika. Zdumiony Jezus mówi do otaczających Go Żydów: „U nikogo w Izraelu nie znalazłem takiej wiary"; i zapowiada: „przyjdą liczni ze wschodu i zachodu i zajmą miejsce przy stole z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem; a synowie królestwa zostaną wyrzuceni w zewnętrzne ciemności".

Nie wolno nam nie zapytać o wiarę setnika. Co takiego jest w wierze tego „obcego", czego Pan nie może się doszukać w wierze „synów królestwa"?

Wydaje się, że na wiarę setnika składają się dwa istotne momenty.

Pierwszym z nich jest świadomość własnego grzechu. Wypowiada ją w słowach: „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł pod mój dach". Drugim jest wiara w moc Słowa i otwarcie się na Jego działanie: „Powiedz tylko Słowo, a mój sługa będzie zdrowy".

Świadomość grzechu i poddanie się Słowu. Dlaczego obcy setnik je ma, a swoi „synowie królestwa" ich nie mają (w każdym razie Jezus nie znajduje ich u nich w porównywalnym do wiary setnika stopniu)?

Być może poczucie własnego grzechu nie może się w nich „przebić" przez poczucie wybraństwa?

Wierzą, że są „Ludem świętym". Narodem kapłańskim. Szczególną własnością Boga. Są przez Niego wybrani. I powołani. I wszystko to jest prawdą! Tyle tylko, że to wcale nie czyni ich bezgrzesznymi...

Podobnie rzecz się ma (przynajmniej może się tak mieć) z poddaniem swego życia Słowu Boga. Oni są wszakże tymi, którym Pan zawierzył Słowo. Są Jego wykładowcami i nauczycielami. Całe godziny poświęcają studiom nad Nim i Jego nowym interpretacjom. Nauczycielom Słowa – być może – trudno jest wrócić do postawy uczniów Słowa? Zżyli się z Nim (nic w tym złego), rzadko ich zaskakuje. Jego moc potrafią „oswoić" bezpiecznym wykładem.

I tak, u siebie w domu – wśród swoich – Jezus zachwyca się wiarą obcego. Oby, przynajmniej, „swoi" się nie obrazili. ©

Miłość nie jest pociechą.
Jest światłem.

SIMONE WEIL

Cokolwiek trzyma twój
umysł – zapomnij to.
Cokolwiek trzymasz
w rękach – oddaj to.
Cokolwiek jest twoim
losem – staw temu czoło.

ABU SA'ID ABU'L-KHAYR

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 XII)

3. niedziela adwentu: So 3, 14-17; Ps: Iz 12, 2-6; Flp 4, 4-7; Łk 3, 10-18;
Poniedziałek: Lb 24, 2-7. 15-17a; Ps 25; Mt 21, 23-27;
Wtorek: So 3, 1-2. 9-13; Ps 34; Mt 21, 28-32;
Środa: Iz 45, 6b-8. 18. 21b-25; Ps 85; Łk 7, 18b-23;
Czwartek: Iz 54, 1-10; Ps 30; Łk 7, 24-30;
Piątek: Rdz 49, 1a. 2. 8-10; Ps 72; Mt 1, 1-17;
Sobota: Jr 23, 5-8; Ps 72; Mt 1, 18-24;
4. niedziela adwentu: Mi 5, 1-4a; Ps 80; Hbr 10, 5-10; Łk 1, 39-45.

Obchody 610. rocznicy bitwy pod Grunwaldem z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego. 15 lipca 2020 r.

PAŃSTWO HYBRYDOWE

Cena, jaką przyjdzie nam zapłacić za kolejne zwycięstwo PiS, wciąż rośnie. Istotą tych rządów jest dewastacja struktur państwowych i samorządowych, a także odebranie im logiki działania, obliczonej na dobro wspólne.

RAFAŁ MATYJA

Ostatnie miesiące to okres przyspieszonego rozpadu struktur polskiego państwa. Sektor publiczny, administracja czy samorząd terytorialny kierują się w tej sytuacji doraźną logiką przetrwania. Rząd Mateusza Morawieckiego, zamiast skutecznie wyprowadzać nas z kryzysu wywołanego lockdownem, podejmuje przedsięwzięcia propagandowe, mające ratować sondażową pozycję PiS. Nawet w sprawie konfliktu z Białorusią długo nie próbował porozumienia z opozycją, wykorzystując lęk i emocje do uderzania w przeciwników politycznych.

Czego się nie naprawi

Na co dzień zwracamy uwagę jedynie na doraźne konsekwencje tego stanu rzeczy. Nie bierzemy pod uwagę, że zmiany, którym ulegają struktury państwa, będą trudne do odwrócenia. Nawet jeżeli pojawi się siła polityczna chcąca naprawić państwo po rządach PiS, będzie musiała zmierzyć się z faktem, że wiele z tych zmian ma charakter nieodwracalny. Ktoś, kto odszedł ze służby publicznej, rzadko ma ochotę do niej wrócić, bo raz zachwiane zaufanie trudno odbudować. Podobnie jak dobrze funkcjonujące reguły nieformalne.

W dodatku część dzisiejszej opozycji może te zepsute przez PiS reguły potraktować jako ułatwiające sprawowanie władzy. W szczególności dotyczy to mediów (publicznych i znacjonalizowanych tylnymi drzwiami, jak Polska Press), spółek Skarbu Państwa, służb specjalnych czy prokuratury. Osobną kwestią okażą się porządki, które trzeba będzie przeprowadzić tam, gdzie kiedyś funkcjonowała służba cywilna.

Łatwiej jednak wykorzystać istniejące w wielu instytucjach podziały, znaleźć „swoich" prokuratorów i urzędników, powierzyć media publiczne „swoim" dziennikarzom, a do spółek ściągnąć kolegów, którzy chcą „sprawdzić się w biznesie", niż tworzyć przyzwoite reguły. Zwłaszcza że na początku będzie ciężko. Jeżeli opozycja przejmie władzę w 2023 r., to przez dwa lata będzie rządzić w warunkach blokady działań ze strony prezydenta. A także w ostrym konflikcie z elektoratem PiS, przerażonym na skutek siedmioletniej propagandy oraz przekonanym, że władzę w Polsce przejęli „obcy". To zaś będzie usprawiedliwiać wszystkie znane wcześniej chwyty: wymuszanie jednolitego frontu mediów, tłumienie krytyki i postulatów ambitniejszej polityki, unikanie działań mało popularnych. Z postulatami zmian ustrojowych będziemy odsyłani na czas „po zaprowadzeniu porządku". Czyli może na trzecią dekadę.

Logika przetrwania

To może oznaczać wymuszone pogodzenie się z hybrydyzacją państwa – sytuacją, w której jego poszczególne części kierują się logiką przetrwania, nieuwzględniającą szerszego kontekstu.

W niektórych sferach – takich jak opieka zdrowotna czy oświata – będzie to oznaczać przyspieszone zwijanie się państwa, redukcję personelu i zadań, obniżanie jakości usług, wypychanie coraz szerszych grup społecznych do instytucji prywatnych, poza obszar nieodpłatnych świadczeń medycznych i edukacyjnych. To zaś będzie napędzać podziały społeczne i rozwarstwienie, gdyż ludzi biedniejszych nie będzie stać na ucieczkę do prywatnych szkół i gabinetów medycznych. Co gorsza – zasada, by tym grupom wyrównywać straty poprzez bezpośrednie transfery, także będzie trudna do naruszenia. Wszak ideą przewodnią nowej władzy będzie zablokowanie powrotu PiS na tak długo, na jak długo się da.

Zamiast podjąć sensowne próby nadrobienia strat w szkolnictwie, spowodowanych pandemią i nauczaniem zdalnym, rząd uczynił ten obszar polem nieprawdopodobnej ofensywy propagandowej. Obliczonej nie tyle na przekonanie uczniów, ile na stłamszenie nauczycieli i sterroryzowanie dyrektorów. Oraz na stworzenie wrażenia, że w PiS są tak samo twardzi politycy jak Zbigniew Ziobro. Nawet Jarosław Kaczyński nie uwierzy przecież, że jakaś nastolatka lub nastolatek pod wpływem rekomendowanych przez ministerstwo metod zapłonie miłością do Kościoła lub przyjmie za własne nacjonalistyczne aberracje prawicowych patriotów.

Trudno też uwierzyć w dobre intencje ministra Adama Niedzielskiego, gdy rząd funduje nam kolejny kryzys w instytucjach opieki zdrowotnej, nie podejmując aktywnej walki z czwartą falą epidemii, a w jej ramach nie ograniczając w jakikolwiek sposób praw osób niezaszczepionych. Trzeba być bardzo naiwnym, by uwierzyć, że nie ma to żadnego związku z przekonaniami elektoratu PiS i jego postawą życiową. Zbieżność między mapami poparcia dla tej partii i terytorialnym rozkładem odmów szczepienia jest zbyt oczywista, by uznać ją za przypadek.

W tych dwóch kluczowych dla społeczeństwa obszarach PiS postanowił podporządkować politykę państwa celom sondażowym. Zrobił to, lekceważąc poważne problemy psychologiczne i wychowawcze, jakie objawiły się w ostatnich kilkunastu miesiącach. W efekcie ograniczył zakres usług medycznych na rzecz kolejnej mobilizacji szpitali do walki z falą covid. Warto też zwrócić uwagę na rosnące problemy kadrowe obu sektorów, by zrozumieć trwałe szkody, jakie powoduje taka polityka.

Na granicy

Stan wyjątkowy ogłoszony w gminach przygranicznych również jest częścią polityki wewnętrznej i sondażowej. Jeżeli ktoś miał co do tego wątpliwości, to zarówno przekaz TVP, jak i postawa prezydenta niedecydującego się na zwołanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego czy też wydźwięk słynnej już konferencji ministrów Kamińskiego i Błaszczaka, dały wystarczające podstawy do zrozumienia – w gruncie rzeczy antypaństwowej – przebiegłości rządzących. Liczy się doraźny efekt propagandowy: to, co się da wycisnąć z obecnej sytuacji, a nie jakiś tam miraż narodowej jedności czy współdziałania sił politycznych.

Co więcej, część zadań postawionych przed służbami mundurowymi – zarówno gdy chodzi o push-backi, jak i zachowania wobec mediów oraz organizacji pozarządowych – też prowadzi do degeneracji struktur państwa. Ludzie zmuszani do działań wbrew elementarnym odruchom etycznym, do lekceważenia konstytucyjnych praw i wolności współobywateli, nie staną się za rok świetnymi funkcjonariuszami. Podobnie jak nie odbuduje się z dnia na dzień autorytetu służby pacyfikującej Strajk Kobiet.

Trudno nie odnieść wrażenia, że oburzenie sporej części obywateli metodami, jakie stosuje dziś państwo, jest na rękę władzom. Generuje podział, który od lat jest paliwem polityki PiS. Wzór z Nowogrodzkiej jest prosty: im więcej sprzeciwów wobec wyrzucania dzieci do lasu, tym większy strach i lojalność elektoratu prawicy. Im więcej wezwań do pomocy humanitarnej, tym większa determinacja w pogardzie „dla wrogów ojczyzny".

To uderza nie tylko w etos i sprawność służb mundurowych, które skupiają ludzi o różnych poglądach, ale także w fundamentalną (na wypadek eskalacji konfliktu na Wschodzie) zdolność do społecznego współdziałania. Sugerowany przez wielu atak Putina na Ukrainę zastanie nas w politycznej rozsypce, skłóconych i nieufających sobie wzajemnie. Ale nawet w przypadku łagodniejszym – pozostaniemy nieufni wobec części działań polskich służb mundurowych, polskiej dyplomacji czy administracji.

Topienie samorządów

Na to wszystko nakładają się zapowiedzi coraz silniejszej wojny między strukturami centrum a samorządami. Z jednej ↦

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

↦ strony nastąpi nacisk finansowy, który może opierać się na mechanizmie warunkowego wyrównywania strat, spowodowanych nowymi przepisami. Samorządy dostaną rekompensaty, ale w dwóch częściach. Cześć obligatoryjna będzie tracić swą wartość na rzecz sporej nagrody „za dobre sprawowanie", przyznawanej na podstawie oceny danego prezydenta czy burmistrza przez właściwe organa PiS.

Krnąbrni nie zepną budżetu, umiarkowanie posłuszni zepną ledwo, a grzecznym dostaną się bonusy. Już dziś wielu samorządowców zastanawia się, czy nie lepiej załapać się przynajmniej do drugiej grupy i nie ryzykować rozczarowania mieszkańców w ostatnich latach przed wyborami.

Ale topienie samorządów to nie tylko finanse. To także osłabianie ich władzy w obrębie oświaty, a wcześniej ochrony środowiska czy – na szczęście niezbyt udane – ograniczanie transportu publicznego. Z kolei wzmocnienie roli kuratoriów kosztem realnego nadzoru przez gminy i powiaty to krok w kierunku „odsamorządowienia" szkół – tak, by na ich głowach zostawić co najwyżej remonty i inwestycje. W tym samym kierunku szło przejęcie Wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska oraz zapowiedź wsparcia transportu lokalnego tak, by to od budżetu centralnego realnie zależało wiele połączeń.

Manipulacje PiS w tym obszarze idą bardzo szeroko. Jak pokazały badania profesorów Jarosława Flisa i Pawła Swianiewicza, PiS dość ostentacyjnie rozróżnia wsparcie dla samorządów „swoich" i reszty. Rządowe media i wojewodowie ostro atakowali prezydentów związanych z opozycją w Warszawie, Łodzi, Lublinie i Gdańsku. Do tego dochodziła gra na wywołanie polaryzacji ideologicznej przy pomocy haniebnych uchwał anty-LGBT czy nagonki na dyrektorów szkół.

Zepchnięcie samorządu na pozycję administratora usług publicznych, z trudem walczącego o utrzymanie ich dotychczasowego poziomu, to działanie z państwowego punktu widzenia samobójcze. Grożące w warunkach kryzysu całkowitym paraliżem części usług publicznych – nie tylko wskutek braku środków, ale też stopniowego ich ograniczania oraz odchodzenia sporej części dobrych pracowników do sektora prywatnego.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało zredukowane do lekko zdezelowanego departamentu kryzysowego. Wszystko wygląda tak, jakby resort ten **musiał dopisywać strategię i taktykę do losowo dobieranych posunięć partii.**

Ktoś powie: ryzykowne dla państwa, ale dające nadzieję na jeden czy dwa punkty w grze o reelekcję. To samo można powiedzieć, gdy obserwujemy lekceważenie rządu dla możliwej utraty środków unijnych albo nieprzejmowanie się stratami wizerunkowymi, powodowanymi przez fatalną politykę międzynarodową. Cena, jaką mamy wszyscy zapłacić za zwycięstwo PiS, staje się coraz wyższa.

Oportuniści

Cena ta znacząco wzrosła, gdy okazało się, że za błędy popełnione przez rządzących w obszarze zmian w sądownictwie przyjdzie Polsce zapłacić blokadą dostępu do środków europejskich. Co więcej: nie ma w rządzie podmiotu, który odmówiłby płacenia tak wysokiej ceny. Nie jest nim ani premier Mateusz Morawiecki, ani nawet szef całej formacji Jarosław Kaczyński, który do końca kadencji będzie musiał ulegać szantażom Solidarnej Polski, stającej się podmiotem dyktującym całemu obozowi strategię konfrontacji z wszystkimi partnerami międzynarodowymi.

Nasza polityka zagraniczna nie tylko nie jest kształtowana ponad podziałami partyjnymi, ale przeciwnie: jest instrumentalizowana w rozgrywce z opozycją i podporządkowana logice rozgrywki w obozie władzy. Kaczyński wybiera ryzykowną grę na osłabienie pozycji międzynarodowej po to, by nie odkleił mu się antyeuropejsko zorientowany partner. Z partyjnego lidera pozującego na męża stanu, prezes PiS stał się w tej grze przestraszonym oportunistą, udającym przywódcę obozu rządzącego.

W tej sytuacji Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało zredukowane co najwyżej do lekko zdezelowanego departamentu kryzysowego. To nie ono kreuje politykę zagraniczną, nie ono określa tempo i kierunek działań – co gorsza, zapewne nie istnieje nikt, kto to robi. Wszystko wygląda tak, jakby resort ten musiał dopisywać strategię i taktykę do losowo dobieranych posunięć.

Propaganda u władzy

Cena błędów będzie zatem rosła. I rząd nie będzie próbował jej obniżyć. Przeciwnie – w znaczącej części stał się już przecież komitetem propagandy, co widać nie tylko w mailach wyciekających ze skrzynek ministrów. Wystarczy obserwowanie aktywności premiera i słuchanie jego przekazów do elektoratu. To pierwszy szef rządu, który nawet nie próbuje mówić do ogółu obywateli i gotów jest zrażać zwolenników opozycji po to, żeby podgrzać emocje „swoich Polaków".

Zatem rząd nie tylko nie widzi stanu rozpadania się państwa na coraz gorzej wypełniające swoje zadania sektory i nie czuje się odpowiedzialny za tworzenie warunków ich koordynacji. Przeciwnie: widzi swoją szansę w pogłębianiu społecznego i politycznego konfliktu w Polsce, szuka nowych pól konfrontacji.

Ten przekaz nie jest przy tym fasadą rządów, ale ich treścią. Nie jest programem, ale głównym przekazem rządzących. Reszta jest sztuką utrzymania się przy władzy i zachowywania kontroli nad własnymi strukturami. Nic zatem dziwnego, że państwo podporządkowane jest logice partyjnej, a rząd dał się sprowadzić do roli organizatora propagandy i narzędzia rozgrywki z opozycją oraz niesfornymi częściami koalicji rządzącej.

Sprawa, która wydaje się istotna w płaszczyźnie rywalizacji partyjnej, jest czymś dramatycznym w perspektywie funkcjonowania państwa. Mateusz Morawiecki nie występuje wszak w dwóch dających się łatwo rozdzielić rolach. To, co mówi jako lider partyjnej propagandy – to zarazem słowa premiera. Optyka partyjnego fanatyzmu staje się tym samym sposobem widzenia spraw przez państwo. A podwładni szefa rządu słuchają narracji inaczej niż widzowie krytycznej wobec rządu telewizji czy słuchacze sympatyzującego z opozycją radia. Warto o tym pamiętać.

Państwo ślepnie

Struktury państwa stają się niewrażliwe na sygnały dotyczące poważnych problemów, bo są one ostentacyjnie lekceważone przez przełożonych urzędów, służb, instytucji publicznych. Dezynwoltura szefa banku centralnego ma wpływ na ludzi, którzy powinni starać się o jakość pracy tej instytucji. Jak przekazywać ostrzegawcze sygnały komuś, kto nawet te widoczne dla szerokiej opinii traktuje wyłącznie jako wrogie wytwory wyobraźni?

Ludzie sygnalizujący problemy – wszystko jedno: w służbach mundurowych, opiece zdrowotnej, w oświacie – muszą się liczyć z nieprzyjemnościami ze strony przełożonych. Machina jest nastawiona na odbiór sygnałów o tym, że jest dobrze. Sygnały przeciwne są odrzucane, a ich potencjalni autorzy zniechęcani. Wszystkie służby publiczne są przestawiane tak, by nie widziały tego, czego władza widzieć nie chce i nie lubi. Ma być tak, jak w TVP Info, a jeżeli jest inaczej, to znaczy, że mamy do czynienia z uprzedzeniami i wrogą wobec rządu postawą.

Ten proces będzie postępował, bo wielu ludzi jeszcze coś widzących, ale będących na niższych piętrach władzy nie będzie ryzykować kariery i spokoju, by ostrzegać przed zagrożeniem, któremu obóz władzy publicznie zaprzecza. Stare ostrzeżenia politologów przed zawłaszczaniem państwa przez partie są w tej perspektywie banalne. Istotą rządów PiS jest dewastacja podporządkowanych mu struktur, odebranie im logiki państwowej, obliczonej na dobro wspólne. Fakt, że poprzednicy rządzących mają niejedno na sumieniu, nie oznacza, że możemy usprawiedliwiać to, co dzieje się teraz. Między ludźmi, którzy kradną drzewo z lasu, a tymi, którzy ten las podpalają, jest trudna do pominięcia różnica.

Dziś od koalicji partii ważniejsza jest koalicja związków i środowisk zawodowych, samorządów, uczelni i instytucji niepodlegających rządowi.

Koalicja nie przeciwko PiS, tylko przeciwko jego pomysłom na psucie państwa.

Więcej niż opozycja

Oczywiście można – jak czyni wielu – czekać z nadzieją na zmianę władzy. Można nawet naiwnie liczyć na rozliczenie obecnie rządzących. Ale w tym czekaniu i w tej nadziei wyraża się pewna bezradność wobec procesu podupadania instytucji i ich słabnięcia. Do 2019 r. czy nawet 2020 r. można było kwitować sprawę stwierdzeniem, że potrzebujemy dobrej opozycji, posiadającej przygotowaną alternatywę programową, potrafiącej współdziałać i dobrze komunikującej się z obywatelami. Dziś to nie wystarczy. Zmiana władzy nie jest wystarczającym warunkiem naprawy państwa. Podobnie jak konieczność powstrzymania jego rozpadu nie jest czymś, z czym można czekać kolejny rok czy dwa.

Dziś od koalicji klubów parlamentarnych ważniejsza jest koalicja związków i środowisk zawodowych, samorządów terytorialnych różnego szczebla, uczelni i instytucji publicznych niepodlegających bezpośrednio rządowi. Koalicja nie przeciwko rządzącym, tylko przeciwko ich pomysłom na psucie państwa. Nawet bowiem gdy opozycji uda się przejęcie władzy z rąk PiS, możemy być pewni sporu o to, jaki będzie jej program. Czy w centrum jej uwagi znajdzie się konieczność naprawy sektora publicznego i wzmocnienia samorządu terytorialnego, czy postawi na dryf i politykę podporządkowaną sondażom? Jeżeli nawet wybierze to pierwsze, utrzyma kurs tylko pod zinstytucjonalizowaną presją społeczną.

Już dziś można budować prestiż instytucji, które potrafiłyby solidarnie sprzeciwić się psuciu państwa, a potem wspierać wysiłki jego naprawy. To trudne, bo stan sektora publicznego, ukształtowane w nim wzorce współpracy i przywództwa pozostawiają wiele do życzenia. A jednak trzeba powtarzać, że kolejne miesiące bierności doprowadzą do zapaści. Proste zwycięstwo opozycji i zmiana rządów to zatem zbyt mało.

Kryzys na granicy przyniósł pojedyncze głosy wydziałów wyższych uczelni, broniące praw człowieka. Degradacja instytucji opieki zdrowotnej zaowocowała powołaniem białego miasteczka. Sprzeciw ma charakter punktowy, często łatwy do zlekceważenia, ale logika obrony elementarnych standardów interesu publicznego każe wyjść poza taki partykularyzm i mówić w obronie państwa jako całości. To prawo konstytucja przyznaje wprawdzie organom takim jak prezydent i rada ministrów, ale w chwili gdy one abdykują, porzucając logikę określoną przez ustawę zasadniczą – warto poszukać tymczasowego zastępstwa, a więc innych niż konstytucyjni obrońców państwa przed jego postępującym rozczłonkowaniem.

© RAFAŁ MATYJA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kup komplet odświętny i zadbaj o dobry nastrój*

Napisz na **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl** a my zajmiemy się resztą!

Tylko **35 zł za komplet** + przesyłka w prezencie

**oferta ważna do wyczerpania zestawów*

Wietnamski szlak

BARTOSZ JÓZEFIAK

Przemyt ludzi przez wschodnią granicę nie zaczął się latem. Polska od dawna pełni funkcję ważnego węzła przerzutowego ofiar handlu ludźmi.

Przepraszam, mamo. Moja podróż za granicę się nie powiodła. Bardzo cię kocham! Umieram, nie mogę oddychać" – napisała 26-letnia Pham Thi Tra My tuż przed śmiercią. 23 października 2019 r. jej ciało znaleziono razem z 38 innymi Wietnamczykami w naczepie ciężarówki zaparkowanej w Essex w Wielkiej Brytanii. Pasażerowie zmarli z przegrzania i braku tlenu. Wśród ofiar było dziesięcioro nastolatków.

Tragedia ta wstrząsnęła Europą. Teraz, po trwającym dwa lata śledztwie, przed sądem w Brugii ruszył proces prawdopodobnych organizatorów przerzutu. Temat był szeroko komentowany od Berlina po Londyn, ale w Warszawie nie wzbudził emocji. Szkoda, bo to właśnie Polska jest jednym z kluczowych ogniw przemytniczego szlaku i wiele wskazuje na to, że ofiary znalezione w Essex zaliczyły przystanek właśnie u nas. Polski rząd, strojący się dziś w piórka obrońców Europy przed zalewem migrantów, spóźnił się o jakieś dwie dekady. Latami nie pilnowaliśmy wschodniej granicy. Robili to za nas Białorusini.

Tarzan mówi po rosyjsku

Płacą od 10 do 20, czasem nawet 40 tysięcy dolarów za trasę z Hanoi do zachodniej Europy. Dla większości są to astronomiczne kwoty. Na ich podróż często składa się cała rodzina, włącznie z dalekimi kuzynami. Zakładają, że wysłany w daleką podróż krewny będzie słał w rodzinne strony ciężko zarobione euro. Inni zastawiają swoje domy albo biorą pożyczki u lichwiarzy. Kolejni usłyszą od przemytników: „Nie masz pieniędzy? Nie szkodzi. Odpracujesz po drodze".

20-letni Hung z wioski Nghi Van był rolnikiem, miesięcznie zarabiał sto dolarów. Nie był w stanie utrzymać się za takie pieniądze. 24-letnia Hai pochodząca z milionowego Hải Phòng handlowała ciuchami na bazarze. Jej mama była ciężko chora, a przemytnicy obiecali jej, że w Europie zarobi tysiąc euro miesięcznie. 16-letni Van był sierotą, pochodził z małej wioski nad zatoką Hạ Long. Zarabiał na życie czyszcząc buty i sprzedając kupony lotto. Żeby wyjechać do Europy, oddał przemytnikom dom po babci.

Cała trójka wraz z kolejną dziewiątką Wietnamczyków podróżowała busem, który rozbił się we wrześniu 2015 r. pod Poznaniem. Przez ten wypadek Straż Graniczna trafiła na trop gangu handlarzy ludźmi, jednego z wielu, które operują w Polsce. Dzięki rozmowom z ofiarami, śledczymi i organizatorami poznaliśmy szczegóły przemytniczego procederu.

ONZ szacuje, że rocznie do Europy trafia nielegalnie ok. 18 tys. Wietnamczyków. Pierwszym ogniwem łańcucha są wietnamscy przemytnicy, bo to oni za łapówki załatwiają rosyjskie wizy. Po wylądowaniu w Moskwie, migranci wpadają w ręce miejscowej mafii. Odtąd ich los zależy od szczęścia. Według śledczych mogą trafić do zamkniętych magazynów. Mężczyznom grozi niewolnicza praca na budowach, dziewczynom: wizyty na ekskluzywnych przyjęciach, gdzie będą bite i przymuszane do seksu. Większości nie spotka jednak nic złego.

Najtrudniejszy etap podróży to nielegalny transport z Rosji do Europy. Do niedawna główny szlak wiódł przez Kijów i naszą granicę w Bieszczadach, po wybuchu wojny w Donbasie stracił jednak na znaczeniu. Pozostała trasa przecinająca granicę rosyjsko-łotewską lub białorusko-polską. Ta sama, którą dzisiaj wykorzystują białoruskie służby do przepychania migrantów z Bliskiego Wschodu.

Marcin, warszawski gangster, który zajmował się transportami Wietnamczyków, przekonywał mnie długo, że przewodnikami na tym szlaku od lat są ludzie z rosyjskich i białoruskich służb. – Wołaliśmy na nich „Tarzani" – opowiadał. Wietnamczyków ukrytych pod plandekami ciężarówek dowozili do granicy, którą musieli pokonać na piechotę. Przeprowadzali ich mężczyźni w kominiarkach mówiący po rosyjsku.

Z opowieści śledczych wynika z kolei, że po polskiej stronie do akcji wkracza następna grupa w międzynarodowej siatce – kierowcy z Polski. Ofiary przemytu pakowane są do busów z wypożyczalni i zawożone do podwarszawskich miejscowości, niedaleko barów z wietnamskim jedzeniem lub hurtowni tkanin w Wólce Kosowskiej.

Za organizację transportów odpowiadają nasi rodzimi gangsterzy lub Czeczeni. Do pracy zatrudniają polskich taksówkarzy, płacąc nawet 3 tys. zł za kurs na trasie Warszawa–Berlin. Takich przejazdów kierowca może mieć po kilka w tygodniu. Złapany usłyszy co najwyżej zarzut pomocy w nielegalnym przekroczeniu granicy, za co grozi mu kilka miesięcy więzienia w zawieszeniu. Oskarżenie o udział w handlu ludźmi to jednak rzadkość. Migrant musiałby w trakcie podróży doznać przemocy lub przymusu, by można było go nazwać ofiarą handlu ludźmi. Granica między „zwykłym" wyzyskiem a niewolniczą pracą jest jednak płynna. Ci, którzy nielegalnie wjechali do Europy, harują po 12–14 godzin w salonach paznokci lub restauracjach z orientalnym jedzeniem. Irena Dawid-Olczyk z fundacji La Strada tłumaczy, że psychologiczny mechanizm długu jest czynnikiem, który najsilniej wiąże ofiarę z oprawcą.

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Zatrzymanie przez policję na trasie S8 busa przewożącego migrantów. Wieś Sikory-Piotrowięta, woj. podlaskie. 29 października 2021 r.

Współcześni niewolnicy

Z pomocą kierowców gangsterzy z Polski przekazują ofiary dalej, do swoich kolegów po fachu z Niemiec.

W aktach sprawy prowadzonej przez niemiecką policję odnalazłem informacje o grupie przestępczej operującej na terenie targowiska Dong Xuan Center w Berlinie. W jej skład wchodzili zarówno Wietnamczycy, jak i Polacy.

Ofiary przywożone z naszego kraju, często nastolatki, trafiały do prywatnych mieszkań wietnamskiego gangu. Sprzedawały narkotyki lub papierosy, pracowały w salonie paznokci. Jeden z przestępców przekonywał policjantów, że znalezieni w jego mieszkaniu chłopcy to tak naprawdę synowie.

Przemytniczy szlak nie kończy się na Niemczech. Wiedzie dalej, przez Belgię, Holandię i Francję do Wielkiej Brytanii, gdzie ofiary zmuszane są do prostytucji, pracują na plantacjach marihuany lub w salonach kosmetycznych. Najpewniej taki właśnie los czekałby 39 osób, które zmarły w ciężarówce zaparkowanej w Essex.

Na początku tego roku sąd w Londynie skazał ośmioro członków gangu na kary od 3 do 27 lat więzienia, w tym czterech odpowiedzialnych za tragedię w Essex. Belgijski wątek sprawy dotyczy 24 mężczyzn, którzy odpowiadali za wcześniejszy etap podróży Wietnamczyków znalezionych w ciężarówce. Prokuratura chce udowodnić, że transport 39 ofiar nie był pierwszym przemytem organizowanym przez tę grupę. Akta sprawy liczą 20 tys. stron. Oskarżeni mogą trafić do więzienia na 15 lat.

– Widać, że służby traktują tę sprawę priorytetowo. Niestety, w przeszłości bywało z tym różnie. Kilkoro przemytników odpowiedzialnych za tragedię było już wcześniej na celowniku śledczych, nie zostali jednak zatrzymani – opowiada Wouter Woussen, dziennikarz relacjonujący proces dla belgijskiej gazety „De Standaard".

Tragicznie brzmi zwłaszcza historia 17-letniego Tran Ngoc Hieu i starszego o rok Dinh Dinh Thai Quyen. Holenderska policja pierwszy raz trafiła na nich w ciężarówce jadącej z Niemiec w maju 2019 r. Hieu zgodził się zeznawać. Twierdził, że przyleciał do Moskwy na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Tam grupa Wietnamczyków przekonała go do podróży na zachód. Spędził półtora miesiąca w mieszkaniu gdzieś w Rosji, następnie przewieziono go do Niemiec. Pamiętał imiona przemytników, ale „zapomniał" wszystkie numery telefonów, adresy i miejscowości, w których przebywał.

Niepełne zeznania to norma wśród ofiar handlu ludźmi, także w Polsce. Część z nich celowo gubi dokumenty, zaniża swój wiek. Dzięki temu liczą na lepsze traktowanie, bo jako „nieletni" trafią do domów dziecka. Alternatywą są dla nich zamknięte ośrodki dla migrantów i deportacje.

Hieu i Quyen trafili do ośrodka dla nieletnich. W teorii takie miejsca są dobrze ukryte, a ich adresy tajne. W praktyce nieletni Wietnamczycy niejednokrotnie trafiają z powrotem w ręce przemytników. Ochrony nieletnich nie ułatwia fakt, że takie ośrodki są otwarte, zarówno w Niemczech, jak i w Polsce.

Hieu i Quyen wyszli ze schroniska 11 listopada 2019 r. Wsiedli w taksówkę, dojechali do mieszkania pod Brukselą, gdzie spędzili dwa tygodnie. Stamtąd trafili na pakę ciężarówki zmierzającej do Wielkiej Brytanii. Kilka godzin później udusili się wraz z 37 innymi ofiarami.

Rzeczpospolita niewzruszona

Polskie władze nieszczególnie przejęły się tragedią w Essex. Tak wynika z raportu departamentu stanu USA, który co roku bada, w jaki sposób poszczególne kraje radzą sobie z handlem ludźmi. Najnowsza odsłona raportu pokazuje, że polskie władze są nieprzygotowane do zwalczania procederu. Krytyka spadła między innymi na Państwową Inspekcję Pracy, która przez dwa lata nie była w stanie znaleźć ani jednej ofiary handlu ludźmi. W polskim prawie brakuje nawet klarownej definicji tego procederu, który klasyfikuje się jako stręczycielstwo albo łamanie praw pracowniczych, bo te przestępstwa łatwiej udowodnić w sądzie. Kary za nie są jednak znacznie niższe.

W czasie pandemii skala przemytu mocno zmalała. Jeszcze w 2018 r. w Polsce schwytano 227 Wietnamczyków, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, rok później: 115. W 2020 r. strażnicy graniczni znaleźli tylko 29 takich osób.

– Pandemia nie sprzyja podróżom, a do tego Wietnam do niedawna był szczelnie zamknięty, władze praktycznie odcięły kraj. Poza tym poważni przemytnicy zwinęli żagle, nie będą się teraz pchali na naszą wschodnią granicę, skoro oczy wszystkich skierowane są właśnie tam – twierdzi mój rozmówca ze Straży Granicznej.

Nie miejmy jednak złudzeń – gdy tylko sytuacja się uspokoi, przemytnicy znów ruszą do akcji, co najwyżej znajdą inne szlaki. W grę wchodzą zbyt duże pieniądze. ©

THOMAS ALBOTH

Jest miejsce u mnie

ANNA ALBOTH, AKTYWISTKA:

Słowo „push-back" było niezrozumiałe. Szukając zastępstwa, doszliśmy do wniosku, że „wywózka" i „łapanka" oddają to, co się dzieje na granicy. Nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie.

MARCIN ŻYŁA: Z czym się budzisz rano?

ANNA ALBOTH: Pierwszy raz jest mi naprawdę ciężko. Mój telefon jest włączony prawie non stop od sześciu lat. Dzwonią ludzie z gór na granicy bośniacko-chorwackiej albo ci, którzy dopływają do Włoch. Pytają, kto mógłby im pomóc. Widziałam, jak wyciąga się ludzi z morza.

I nagle ten mój temat – uchodźcy i migranci – zaczyna się dziać w moim kraju. Nie myślałam, że to mnie tak dotknie.

Jak myślisz, dlaczego?

Ciągle się zastanawiam. Czy chodzi o to, że strażnik graniczny, gdy upycha w samochodzie kolejne dziecko, mówi w moim języku? Że to głębiej trafia w serce, gdy rozmawiam z nim po polsku? A może o to, że pamiętam brutalne push-backi na granicy bośniacko-chorwackiej? Pytałam wtedy przyjaciół stamtąd: „Czemu nie jesteście z uchodźcami w górach? To wasz kraj tak postępuje".

ANNA ALBOTH jest aktywistką od wielu lat działającą m.in. na rzecz uchodźców i migrantów. W 2016 r. była inicjatorką Marszu dla Aleppo – gestu solidarności z ludźmi przemierzającymi wtedy Europę bałkańskim szlakiem migracyjnym. W tym roku współtworzyła Grupę Granica, nieformalną federację polskich organizacji pozarządowych działających na pograniczu białoruskim. Na co dzień pracuje w Minority Rights Group, organizacji zajmującej się ochroną mniejszości.

Byłam jednak kimś z zewnątrz, czułam, że mogę to opisywać i oceniać. A we własnym kraju – bo choć mieszkam w Berlinie, czuję się częścią polskiego społeczeństwa – jest inaczej.

Boisz się?

Tak, bardzo. Na Podlasiu rozmawiam z żołnierzami, którzy nie wiedzą, kim jestem, więc opowiadają mi wszystko tonem, jakby mówili o pójściu do sklepu – także o tym, jak biją ludzi. To jest przemoc bez powodu. Czuję, że niedługo zabraknie mi argumentów, bo skoro prawo nie działa, to właściwie każdy z nas może zostać podobnie potraktowany. Myślę, że zaczynają się bardzo złe czasy.

Nie łudziłam się, że Polska będzie postępować inaczej, bo prawie wszystko, co dzieje się na granicy białoruskiej, jest zgodne z europejską polityką migracyjną. Smuci mnie jednak, że sytuacje, które jakiś czas temu poruszały serca – jak zdjęcie Alana Kurdiego – już nie działają. Ile takich dzieci jest teraz na różnych plażach, dlaczego się o nich nie mówi? Nasza wrażliwość bardzo się przesunęła. I nie ma szansy na to, aby Unia zmieniła politykę i żeby postulaty, o które walczę, były wprowadzone.

A myślisz, że o co walczysz?

Może o to, żeby nie było aż tak strasznie źle?

A jak?

Uwielbiam przypadkowe spotkania. Niedawno jechałam autobusem do Wrocławia. Superwczesny kurs, chciałam spać, usiadłam z przodu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Berlina, usłyszałam rozmowę kierowców: „Zobacz, jak tu brudno. Wzięli ciapatych, to mają za swoje".

Wiesz, ja w takiej chwili nie umiem się nie odezwać. Przysiadłam się do nich, gadaliśmy o innych sprawach, w końcu zapytałam, jak często bywają w Berlinie i skąd czerpią swoją wiedzę. Bo przecież zobaczenie przez okno rozwalonego śmietnika to nie jest jeszcze wiedza.

Zadziałało?

Śmiejemy się z mężem, że mamy w ręku koronny argument, bo w takich rozmowach często słyszę: „To czemu sobie sama tych uchodźców nie weźmiesz do domu?". No i jest szach-mat, bo wtedy mówię, że już wzięłam. W 2015 r. przyjęliśmy trzech mężczyzn, w tym jednego na dwa lata. Od dziecka miałam tak, że kiedy trzeba było coś zrobić, gdy moja sytuacja, mój przywilej na to pozwalały – robiłam to.

Poznałeś mojego brata Kubę. Kuba jest na wózku. Kiedyś jego kolega chciał iść na bal w szkole. Nie miał z kim, bo mało kto chce iść na bal z niepełnosprawnym, który niewyraźnie mówi i się ślini. Ja mogłam, bo co to za problem pójść na imprezę? Wychowałam się wśród osób na wózkach, wiem, jak kogoś nakarmić, jak słuchać, żeby zrozumieć. Jako nastolatka mogłam oczywiście inaczej spędzić piątkowy wieczór, ale wydawało mi się, że to nie jest dużo z mojej strony w porównaniu z tym, co ktoś może zyskać dzięki temu. Skoro mogę – to robię.

Wierzysz, że presję migracyjną można zatrzymać bądź nią zarządzać bez stosowania przymusu?

W jednym zdaniu użyłeś słów „zatrzymać" i „zarządzać". To dla mnie dwa różne światy. Zatrzymanie wydaje mi się niemożliwe, bo migracja była, jest i będzie. Nie rozumiem, dlaczego Europa przyznaje sobie prawo, aby zatrzymywać ludzi. Dlaczego od 2015 r., wbrew wszystkiemu, chcemy wierzyć, że to tylko chwilowe zjawisko. Rozmowy na szczytach dotyczą „gaszenia pożarów" – tu obóz Moria, tam kryzys na granicy. A przecież to proces, który trwa.

To co proponujesz w zamian?

Możemy przewidzieć, ile osób dotrze do Europy w kolejnych latach. I mądrze się przygotować. Kiedy w 2015 r. do Berlina przybywało wielu Syryjczyków, w niektórych szkołach dzieci przez rok uczyły się wyłącznie niemieckiego. Inne placówki przydzielały je do zwykłych klas, w których język poznawały na bieżąco. Zrobiono tak po to, aby zobaczyć, co działa lepiej. I aby rok później efekty nauczania były lepsze. Podobnie można postępować w innych sprawach, np. wchodzenia na rynek pracy. Uczyć się i wyciągać mądre wnioski.

Brexit wziął się m.in. ze strachu przed imigracją. Chciałbym, żeby było tak jak mówisz, ale wydaje mi się to nierealne.

Europa może sprawdzić, które rozwiązania działają lepiej, a które gorzej. Może zdecydować, czy ich użyje czy nie. Wybiera to drugie. Podatki też mało komu się podobają, a jednak i tak się je nakłada.

Podatki to część zasad, za pomocą których urządziliśmy nasz świat. Nikt ich nie lubi, wolelibyśmy, żeby były niskie – ale raczej wierzymy, że np. zasada „podatki w zamian za politykę socjalną" jakoś tam działa.

Oczywiście, żaden z polityków nie będzie podważał tego, że ludzie powinni płacić podatki. Wydaje mi się po prostu, że prawa człowieka i to, w jaki sposób traktuje się nie-Europejczyków w Europie, to temat, którego nikt nie ma odwagi podjąć politycznie. Marzę o tym, żeby prawa człowieka były nie tylko zapisane w dokumentach Unii, ale też działały w rzeczywistości.

Roman Wieruszewski, prawnik i współpracownik Tadeusza Mazowieckiego podczas jego misji w państwach b. Jugosławii, mówił mi kiedyś, jak ważne jest, aby wyraźnie rozgraniczać między uchodźcami – czyli tymi, wobec których to my, jako państwa przyjmujące, mamy pewne obowiązki – a migrantami ekonomicznymi, na których z kolei możemy nakładać zobowiązania. Także te dotyczące kryteriów przyjmowania. Tymczasem w Polsce rozmowy o obu tych grupach zachodzą na siebie. Dla niektórych samo ich rozróżnianie jest złe.

Z drugiej strony w polityce Unii Europejskiej nie ma miejsca na migrację zarobkową. Na początku tego roku, kiedy dużo osób przypływało tam z Afryki Zachodniej, byłam na Wyspach Kanaryjskich. Rozmawiałam z chłopakiem, rybakiem z Senegalu. Tam nie ma wojny ani kataklizmu, ale on mówił, że nie jest w stanie przeżyć. Sfrustrowany opowiadał, że teraz trzy lata będzie siedział w ośrodku, bez prawa do pracy. A ja, Europejka, mogłabym – bez żadnego problemu, dyskryminacji czy uwłaczania – pojechać do jego kraju, założyć tam firmę, zapisać dziecko do szkoły.

Ale co w tym dziwnego?

Może mam w sobie jakąś część naiwną. Ale cholernie kłuje mnie ta niesprawiedliwość: my mamy wygodnie, mamy wybór – oni nie.

I mam jednak problem z dzieleniem ludzi na uchodźców i innych migrantów, bo aby się dowiedzieć, kim jest dana osoba i jak ją definiować, powinna ona przejść przez procedurę azylową. ↦

↦ **Zgoda. Ale patrząc z szerszej perspektywy, możemy być pewni, że zdecydowana większość ludzi na granicy białoruskiej nie spełnia definicji uchodźcy. Kurdystan to jedno z najbezpieczniejszych miejsc na Bliskim Wschodzie.**

Nie czuję, że mogę to ocenić, kiedy spotykam konkretnego człowieka na granicy.

Przecież wiesz, czym życie w Irbilu różni się od życia w Afganistanie.

Wiem, ale nie mogę tego oceniać.

Dlaczego?

Bo nie znam konkretów sytuacji takiej osoby: historii rodziny, wyznania, jego aktywności politycznej, orientacji seksualnej.

Ale równocześnie posługujesz się historiami tych osób, budując narrację, w której ludzi, którzy nie uciekają przed wojną i prześladowaniami, nazywa się uchodźcami.

Dla organizacji, w której pracuję – Minority Rights Group – uchodźca to osoba, która przekracza granicę, stara się o ochronę międzynarodową i sama określa się tym mianem.

Pytałeś, co zrobić z presją migracyjną. Jeżeli będziemy próbować ją zatrzymywać, wokół całej Europy za chwilę powstanie potrójny płot, a ludzi na łodziach kiedyś zobaczymy może nawet na Bałtyku. Ostateczną konsekwencją takiej polityki będzie strzelanie do nich z wież strażniczych na granicach. Dla mnie to koniec świata.

Wiesz, ja po prostu kompletnie nie rozumiem, dlaczego Europejczykowi miałoby się należeć więcej jedzenia, pieniędzy czy pracy. Dlaczego do Europy nie miałyby docierać miliony ludzi? Dlaczego mamy większe prawo do tego kawałka świata niż ktoś inny?

Ponieważ już tu mieszkamy i w pewien sposób sobie ten świat urządziliśmy?

W taki, że reszcie świata jest gorzej?

Naprawdę czujesz, że za różnice w poziomie życia odpowiadasz indywidualnie?

Tak czuję.

A dla mnie to abstrakcja.

W obozie Moria ludzie stali w kolejkach po jedzenie, a moje dzieci kłóciły się o czekoladę przy śniadaniu. Ale wciąż trudno było spytać: **Czemu spieracie się o jakąś bzdurę?**

Żyjesz w rozwiniętym państwie, które jest częścią najbogatszej w świecie wspólnoty. A jest tak dlatego, że reszta świata miała kiedyś gorzej i ma tak nadal. Ja to czuję na maksa.

Powiedziałbym, że to również dlatego, że pracuję, mam taką możliwość.

Pan Ahmed z Aleppo też bardzo ciężko pracuje, a jest mu źle i nie ma czym nakarmić dziecka.

Pan Ahmed z Aleppo jest prawdopodobnie ofiarą wojny.

Ale słuchając tych chłopaków z Senegalu, rybaków, też pomyślałam, że pracują dużo więcej i dużo ciężej niż mój mąż, Niemiec. A nie jest zasługą mojego męża, że urodził się tu, gdzie się urodził. I że może kupić córkom, co tylko chce. Ani nie jest to wina chłopaka z Senegalu, że jego córka głoduje.

Ja po prostu nie rozumiem, czemu mielibyśmy to rozpatrywać w kategorii zasług i win.

Bo Unia Europejska podpisuje umowę z Senegalem i wyławia na jego wodach prawie wszystkie ryby. Dzięki temu polscy i niemieccy rolnicy mają tańszą mączkę rybną dla krów. Czyli wydają mniej i mogą sobie stawiać duże domy. A ten chłopak z Senegalu nie ma nic.

O tych mechanizmach wiemy za mało. Chciałabym, żeby mówiono o nich w szkołach, żeby polskie dzieci miały świadomość tego, gdzie państwa Europy sprzedają broń i w czym biorą udział w świecie. Może wtedy czulibyśmy się za ten świat bardziej odpowiedzialni?

Państwa zawsze broniły swojego stanu posiadania. Migracja do Stanów Zjednoczonych to w dużej mierze historia izolacjonizmu i zamykania granic. Kiedy zaczęli tam masowo przybywać Irlandczycy, Włosi i Polacy, protestanckie elity kraju mówiły o „inwazji papistów". Bały się, że rzesze katolików zniszczą amerykańskie wartości.

No ale czym się to skończyło? Czy teraz jako Polak nie możesz lecieć do Stanów bez wizy? Okazało się, że to nie jest nic strasznego, że nikt Ameryki nie przejął. Koniec końców, Amerykanie otworzyli się na innych.

Na Europejczyków tak. Na Meksykanów mniej.

Bardziej niż konkretne granice, zastanawia mnie nasz strach o własną tożsamość. Skoro wierzymy, że nasze wartości są takie dobre, ważne i silne, to czego się boimy? W Grupie Granica uruchomiliśmy telefon dla mieszkańców strefy przygranicznej. Zdarzają się pytania, czy mają kupić paralizator, bo inaczej „przyjdzie Arab i nas zamorduje".

To znaczy, że nie odpowiedziano na te strachy wcześniej. Również to, że środowiska prouchodźcze nie stworzyły w Polsce atmosfery, w której takie pytania można byłoby zadać bez obawy, że zostanie się posądzonym o ciemnogród.

Myślę, że w Berlinie dziecku nie przyszłoby na myśl, że Arab to jest ten, który chodzi ulicami z nożem. A w Polsce to się zdarza. To zamknięte koło: nie ma ich u nas, więc ich nie poznajemy.

Gdybyś znalazła się w roli premiera i miała jutro poinformować Polaków, co decydujesz w sprawie granicy, to co byś powiedziała?

Że są dwa wymiary tej sytuacji. Za pierwszy odpowiada Białoruś. Trzeba zrobić wszystko, aby wstrzymać proceder przewożenia tam ludzi z Bliskiego Wschodu. To, co robi Łukaszenka, to coś innego niż Erdoğan pozwalający Syryjczykom iść na granicę grecką. Przez Białoruś nie wiedzie żaden „naturalny" szlak migracyjny.

Drugi wymiar to odpowiedzialność Polski. Osoby, które są w naszych lasach, należy przyjąć, umieścić w ośrodkach i sprawdzić. Push-backi – pomijając już krzywdę, która dzieje się ludziom – wcale nie zwiększają naszego bezpieczeństwa.

THOMAS ALBOTH

Anna Alboth podczas udzielania pomocy grupie z Konga, las niedaleko Lipska w powiecie augustowskim, 12 października 2021 r.

Wiele osób przedostaje się przez granicę i tak. Gdyby przeprowadzono im procedury azylowe, można byłoby deportować tych, którzy nie mają prawa w Polsce być, albo są niebezpieczni, bo tacy też wśród nich mogą się zdarzyć.

Tymczasem teraz, powtarzając, że chronimy Polskę i Unię, tak naprawdę pozwalamy im przejść. Wzięłabym tych żołnierzy, którzy wyłapują ludzi w lasach, niech każdy z nich zawiezie do ośrodka jedną osobę. Stać nas na to, da się to zrobić. Wiesz, ile z tych kilku tysięcy osób otrzymałoby ostatecznie ochronę międzynarodową?

Kilka procent.

Też tak myślę.

To dlaczego ze środowiska aktywistów i organizacji pozarządowych nie słychać takich diagnoz? W zamian nazywa się ten kryzys uchodźczym, posługuje się w komunikacji terminem „uchodźcy"? Czemu się tej sytuacji nie niuansuje?

Nie wiem. Od początku kryzysu mówiłam, że nie jestem za otwarciem granicy z Białorusią. Sądzę, że powinna być szczelna. Ale szczelna tak, że jeżeli ktoś się na niej zjawi i będzie prosił o ochronę międzynarodową, powinien móc takie podanie skutecznie złożyć.

Niedawno widziałam, jak w obecności kamery amerykańskiej telewizji ludzie błagali o to, żeby zostać w Polsce i móc zacząć procedurę wnioskowania o ochronę międzynarodową. Strażnicy graniczni mówili, że zabierają ich do ośrodka, a za dwie godziny dostawałam telefon, że są po białoruskiej stronie.

To już teraz brzmi strasznie, ale gdy na nodze wisi ci dziecko i błaga, żeby nie pozwolić zabrać go na tę ciężarówkę, dochodzi do tego jeszcze inny wymiar.

Na początku używano w komunikacji wyłącznie słowa „push-back". W którymś momencie, z dnia na dzień, zaczęto mówić o „wywózkach". Celowo?

O wywózkach i łapankach. Tak, celowo.

W Polsce to nie są słowa neutralne. Podchwyciło je wielu dziennikarzy.

Słowo „push-back" było niezrozumiałe. Nie wskazywało, że chodzi o proceder nielegalny w świetle prawa międzynarodowego. Szukając zastępstwa, wypisaliśmy sobie wiele innych słów. I doszliśmy do wniosku, że „wywózka" oddaje to, co się dzieje na granicy nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie. Z pełną świadomością wybraliśmy słowa „łapanka" i „wywózka".

Wiem, że to jest mocne. Dostawaliśmy głosy, że nie można tego zestawiać, ale te ostatnie trzy miesiące są dla mnie naprawdę czasem porównywania do strasznych rzeczy z przeszłości.

Do wywózek do obozów koncentracyjnych? Naprawdę?

Ja po prostu czuję, jakby czas się cofnął. I nie umiem zwalczyć w sobie tego uczucia i tego porównania. Nikt mnie nie uczył, jak się chować w lesie w nocy. To babcia opowiadała mi, jak chodziła z gorącą zupą do lasów – tak jak teraz ja. A tu dzwoni do mnie ktoś, kto od pięciu dni nie jadł, błaga o pomoc i ja mu mogę uratować życie.

Nagle temat życia i śmierci, którego nie dotykałam wcześniej, przyszedł tak realnie. Mam wrażenie, że teraz jest moment wyboru: albo idziemy w ogień, albo się na zawsze odwracamy. ↦

PAUL ZINKEN / EPA / PAP

W dniu rozpoczęcia Marszu dla Aleppo, Berlin, 26 grudnia 2016 r.

Od bliskiej osoby, której organizacja buduje studnie na Madagaskarze, usłyszałem skargę, że ma kłopot z opisywaniem tamtej sytuacji, ponieważ właściwie wszystkie słowa i emocje zostały użyte „na granicy". Wiem, jak to brzmi: gdzie Podlasie, a gdzie Madagaskar. Wiem, że bardziej przejmuje nas to, co dzieje się bliżej. I że cierpienia nie powinno się porównywać. Ale czy celowe operowanie językiem, który nie opisuje rzeczywistości, nie przyczynia się właśnie do tego, że obrazki kolejnych Alanów Kurdich nie robią już na nas takiego wrażenia?

A ja właśnie nie wiem, czy można porównywać cierpienia. W obozie Moria widziałam, jak ludzie stali po dziewięć godzin w kolejce do jedzenia. Myślałam, że to straszne. Próbowałam to opisywać, zmieniać. Teraz wiem, że to nieporównywalne z sytuacją w polskim lesie. Jak nie mówić o kryzysie humanitarnym, jeżeli półżywego człowieka muszę wynosić z lasu ileś kilometrów?

Wprowadzając stan wyjątkowy, Polska doprowadziła do sytuacji, w której pozwala ludziom umierać. Ty mnie pytasz, w jaki sposób to opisujemy. Ja czuję, że opisuję tak, jak tam właśnie jest. Ja tego tam doświadczam. Nie widziałam takich rzeczy wcześniej.

Teraz zdarza się, że Białorusini nie pozwalają ludziom nawet pójść do sklepu czy kupić nowego telefonu, w sytuacji gdy poprzedni zniszczyli im polscy żołnierze. A nasi aktywiści muszą chodzić z termowizorem, szukając po ciemku ludzi. Tak to teraz wygląda. Tylko w zeszłym tygodniu znaleźli dwieście osób. Jako Grupa Granica właśnie wydaliśmy nasz raport z danymi od sierpnia, z konkretnymi przykładami takich sytuacji. Bardzo mi zależy na tym, aby wszyscy go przeczytali.

Niedawno wróciłaś na chwilę do domu, do męża i dzieci. Przywiozłaś to wszystko w głowie.

Bywało, że wracałam z Morii, gdzie ludzie stali w tych kolejkach po jedzenie, a moje dzieci kłóciły się o czekoladę przy śniadaniu. Wszystko wydaje się takie nieadekwatne, ale wciąż trudno jest zapytać: „Czemu spieracie się o jakąś bzdurę?".

Dużo łatwiej rozmawia mi się z ludźmi, z którymi pracuję na granicy. Oni rozumieją te telefony w środku nocy, co mojej rodzinie czasem ciężko zaakceptować. Gramy w coś z dziećmi i nagle dzwoni do mnie z granicy ktoś, kto może ma tylko mój numer. Jeśli nie poświęcę mu tych pięciu minut, żeby zdobyć i przesłać ekipie na miejscu jego lokalizację, ekipa do tej osoby nie dotrze. To tylko pięć minut, ale moi bliscy mają tego dosyć, bo pierwszy raz od miesiąca usiedliśmy razem.

Nauczyłam się wyłączać telefon. Tylko wiesz, ja mam szansę wrócić do Berlina i wyłączyć telefon. Natomiast ludzie, którzy są w strefie, albo jej mieszkańcy, mogą w każdej chwili usłyszeć krzyk z lasu. Ich dzieci od razu biegną wtedy do kuchenki, by podgrzać zupę. To w nich wszystkich – w nas wszystkich – zostanie bardzo mocno. I na długo.

Tak, przypominam sobie rok 2015, gdy mieliśmy uchodźców w naszym mieszkaniu. Pamiętam, jaki to miało wpływ na moją rodzinę. Jak nagle wszystko wokół nich było ważne – bo akurat ktoś potrzebował, żeby pojechać z nim do urzędu. Wtedy łatwo zapomnieć, że obiecałam córce poczytać z nią książkę.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Kolejne nominacje i nagrody!

Aż dwie nominacje do finału nagrody Grand Press 2021 w kategorii Publicystyka i jedna w kategorii Reportaż dla autorów „Tygodnika Powszechnego".
Anna Goc otrzymała nominację za cykl „Nie słyszę" w kategorii Reportaż prasowy/internetowy, natomiast w kategorii Publicystyka: **Zuzanna Radzik** za tekst „To nie do zniesienia. Posłuchajcie jak bardzo", a **Przemysław Wilczyński** za „Szkolne plagi współistniejące".

Dodatkowo, w kategorii Wywiad 2020, nominację otrzymał **Rafał Woś** za rozmowę „Polska z dźwigu widziana".
Łukasz Lamża został laureatem konkursu Popularyzator Nauki 2021 w kategorii Media, organizowanego przez PAP – Nauka w Polsce.

Autorkom i autorom gratulujemy, a naszym Czytelniczkom i Czytelnikom dziękujemy – jesteśmy (suwerenni) dzięki Wam!

Przeczytaj nominowane teksty na powszech.net/grandpress2021

JACEK

Podsiadło: *Ohydnie splamione kwiaty*

Wyobraźcie sobie figusa pozującego na bażanta: w ciemkach, z kaczym kuprem pod naleśnikiem, w maniorze i z sing-singami na wierzchu. Krawatto w palmy lub girlsy, spodnie skrojone na dyszlu, w piwnicy woda, odnóża zwieńczone bombowcami na indyjskiej gumie... Co Wam wyszło? Miał wyjść bikiniarz, ale celowo unikałem dekonspirujących określeń w rodzaju plerezy czy słoniny.

Bronisław Wieczorkiewicz definiuje figusa jako „chuligana hołdującego wzorom i modzie amerykańskiej", jest to zatem odmiana dżolera. Prawdopodobnie bliska fagasa, bo w drugiej zwrotce piosenki „Idzie figus Targową ulicą" „Kiedy słychać dżezu pierwsze trzaski, / szuka figus dla siebie fagaski". Bażant jest to wczesny synonim późniejszego „kolorowego ptaka". Kaczy kuper, coś pośredniego między tytusem i fanfanem, to zasadniczo uczesanie na jaskółkę, znaczy się mandolinę. Czyli osławiona plereza, tj. lotnisko, z przodu wysoko, a z tyłu nisko. Naleśnikiem nazywano płaski kapelusz. Ciemki to chyba wiecie, że to makarturki. Manior oznacza marynarkę w kratę, symboliczna woda w piwnicy – krótkie nogawki spodni rurek. Musiały być krótkie, żeby dobrze było widać sing-singi, czyli jajecznicę ze szczypiorkiem. Znaczy się piratki. Kolorowe skarpetki, no! Sing-singi dlatego, że często były pasiaste, a jajecznica ze szczypiorkiem, bo najlepiej widziane były sing-singi w paski żółto-zielone. Wizerunku bikiniarza dopełniają bombowce, czyli zamszaki na grubych podeszwach z białej gumy indyjskiej, osławionej słoninie.

Wiemy, jak bikiniarze wyglądali. Nie wiemy w ogóle, jacy byli w środku. Nic po sobie nie zostawili. Znamy ich tylko z portretów sporządzonych przez innych i albo są to karykatury (prasa, kino i kroniki filmowe), albo portrety przetworzone literacko, zafałszowane (Hłasko, Tyrmand). Kim tak naprawdę był polski bikiniarz? Mam powiedzieć? Był to Bambrych Zygmunt.

W 1951 r. do „Sztandaru Młodych" donos na pierwszego w jej wsi bikiniarza wysłała Zofia Ostrowska: „Uczesany w tzw. jaskółkę, której dodaje połysku jakiś tajemniczy środek chemiczny. (...) Skarpet to byle jakich on nie nosi – zazwyczaj damskie kolorowe. I wreszcie buty zamszowe na grubej słoninie. (...) Do roboty ten biglarz nie ma chęci, ale za dziewczynkami goni na dziesiątą wieś, jest to Bambrych Zygmunt". Do popularnej radiowej „Fali" pisała w tym samym czasie „Strapiona matka z Warszawy", cytuję za „Księgą listów PRL-u": „Mam syna, który naśladuje bażantów. Nosi to włosy, uczesane właśnie tak w jaskółkę i wcale nawet nie chce słyszeć żeby ściąć je. Falo co tu zrobić żeby go zmienić. Fryzjerzy powinni być karani jeżeli dzieciom to robią. (...) Ja teraz po tym śledztwie nie mam spokoju ponieważ drżę na każdym kroku, żeby i jemu coś się nie zdarzyło".

Strapiona „po tym śledztwie" matka ma na myśli pokazowy proces bandy „bikiniarzy", w którym dwóch dwudziestolatków, Wysockiego i Burmajstra, skazano na karę śmierci, a ich dwaj wspólnicy dostali po kilkanaście lat więzienia. Młodzi rabusie napadali i grozili śmiercią, ale nikogo nie zabili ani nawet szczególnie dotkliwie nie pobili. Obciążyło ich jednak hołdowanie „amerykańskiemu stylowi życia". Z prasowych relacji można się było dowiedzieć, że życie bikiniarzy wypełniały „wyprawy taksówką – w zastępstwie limuzyn z »Life'u«. Bywały wycieczki za miasto, do Pyr czy Jabłonny – do knajp. Najdroższe dania, wódki w bród. Ohydnie splamione rabunkiem kwiaty dla »znajomej«. Taksówką pod internat ss. Nazaretanek na Czerniakowskiej po koleżanki... Miały po 14-15 lat...". Prokurator zapowiadał: „Nie wydamy naszych dzieci na łup rodzimym »bikiniarzom«, ani ich amerykańskim protektorom".

Amerykański protektorat nad Burmajstrem i Wysockim okazał się prawdą. Ułaskawionych przez Bieruta i amnestionowanych w 1958 r. bikiniarzy IPN uznał za represjonowaną „grupę wywiadowczą związaną z ambasadą USA".

Wyobrażam sobie, że większość bikiniarzy stanowili zwyczajni młodzi ludzie, którzy chcieli wyrwać się z szarzyzny, żyć kolorowo, na ile się da. Że w stalinowskiej Polsce nie mieli lekko, świadczą wspomnienia Modzelewskiego i Kuronia. Modzelewski: „Były to przedwyborcze uliczne manifestacje urządzane przez ZMP chyba w 1951 r. Wyglądaliśmy jak formacja paramilitarna. Tak też się zachowywaliśmy – butnie i agresywnie. Skandowaliśmy jakieś hasła, śpiewaliśmy idiotyczne propagandowe kuplety. Wypatrywaliśmy kogoś, kto spróbuje się nam sprzeciwić – ale gdzie tam! Raz tylko spod jakiegoś płotu rozległy się gwizdy. Natychmiast tam skręciliśmy – a było nas ze 150 osób – i osaczyliśmy grupkę pięciu chłopców uczesanych i ubranych wedle wzorów tępionej wówczas subkultury, tzw. bikiniarzy. Przyparliśmy ich do płotu tak, że nie mogli się wymknąć, i przemaszerowaliśmy koło nich skandując: PRZEZ NAUKĘ I KULTURĘ BIKINIARZOM DAMY W SKÓRĘ! Był to łatwy tryumf. Bikiniarze stali przy płocie jak pod pręgierzem, wystraszeni i bierni".

Kuroń: „Na placu Komuny Paryskiej przy parkiecie szła muzyka i hasła. To pracował nasz ośrodek propagandy. Puszczono jakiś szybki kawałek, na parkiecie zaczęli drygać młodzi ludzie. W tym momencie skoczyła bojówka, porwała któregoś z nich i powlokła do pobliskiego biura Warszawskiej Spółdzielni Spożywców (...). Kiedy wszedłem za nimi do biura, tłukli chłopaka pięściami, butami, kopali wszyscy razem".

A mój drugi po Bambrychu Zygmuncie ulubiony bikiniarz to czternastolatek bez nazwiska wyszydzany w „Głosie Nauczycielskim" w 1954 r. Wleczony przez zetempowców do fryzjera krzyczał podobno: „Niech żyje wolność!". ©

WIARA

CHRZEŚCIJAŃSTWO BEZ JEZUSA

ARCYBISKUP GRZEGORZ RYŚ, METROPOLITA ŁÓDZKI:

Mamy tendencję, by sprowadzać chrześcijaństwo do kilku prostych zasad etycznych.

PIOTR SIKORA: Czy stwierdzenie, że chrześcijaństwo zaczyna się dopiero od świadomej decyzji uznania Chrystusa za swojego Pana i Zbawiciela, nie jest zbyt rygorystyczne? Są ludzie, dla których Jezus jest niezwykle ważnym nauczycielem sposobu życia...

ABP GRZEGORZ RYŚ: ...to nie jest jeszcze chrześcijaństwo.

Justyn Męczennik pisał o Sokratesie, że skoro żył zgodnie z Logosem, to jest chrześcijaninem, mimo że uważany był za ateistę. Karl Rahner rozwijał koncepcję anonimowego chrześcijaństwa – w tej wizji chrześcijaństwo widzi się raczej w sposobie życia niż w wyrażonym *explicite* uznaniu Jezusa za Zbawiciela.

To się nie kłóci z tym, co powiedziałem. Jest takie zdanie Tomasza z Akwinu, że każda prawda, przez kogokolwiek by została powiedziana, pochodzi od Ducha Świętego. Jestem głęboko przekonany, że każde dobro, które człowiek czyni, jest od Boga. Pytanie, czy ten człowiek to rozpoznaje, czy nie. Towarzyszenie takim ludziom musi się zacząć od uszanowania dobra w spotkanym człowieku, od świadectwa, jak ja rozumiem dobro i jak je praktykuję. Potem jest szukanie płaszczyzny porozumienia. Mogę w pewnym momencie powiedzieć: mnie moja wiara mówi wyraźnie, że to a to dobro, które czynisz, a którym jestem zachwycony, ma swoje źródło w Bogu, nawet jak ty tego nie widzisz.

Są ludzie, o których z pełnym przekonaniem mówimy, że są lepszymi chrześcijanami niż my – ale pytanie, czy oni by chcieli być w ten sposób nazwani. Być może nie. Idą za swoim sumieniem, czyli za rozumnym sądem moralnym. Kościół mówi o sumieniu, że to sanktuarium Boga w człowieku. Ale nikogo nie zmuszamy, by sam w sobie tego Boga rozpoznał.

Sam Jezus powiedział, że „nie ten, kto mi mówi »Panie, Panie«, lecz ci, którzy pełnią wolę Ojca...".

Problemem w tym cytacie są ci, którzy mówią „Panie" w sposób niekonsekwentny.

Ale dopuszcza on także możliwość, że są ci, którzy nie mówią „Panie", a pełnią wolę Ojca i *de facto* są poruszani przez Ducha pomimo braku werbalnego wyznania wiary. Czy nie grozi nam, że nie rozpoznamy rzeczywistej, a werbalnie niewypowiedzianej relacji ludzi z Bogiem, nieróżnej od tej, która czyni nas chrześcijanami?

Zupełnie się nie zgadzam. Co innego szanować kogoś i nazywać go, jak Justyn, uczniem Słowa (nawet jeśli ten ktoś nie ma bladego pojęcia, kto jest Logosem), a co innego zrezygnować z przepowiadania osoby Jezusa i pokazywania tej osoby.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Najpierw przywołam najważniejszy tekst na ten temat, a mianowicie słowa Benedykta XVI, których on sam użył kilka razy, a Franciszek za nim podobnie: „U początku bycia chrześcijaninem – podkreślam: u początku – nie leży decyzja o charakterze etycznym ani światopoglądowym, ani jakimkolwiek innym, tylko doświadczenie spotkania Osoby, którą jest osoba Jezusa Chrystusa". I to jest doświadczenie, które dokonuje w życiu kompletnego przewartościowania.

Myśmy doszli do takiego momentu w naszej kulturze (bo nie w wierze), że wszystkim się wydaje, iż żyjemy w chrześcijańskim świecie – bo mamy dookoła kościoły, bo nawet na poziomie popkultury mamy sporo znaków i kodów chrześcijańskich, mamy partie mówiące o sobie, że są chadeckie albo nawet katolickie, mamy rozmaite charytatywne instytucje, które deklarują, że są chrześcijańskie. W tym wszystkim uznaliśmy pytanie o stosunek do Jezusa za niestosowne. Mamy „chrześcijaństwo" bez Jezusa. I w tym chrześcijaństwie rozprawiamy, jakie mamy pragnienia, oczekiwania i że my będziemy rozstrzygać, co jest słuszne, a co nie. Ale u początku bycia chrześcijaninem jest spotkanie z Jezusem. Gdy pisałem list do młodych swojej diecezji, zatytułowałem go „Godzina dziesiąta". To godzina, którą ewangelista Jan zapamiętał jako godzinę pierwszego w życiu spotkania z Jezusem. Zapamiętał ją na całe życie. Pisał Ewangelię około setnego roku, a spotkali się z Jezusem w dwudziestym siódmym. On żył tą godziną. Wszystko w życiu Jana, całe wielkie nauczanie o miłości, z niej wynika.

Na pytanie, które postawiłeś, odpowiadam: nie, nie, nie. Ponieważ nie jest dla mnie wszystko jedno, czy ja znam Jezusa, czy nie. Najważniejsze pytanie w moim życiu to: czy znam Jezusa i co to zmienia, że Go znam? Ktoś może żyć tysiąc razy lepiej ode mnie. Znam takich ludzi, którzy są – ho, ho – dużo ode mnie lepsi. Być może nigdy nie powiedzieli, że Jezus jest Panem. Ale nie rozmawiamy o tym, kto jest lepszy. Rozmawiamy o osobie Jezusa, o którym mogę powiedzieć: wiem, że żyje, spotkałem Go. I to, że Go spotkałem, jest dla mnie najważniejszym spotkaniem w życiu. Koniec. To właśnie tworzy chrześcijaństwo – co do istoty. ↦

Rekolekcje „Młodzi i Miłosierdzie" w krakowskiej Tauron Arenie. 15 marca 2016 r.

Znam sporo ludzi, którzy uważają się za chrześcijan, są praktykującymi katolikami, a na pytanie, czy spotkali Jezusa, nie bardzo wiedzieliby, co odpowiedzieć.

Byliby zakłopotani. Tak. Ale to nie jest ocena tych ludzi, tylko ocena naszego Kościoła, który – gdy chodzi o gradację prawd – mówi często rzeczy trzecio- lub czwartorzędne, a o tym, co najistotniejsze, milczy. Nie ma w tym winy tych ludzi. Na synodzie o młodzieży kard. Beniamino Stella, ówczesny prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa, powiedział publicznie: poszedłem do seminarium duchownego, mając dwadzieścia kilka lat, byłem przykładnym katolikiem, praktykującym, chodzącym do Kościoła, przestrzegającym przykazań i niemającym bladego pojęcia, kim jest Jezus. Chwała kardynałowi, który ma odwagę po latach pokazać, gdzie w swoim doświadczeniu miał dziurę jak lej po bombie atomowej.

Nie powiedziałem nic o winie. Jednak jeśli weźmiemy poważnie stwierdzenie, że początkiem chrześcijaństwa jest spotkanie z Jezusem (świadomie przeżywane), to konsekwentnie trzeba powiedzieć, że chrześcijaństwo się jeszcze w Polsce nie zaczęło – bo większość ludzi, którzy są ochrzczeni i chodzą do komunii, nie spotkało Jezusa w tym sensie.

Nie jestem przekonany. Nikt takich badań nie robił. I myślę, że można by się zdziwić. Przypomina mi się moja krewna, prosta góralka, już nieżyjąca. Rozwiązała kiedyś kryzys w małżeństwie swojej córki za pomocą jednej rozmowy, bez psychologów. Kryzys był potężny, na granicy rozejścia się. Ciotka wzięła ich oboje do izdebki (ktoś, kto jest z gór, wie, co to jest izdebka – rodzaj kaplicy domowej). Zdjęła krzyż ze ściany i powiedziała do kuzynki tak: „Patrz na ten krzyż i mów, jak jest w domu". Ona opowiedziała, jak jest w domu. Ciotka powiedziała do męża kuzynki: „Patrz na ten krzyż i mów, czy ona mówiła prawdę, czy kłamała". I on mówił. W tym wydarzeniu pokazała się relacja do Jezusa, nie do normy kulturowej, ani nawet do osoby, która ten krzyż pokazała. I młodzi z tego spotkania, które trwało najwyżej pół godziny, wyszli pojednani. A rozstrzygające było to, kim jest Jezus w ich życiu. Basta!

Zaryzykowałbym twierdzenie, że być może oni dopiero wtedy spotkali Jezusa.

Być może. Natomiast ciotka na pewno wcześniej.

Nieprawda, że nie ma badań. CBOS robi co jakiś czas badania na temat religijności i wiary. Gdy pytanie brzmi: „Czy jesteś wierzący?", 90 procent ludzi odpowiada, że tak. Gdy pytania dotyczą treści wiary, „ortodoksyjnych" odpowiedzi jest mniej. Ale badano też, co w życiu jest ważne. Gdy pytanie brzmiało: „Czy religia jest w twym życiu ważna?", jeszcze mniej ludzi odpowiadało twierdząco. A na otwarte pytanie: „Co jest w życiu ważne?", odpowiedzi, które można jakkolwiek powiązać z wiarą, dawało od dwóch do czterech procent ludzi. A więc ludzi, którzy spotkali Jezusa, jest w Polsce maksymalnie kilka procent.

Myślę, że tak nie jest. Badań jest wiele. W archidiecezji łódzkiej mamy synod i robimy też takie badania – wśród młodzieży maturalnej, wśród rodziców dzieci pierwszokomunijnych. Tych badań wszyscy w Polsce nam zazdroszczą, a profesor Kaja Kazimierska, która je przeprowadza, jest zapraszana na prawie wszystkie sesje socjologiczne. Bo na przykład w badaniach rodziców dzieci pierwszokomunijnych uzyskała 10 360 odpowiedzi. Przepytaliśmy też wszystkich maturzystów. Gdy chodzi o wartości, najważniejsza w odpowiedziach jest rodzina. Ale różnica pomiędzy rodziną a wiarą to około trzydziestu procent odpowiedzi. Oczywiście, trzeba by postawić pytanie, co rozumieją pod słowem „wiara". I – masz trochę racji – każde badania pokazują, że wiara, która by była doświadczeniem Boga i stąd wpływała na życie – jest znacznie rzadsza niż wiara deklarowana.

Więc jeśli mówisz, że u nas chrześcijaństwo się jeszcze nie zaczęło, to w przypadku tego pokolenia masz rację. To jest – na szczęście już uświadomiony – problem naszego Kościoła. Ale nie jest tak, że nie mamy się do czego odwołać albo że tu nie było chrześcijaństwa. Bo ono było. To raczej jest znak sekularyzacji i kryzysu wiary. Tendencja, by zrównać chrześcijaństwo z kilkoma prostymi zasadami etycznymi, to właśnie objaw kryzysu chrześcijaństwa, które już tu było, a nie tego, że jeszcze się nie zaczęło.

Widzę w tym wielką odpowiedzialność po stronie Kościoła. Najmocniej to przeżyłem w ostatnich latach na pierwszym spotkaniu z młodymi w Atlas Arenie. Kanwą kilkugodzinnego spotkania była Ewangelia o bogatym młodzieńcu, który przychodzi do Jezusa i pyta: „Co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?". Chcieliśmy od początku złapać kontakt z młodymi za pomocą ich języka i narzędzi, które kochają, więc zrobiliśmy na ulicach ankietę – jakie pytanie zadałbyś Bogu, gdybyś mógł. Te pytania ułożyły się w osiem grup. Siedem pierwszych to na przykład pytania, skąd

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 223/21 postępowanie z wniosku Kazimierza Nowackiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszyczkach, oznaczonej geodezyjnie jako działka 145 a. m. 2, o powierzchni 0,46,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Witaszyczki k.35.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 131/21 postępowanie z wniosku Miasta i Gminy Działoszyn o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Chodaku, zmarłym 01.11.2020 r., ostatnio zamieszkałym w Kotlinie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

się wzięło zło, dlaczego istnieje śmierć. Ale ósma sprowadzała się do stwierdzenia: „nie mam pytań do Boga". Zgromadzeni w Atlas Arenie mogli zagłosować za pomocą SMS-a, które z tych ośmiu pytań jest ich. Podczas głosowania prowadzący pokazywali na mnie i mówili: zadawajcie te pytania, tam siedzi arcybiskup, odpowie na wszystkie...

Postawili cię w trudnej sytuacji – pytania do Boga, a odpowie arcybiskup...

...i poprosili młodych, by zeszli z trybun i usiedli koło mnie. To był kontakt bezpośredni, na odległość metra. I okazało się, że większość wybrała wariant ósmy – nie mam pytań do Boga. Mogłem zrobić tylko jedno. Zacząłem od tego, że powiedziałem „przepraszam". Byli zdumieni. Ale wyjaśniłem: przepraszam was, bo uczymy was dwanaście lat religii, a w efekcie macie Boga, który jest abstrakcyjnym, teoretycznym pojęciem. Nie jest osobą. Bo nie wierzę, że nie macie pytań – każdy człowiek je ma. Tylko że wy waszych pytań nie zadajecie Bogu, bo On nie jest w waszym życiu kimś na tyle ważnym, że chcielibyście zadać mu istotne pytania; kimś, z kim jesteście w takiej relacji, że możecie te pytania zadać. Potem już poszło łatwiej. Po tym „przepraszam" i tym wyjaśnieniu uwaga młodych była tak skupiona, że w siedmiotysięcznym zgromadzeniu można było usłyszeć muchę.

Taki jest punkt wyjścia, ale mieliśmy to spotkanie po to, by poprowadzić ich do spotkania z Jezusem. I gdy po przerwie wnosiliśmy Najświętszy Sakrament, nikt nic nie musiał mówić. Przychodzili jak najbliżej, chcieli dotknąć krzyża, potem szli do spowiedzi. Chodzi o doświadczenie. Brak takiego doświadczenia to nie jest ich wina, ale od początku do końca nasza: że Bóg jest abstrakcyjnym pojęciem. To przez nieobecność kerygmatu. Uczymy ich zredukowanej teologii, zasad katechizmowych. I dobrze, że tego uczymy, ale temu nauczaniu nie towarzyszy w żaden sposób propozycja spotkania z Bogiem. Nasz przekaz jest tak jednostronny, że na końcu zostaje zbiór pojęć i zasady etyczne.

Taki jest stan faktyczny. Im szybciej to zobaczymy jako Kościół i im szybciej poddamy swoje działania radykalnej korekcie, tym lepiej. W przeciwnym przypadku będzie nam się wydawać, że żyjemy w społeczeństwie chrześcijańskim, katolickim. Jak powiedział Benedykt XVI,

BEATA ZAWRZEL / REPORTER / EAST NEWS

ABP GRZEGORZ RYŚ (ur. 1964) jest od 2017 r. metropolitą łódzkim. Były rektor krakowskiego Wyższego Seminarium Duchownego, z wykształcenia historyk Kościoła. Do 2021 r. przewodniczący Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji przy Konferencji Episkopatu Polski.

widzimy chrześcijańskie formy społeczne i sądzimy, że pod spodem jest doświadczenie Boga osobowego, i to jeszcze objawionego w Jezusie i udzielającego się w Duchu Świętym. Skąd to założenie?

Dzieliłem się tym na synodzie o młodzieży. Przez pierwszy tydzień wszyscy mówili o słuchaniu młodzieży – słuchać, słuchać, słuchać... Ja na szczęście mówiłem w drugim tygodniu – i spytałem: dobrze, że chcemy ich słuchać, ale co, jeśli oni nie chcą nas pytać? Jeśli jesteśmy ostatnimi ludźmi, z którymi oni chcieliby rozmawiać? I przywołałem historię z Atlas Areny. Zrobiło to duże wrażenie na Franciszku. Taka jest rzeczywistość, gdy nie ma kerygmatu.

Być może nie jest tak, że ludzie nie chcą rozmawiać z księżmi i z biskupami, lecz po prostu postrzegają ich jako ludzi zamkniętych we własnym kręgu, którym obce jest życie zwykłego człowieka.

Z tym zamknięciem różnie bywa. Ale, rzeczywiście, głównym problemem jest to, na jakim poziomie odbywa się spotkanie. Dlaczego chodzę na pielgrzymki? Z Łodzi idzie w różnych grupach na Jasną Górę sześć tysięcy ludzi. I wśród nich idzie dwóch biskupów, bo zawsze przyjeżdża kard. Konrad Krajewski. W marszu rozmawiamy z ludźmi. Większość pytań, które ty zadajesz, pada w tych rozmowach. Rozmawiamy z osobami, które odnajdują w sobie orientację homoseksualną, które mają doświadczenia takich czy innych związków – i przychodzą rozmawiać o tym, co dalej. Jak mają żyć, jak się mogą odnaleźć w Kościele. Więcej nie mogę zdradzić, bo to sprawy osobiste. Ale to jest właściwy poziom ewangelizacji. Tak ona ma wyglądać. Spotkanie osoby z osobą. I tego w Kościele polskim jest za mało. Ciągle funkcjonujemy głównie na poziomie publicznym. Jest jakieś wydarzenie w kulturze czy popkulturze – a my na tym samym poziomie odpowiadamy. Nie rozmawiając, nie pytając, nie wiedząc.

Dlaczego tak jest?

Przyczyn jest wiele. Historia – jesteśmy liczebnie wielkim Kościołem, jesteśmy przyzwyczajeni do pracy z dużymi grupami. Ja nie jestem takim starym księdzem, mam tylko trzydzieści kilka lat kapłaństwa. Ale pamiętam, że mój pierwszy – i jedyny – proboszcz był wniebowzięty, gdy mógł zorganizować spotkanie, na które przychodziła połowa Kęt; uważał, że wtedy było warto coś robić. I dziś nadal są parafie, gdzie się bierzmuje setkę ludzi albo dwieście. Tendencji, by rozwijać duszpasterstwo masowe, sprzyja też pewna łatwość pozostawania na tym poziomie – łatwość polegająca na bezpiecznym dystansie: powiedziałem swoje, wracam na plebanię i wywieszam kartkę „uwaga, zły pies". Franciszek mówi o tym dosadnie: „zrobiliście z parafii biura".

Historycznie patrząc, niewiele było w naszej formacji nastawienia na osobiste spotkanie. Innego funkcjonowania Kościoła moje pokolenie uczyło się na oazach, we wspólnotach Odnowy w Duchu Świętym czy neokatechumenatu. W takich eklezjalnych ruchach człowiek się uczy osobistego spotkania, a także właściwego miejsca duchownego we wspólnocie, wśród innych, którzy także mają swoją podmiotowość. Doświadczenie masowego Kościoła nie służy umiejętności zejścia na poziom indywidualny. A to zejście jest konieczne. Wielu się wydawało, że najprościej jest wejść do szkoły – uczysz te trzydzieści osób, wychodzisz. A tu jest potrzebne spotkanie nie z tą trzydziestką na lekcji, tylko indywidualna rozmowa. To się zaczyna dziać, można w ostatnich latach zauważyć pewne pozytywne zjawiska w tym względzie. I one biorą się w pewnej mierze z rozeznania sytuacji, która jest kryzysowa. ©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

Powyższa rozmowa jest fragmentem książki rozmów Piotra Sikory z abp. Grzegorzem Rysiem „Czy Kościół ma sens?", wydanej przez Wydawnictwo M.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Ekumeniczne nabożeństwo w kościele św. Barbary w Warszawie w ramach Tygodnia Modlitwy za Uchodźców. Warszawa, 28 września 2021 r.

Szczepionka na fundamentalizmy

DAWID GOSPODAREK

Wielu katolików odrzuca nauczanie ostatnich papieży na temat migrantów. Czy Kościół ma jeszcze potencjał do zniwelowania społecznych lęków?

Gdy w czerwcu 2015 r. z okazji Światowego Dnia Uchodźcy CBOS opublikował badania stosunku Polaków do pomocy uchodźcom z krajów objętych konfliktami zbrojnymi, 72 proc. respondentów popierało ich przyjęcie i udzielenie pomocy – przynajmniej do czasu wygaszenia konfliktów w krajach, z których pochodzą. Przeciwnych było 21 proc. badanych. W tym czasie w mediach oraz polityce komentowano sprawę kryzysu migracyjnego dotykającego Europę. Z miesiąca na miesiąc podejście badanych się zmieniało. W lutym 2016 r. już tylko 39 proc. było otwartych na przyjęcie uchodźców, z czego zaledwie 4 proc. dopuszczało osiedlenie się ich w Polsce na stałe. 57 proc. sprzeciwiało się przyjęciu uchodźców.

Społeczeństwo i władze ignorowały również apele polskich biskupów upominających się o korytarze humanitarne i gwarantujących pomoc przy ich organizacji. Polacy praktycznie odrzucili więc nauczanie o migrantach nie tylko Franciszka, ale także Jana Pawła II.

Od lata migranci z Bliskiego Wschodu są przy granicy polsko-białoruskiej. A kryzysowi migracyjnemu szybko zaczął towarzyszyć humanitarny.

Porażka hierarchii

Co na to polscy katolicy? Według badań IBRiS 58 proc. wierzących i praktykujących popiera praktykę *push-back*. Tylko 39 proc. dopuszcza pomoc humanitarną dla migrantów – a nie pytano o możliwość udzielenia azylu i przyjęcie do Polski, tylko o udzielenie pomocy koniecznej dla przeżycia. To już sprzeciw nie tylko wobec nauczania Kościoła, ale wobec podstawowych zasad ewangelicznych, takich jak obowiązek pomocy bliźniemu.

Abp Stanisław Gądecki zaapelował o zbiórkę na działalność Caritas Polska na granicy polsko-białoruskiej. W niektórych parafiach apelu nie odczytano, albo też duszpasterze podkreślali, że to zbiórka raczej dla polskich służb i mieszkańców przygranicza niż „nachodźców". Podczas zorganizowanej 24 listopada przez KAI konferencji „Kościół w Polsce wobec migrantów i uchodźców" bp Krzysztof Zadarko stwierdził, że niechęć do pomagania migrantom kształtują także media katolickie, które często m.in. przemilczają nauczanie i bieżące apele biskupów.

W mediach społecznościowych pod wypowiedziami biskupów w sprawie migracji i pod apelami o poszanowanie praw człowieka mnożą się hejterskie komentarze. Hierarchów nazywa się piątą kolumną Łukaszenki i Putina, zdrajcami ojczyzny, a nawet niszczycielami Kościoła czy wrogami cywilizacji chrześcijańskiej. Abp Wojciech Polak i bp Krzysztof Zadarko przyznają, że do ich kurii dochodzą podobne listy. Część z tych reakcji związana może być z działalnością internetowych trolli, ale ze stanowiskiem biskupów polemizują publicznie również niektórzy aktywni w sieci duchowni. Księża Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Dariusz Kowalczyk SJ, Daniel Wachowiak czy Maciej Słyż mają kilkakrotnie większe zasięgi niż razem wzięci abp Gądecki, prymas Polak, bp Zadarko oraz oficjalny profil Konferencji Episkopatu Polski.

Nie wszystko stracone

„Rodzi się wyraźnie potrzeba zmiany społecznej w postrzeganiu migrantów i uchodźców. Nie mogą oni być widziani jako zagrożenie dla bezpieczeństwa, ale powinni być postrzegani jako bliźni, których należy przyjąć z miłością i szacunkiem należnym każdemu człowiekowi. W Kościele jest olbrzymi potencjał, aby realnie doprowadzić do konkretnej zmiany postaw wobec migrantów i uchodźców w ogóle, a dziś wobec ludzi uwięzionych na granicy polsko-białoruskiej" – napisał bp Zadarko po zorganizowanym u kard. Kazimierza Nycza spotkaniu organizacji zaangażowanych w pomoc na granicy.

Być może to ostatni sprawdzian ze skuteczności społecznej Kościoła w Polsce. To ważne, bo zjawisko migracji – nawet po zażegnaniu aktualnego kryzysu – będzie nam towarzyszyło, i to coraz intensywniej. Wskazują na to nie tylko politolodzy, lecz także naukowcy analizujący kryzys klimatyczny. W encyklice „Fratelli tutti" Franciszek pisze: „Migracje bardziej niż dotychczas będą tworzyć podstawę przyszłości świata".

Papież zauważa zjawisko, z którym mamy do czynienia również w Polsce: „W niektórych krajach docelowych zjawiska migracyjne wywołują alarm i obawy, często podsycane i wykorzystywane do celów politycznych. W ten sposób rozprzestrzenia się mentalność ksenofobiczna, mentalność zamknięcia i skupienia się na sobie. (...) To niedopuszczalne, aby chrześcijanie podzielali tę mentalność i te postawy, sprawiając niekiedy, że pewne preferencje polityczne przeważają nad głębokimi przekonaniami własnej wiary: niezbywalnej godności każdej osoby ludzkiej, bez względu na jej pochodzenie, kolor skóry czy wyznanie, oraz najwyższego prawa miłości braterskiej" (FT 39).

Konkrety

Co może zrobić Kościół, by zmienić nastawienie społeczeństwa do migrantów? Przede wszystkim prowadzić oddolną formację. Jak formowani są przyszli duszpasterze? Z badań przeprowadzonych przez ks. prof. Krzysztofa Pawlinę z Akademii Katolickiej w Warszawie wynika, że klerycy przyjęci do seminarium w roku 2019 w 62 proc. zagłosowaliby na Prawo i Sprawiedliwość, a 24 proc. z nich oddałoby głos na Konfederację. Może warto zainwestować w badania sprawdzające, na ile polscy seminarzyści i duchowni przedkładają naukę społeczną Kościoła nad osobiste polityczne preferencje i rozwiązania proponowane przez polityków?

Na problematykę braterskiego podejścia do migrantów większy nacisk trzeba postawić również w kościelnych uczelniach, na wydziałach teologicznych, wreszcie w katolickich szkołach i na katechezie. Tu istotna jest również edukacja dotycząca dialogu międzyreligijnego i międzykulturowego, pomagająca niwelować lęki, uprzedzenia i dostrzegać potencjał w relacjach z wierzącymi inaczej. Podstawy do takiej edukacji są obecne w kościelnych zaleceniach od ostatniego soboru. Uwzględniono tę tematykę również w najnowszym Dyrektorium o katechizacji, jak i dokumencie „Droga formacji prezbiterów w Polsce. Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia".

Ważnym środkiem oddziaływania są media. Kościół katolicki ma swoją redakcję w publicznej telewizji i radiu, istnieją tradycyjne i nowoczesne media diecezjalne i zakonne. Poprzez obecność w nich tematyki dialogu międzyreligijnego i międzykulturowego, edukacji związanej z problematyką migracji i katolickim podejściem do niej można formować znaczną liczbę odbiorców.

Istnieje przy KEP Rada ds. Migracji. Może warto poszerzyć budżet i zadania tego gremium albo nawet powołać przy nim fundację, której zadaniem byłaby koordynacja i promocja działań na rzecz migrantów, stworzenie wspólnego forum z pozarządowymi i rządowymi instytucjami zajmującymi się problematyką migracji, współpraca międzynarodowa?

Potencjał w synodalności

W Vademecum Synodu o synodalności Stolica Apostolska wskazuje: „Słuchanie tych, którzy myślą jak my, nie przynosi żadnych owoców. Dialog wymaga zbliżenia się do siebie różnych opinii. Rzeczywiście, Bóg często przemawia głosami osób łatwo wykluczanych, odrzucanych lub pomijanych. Musimy podjąć szczególny wysiłek, aby słuchać tych, których możemy mieć pokusę uważać za nieważnych, oraz tych, którzy zmuszają nas do rozważenia nowych punktów widzenia wiodących do ewentualnej zmiany sposobu myślenia".

Synodalność ma potencjał, by przemienić mentalność lękową i otworzyć Kościół, a za nim również resztę społeczeństwa, na dialog, na innego, na dostrzeganie w drugim brata. Synodalność może stanowić lekarstwo na obecne już w polskim Kościele fundamentalizmy. Ta przemiana mentalności pomóc może również w uodpornieniu wiernych przeciw narracjom polityków i mediów, próbującym dla własnych interesów grać lękiem i uprzedzeniami. ©

TP W KOLEJNYM, ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

Metamorfoza Zamku Królewskiego na Wawelu

a w nim:

- dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu ANDRZEJ BETLEJ opowie o planowanych na 2022 rok wystawach
- kurator Zbiorów Złotnictwa na Wawelu i kustosz specjalizujący się w historii rzemiosła artystycznego DARIUSZ NOWACKI przedstawi, jakie były losy zbiorów zgromadzonych w Skarbcu Koronnym i jak wyglądać będzie nowy Skarbiec po przebudowie

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Pobożne grzechy

WACŁAW OSZAJCA SJ

Adwent to czas zwiększonych kolejek przy konfesjonałach. Porozmawiajmy o spowiedzi.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER / EAST NEWS

Przez wieki konfesjonał był miejscem, w którym parafianin mógł, prawie twarzą w twarz, spotkać się ze swoim proboszczem czy wikariuszem. Prawie, gdyż spowiednik siedział sobie wygodnie, czasami na podgrzewanym siedzisku, a penitent klęczał jak na upokorzonego podsądnego przystało. Tak, podsądnego i to nawet nie przed sądem w państwie demokratycznym, ale przed feudalnym możnowładcą.

Penitent sam siebie oskarżał, przyznawał się do winy, wymieniając dokładnie policzone w rachunku sumienia grzechy, wyrażał żal i chęć poprawy, a spowiednik osądzał, czy to wystarczy do ważności sakramentu, choć na czym miała polegać ta ważność, trudno powiedzieć. Następnie wymierzał karę, czyli pokutę, i rozgrzeszał. Gdzieś w tym wszystkim jednak gubił się jeszcze jeden warunek, rzeczywiście konieczny, a mianowicie zadośćuczynienie. Przecież nawet jeśli spowiadający się odmówił za pokutę najdłuższą litanię, to krzywda wyrządzona bliźniemu nadal pozostawała krzywdą i, podbarwiona hipokryzją, podwójnie bolała.

Praktycznie do spowiedzi przystępowano raz, dwa razy w roku, najczęściej na koniec rekolekcji wielkopostnych. Zapewne stąd wzięło się przekonanie, że istnieje coś takiego jak spowiedź wielkanocna. Wielkopostne nauki i nabożeństwa rekolekcyjne miały jeden cel: ważną spowiedź. Ważną w znaczeniu, że ofiarowana Panu Bogu, miała za zadanie zmienić Jego nastawienie do penitenta z niechętnego na życzliwe. Na rekolekcjach, po przespowiadaniu uczestników, następowała tzw. komunia generalna, i poza małymi wyjątkami do Stołu Pańskiego w ciągu roku nie przystępowano, chyba że wypadł pogrzeb, rzadziej ślub, no i odpusty.

Dopiero gdy zaczęto organizować rekolekcje adwentowe, gdy zaczęły powstawać wspólnoty kościelne, duszpasterskie, częstotliwość przystępowania do sakramentu pokuty i Eucharystii zwiększyła się. Powoli zanikała też ścisła zależność przystępowania do Stołu Pańskiego od przystąpienia do spowiedzi. Słowem – te dwa sakramenty uniezależniły się od siebie, co nie znaczy, że utraciły wewnętrzną więź.

W swoim założeniu spowiedź jest sakramentem pokuty i pojednania, a więc jest uzewnętrznieniem nieraz bardzo długiego procesu przemiany mentalności i osobowości. Paweł Apostoł tak pisze do Efezjan: „Wy (...) nauczyliście się Chrystusa. Słyszeliście bowiem o Nim i w Nim zostaliście pouczeni zgodnie z prawdą w Jezusie, że należy odrzucić starego człowieka z jego wcześniejszym sposobem życia, człowieka niszczonego przez zwodnicze żądze. Pozwólcie się odnawiać Duchowi w waszym myśleniu" (Ef 4, 20-23). Spowiedź stanowi więc zamknięcie procesu powracania do wspólnoty Kościoła, czego wyrazem jest ucztowanie przy Stole Pańskim znowu razem z siostrami i braćmi w wierze. Tym sposobem sakrament pokuty powoli odzyskuje swoje istotne, wspólnotowe, kościelne znaczenie. Przestaje być jeszcze jedną pobożną, indywidualną praktyką, a staje się dziełem wspólnoty. To sprawia, że zmianie ulega też sposób spowiadania i częstotliwość przystępowania do spowiedzi. I tu zaczynają się nowe schody, zmiana oczekiwań, z jakimi wierni przychodzą do konfesjonału. Oczekiwań, których jednak w konfesjonale spełnić niepodobna.

Pokusa duchowej światowości

Ponoć gdzieś na południu Europy przystępujący do spowiedzi zaczynają tak: proszę ojca, mam takie grzechy, jakie ma każdy – powiedzmy – pięćdziesięcioletni mężczyzna, za które oczywiście żałuję. U nas zaś: nikogo nie zabiłem, nie podpaliłem, nie obrabowałem, to z czego mam się niby spowiadać.

Spowiedź podczas mszy w bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie. 11 czerwca 2021 r.

To prawda i jest to dobra prawda. Dobra dlatego, że jakoś, lepiej lub gorzej, świadczy o tym, iż penitent twardo stąpa po ziemi, poczuwa się do odpowiedzialności za życie swoje i innych. Nie wzywa bowiem Pana Boga „nadaremno" do „czczych rzeczy", ale w pocie czoła, jak Pan Bóg przykazał, uprawia swoją rolę. Paweł Apostoł mówi: „Bracia (...) sami wiecie, jak trzeba nas naśladować, bo nie próżnowaliśmy u was. Chleba nie jedliśmy u nikogo za darmo, ale pracowaliśmy dniem i nocą w trudzie i znoju, aby dla nikogo z was nie być ciężarem. Nie, żebyśmy nie mieli do tego prawa, ale chcieliśmy dać wam samych siebie jako przykład do naśladowania. Gdy bowiem byliśmy u was, nakazywaliśmy: »Kto nie chce pracować, niech też nie je!«. Słyszymy bowiem, że niektórzy u was próżnują. Nie pracują, lecz udają, że pracują. Nakazujemy im i upominamy ich w Panu Jezusie Chrystusie, aby pracując spokojnie, jedli własny chleb. Wy zaś, bracia, nie zniechęcajcie się w czynieniu dobra. Jeśli ktoś nie posłucha słów naszego listu, zapamiętajcie go sobie i nie przestawajcie z nim, aby się zawstydził. Nie uważajcie go jednak za wroga, lecz upominajcie jak brata" (2 Tes 3, 7-16).

My jednak tak rozbudowaliśmy teologię moralną, że w ostatecznym rozrachunku przybrała ona formę kazuistyki. Dorobiliśmy się nawet, jak mówi papież Franciszek, logiki kazuistycznej, w której o wierze myśli się „jedynie w kategoriach »można« lub »nie można«, jak daleko wolno, a jak daleko nie wolno". Ta logika prowadzi do niekończącego się liczenia i ważenia grzechów, do nieustającego lęku i pytań, czy czeka mnie zbawienie, czy już wystarczająco zasłużyłem na nie, czy Bóg przestał się już na mnie złościć, czy może powinienem jeszcze więcej i więcej odmawiać litanii, nowenn, koronek itd.

Dlatego czasami ma się wrażenie, że spełnia się Jezusowa przestroga: „Jezus przemówił do tłumów i do swoich uczniów: »Miejsce Mojżesza w nauczaniu zajęli nauczyciele Pisma i faryzeusze. Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, czego was uczą. Nie naśladujcie jednak ich czynów. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Przygotowują wielkie ciężary, których nie można unieść, i nakładają je ludziom na ramiona, a sami nie chcą ruszyć ich nawet palcem. Czynią zaś wszystko, aby pokazać się ludziom«" (Mt 23, 1-5). Choroba dwulicowości, która dotknęła nauczycieli Pisma i faryzeuszów, dotyczy również nas, duchownych katolickich, czy szerzej chrześcijańskich, jak też religii niechrześcijańskich oraz ateistów. Nie nowy to wynalazek, ale wiekowy jak chrześcijaństwo, jak w ogóle życie religijne.

Manowce pobożności

Wspomniałem już, że konfesjonał nie jest dobrym miejscem na wszystko, zwłaszcza na – jak się to jeszcze czasami mówi – kierownictwo duchowe czy towarzyszenie duchowe, a tym bardziej na katechezę przygotowującą do uczestniczenia w liturgii. A już na pewno nie jest dobrym miejscem na poradnictwo psychologiczne, małżeńsko-rodzinne czy seksuologiczne. Na te działania trzeba znaleźć inny czas i inne miejsce. A że sprawa jest pilna, to wie każdy, kto uczciwie chce towarzyszyć swoim siostrom i braciom w ich dotrzymywaniu kroku Panu Bogu.

Nie bez powodu Franciszek wzywa zarówno duchownych, jak i świeckich do nawrócenia duszpasterskiego, do odejścia od bezdusznej technologii duszpasterskiej, czyli starego rytualizmu i klerykalizmu. A ostatnio, widząc działania antyszczepionkowców, wzywa do poszanowania rozumu i dowartościowania nauki w życiu religijnym. Nasza pobożność może się bowiem stoczyć w krainę utylitaryzmu, a co gorsza: zabobonu i magii. „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie (1 Kor 15, 19)" – mówi Paweł Apostoł.

Chętnie np. czcimy błogosławionych i świętych jako naszych orędowników i pośredników, a niewiele korzystamy z ich wiary, choćby z dzieł Jana od Krzyża czy Ignacego z Loyoli. Ktoś kiedyś powiedział: Pan Jezus z dziećmi się bawił, a nauczał dorosłych, a my odwrotnie, z dorosłymi się bawimy, a nauczamy dzieci. Słowem, spowiedź nie jest zabiegiem samoistnie zmieniającym nasze podejście do życia, ale jest sprawdzianem, na ile to życie jest chrześcijańskie i na ile nie jest.

W pierwszej księdze „Nocy ciemnej" Jan od Krzyża mówi „o pewnych niedoskonałościach duchowych, jakie popełniają początkujący pod wpływem nałogu pychy" oraz „wady głównej, którą jest łakomstwo duchowe". Mówi też o duchowej nieczystości, duchowym gniewie, chciwości, zazdrości i lenistwie. Tak więc analogicznie do siedmiu grzechów głównych, które znamy z katechizmu, mamy siedem grzechów głównych duchowych, odnoszących się wprost do relacji: człowiek i Bóg.

Dalej mówi, że tych, którzy już zdecydowali się opowiedzieć za Bogiem, którzy chcą się z Nim mocniej związać, zaprzyjaźnić, którzy już w Niego i Jemu zaczynają wierzyć, Bóg „obdarza pieszczotami na sposób czułej matki". Ale gdy dziecko podrośnie, matka, i analogicznie Bóg, „nie nosi go na rękach, lecz każe mu stąpać na własnych nóżkach, aby powoli wyzbywało się słabości i zabierało do rzeczy większych i istotniejszych". Bywa jednak, że człowiek tak rozsmakuje się w dziecięcym pokarmie i dziecięcych przyjemnościach, że nie chce, wprost boi się wydorośleć. Taki człowiek „znajduje rozkosz w długich modlitwach, trwających nieraz całe noce, upodobanie w pokutach, ↦

↦ zadowolenie w postach i pociechę w przystępowaniu do sakramentów oraz w rozmowach o rzeczach Bożych".

Tak rozmodleni ludzie wpadają czasem w „pewien rodzaj ukrytej pychy", to znaczy w samozadowolenie, w zadowolenie „z samych siebie i ze swoich uczynków, mimo iż prawdą jest, że rzeczy święte same z siebie rodzą pokorę". Ten rodzaj pychy przejawia się w nieodpartej „chęci rozmów o rzeczach duchowych z innymi. Często zresztą w tym celu, by innych nauczać, niż by się od nich uczyć. Gdy zaś napotkają u nich inny rodzaj pobożności niż ich własny, potępiają ich w swoim sercu, a nawet i zewnętrznie w słowach. Stają się wtedy podobni do tego faryzeusza, który chełpił się przed Bogiem ze swych czynów i pogardzał celnikiem".

W rezultacie człowiek modli się do siebie, a nie do Boga. Wierzy, czy wprost jest przekonany, że to, co przeżywa na modlitwie, jest niepodważalnym dowodem na obecność i działanie Boga. Wszystko zaś, co nie mieści się w jego głowie, jest z całą pewnością od Złego. To pewnie stąd takie wielkie, choć chyba słabnące zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju egzorcyzmy i tzw. świadectwa, które często są niczym innym, jak tylko powtarzaniem utartych frazesów: wtedy a wtedy nawróciłem się i od tamtej pory Chrystus jest moim jedynym Panem. „Czasem te dusze – pisze Jan od Krzyża – dochodzą do takiego stanu, iż pragną, aby nikt prócz nich nie był doskonały. Potępiają więc wszystkich przy każdej sposobności słowami i czynami, widząc źdźbło w oku bliźniego, a nie dostrzegając belki w swym własnym".

Dzisiaj u nas...

Pewnie gdzieś tutaj bije zatrute źródło naszych dzisiejszych kłopotów. Jak inaczej pojąć, dlaczego przyjmowanie hostii „na rękę i na stojąco" ma być świętokradztwem, profanacją? Dlaczego niby msza w rycie trydenckim jest „mszą wszech czasów", w domyśle „jedynie ważną"? Jak można ośmieszać Boga i Kościół, twierdząc, że „Ciało Pańskie nie zaraża?", a przeciwnie, na wzór tabletki od bólu głowy, jest „lekarstwem na wszelkie choroby duszy i ciała"? Dlaczego ponad racje rozumowe, medyczne, stawiamy bełkot samozwańczych specjalistów od wszystkiego, twierdzących, że np. maseczki szkodzą zdrowiu, a szczepienie przeciw covidovi narusza naszą wolność i jest przejawem braku wiary w moc Boga? W jakim celu chce się spolonizować Chrystusa i Jego Matkę do tego stopnia, że stają się Oni naszą wyłączną własnością?

Zastanawiając się nad odpowiedzialnością za Kościół w duchu soborowym, a w dobie epidemii szczególnie nad uczestnictwem w liturgii Kościoła, czy nie warto posłuchać Karla Rahnera SJ: „Rozumie się samo przez się, że kościelny prawodawca – jako zastępca Boga – nie może ustanawiać woli Boga; z tej racji nie może – jako zastępca Boga – też moralnie i w sposób bezpośredni zobowiązywać do zachowania czysto kościelnych przykazań, lecz może to czynić tylko w tym sensie, w jakim przykazania te w konkretnym przypadku są współobecne w chrześcijańskiej woli przynależenia do Kościoła".

Tymczasem jakaś część duchownych i świeckich katolików, według terminologii Jana od Krzyża część „dusz", skrywając to przed sobą, chciałaby, „żeby Bóg chciał tego, czego chcą one, a przeciwnie, pragnienie tego, czego Bóg pragnie, napawa je smutkiem i odrazą do uzgodnienia swej woli z wolą Boga. Stąd też często sądzą błędnie, że to, co nie odpowiada ich upodobaniom i woli, nie jest wolą Bożą, a to, co ich zadowala, zadowala również i Boga. Mierzą więc Boga swoją miarą, a nie siebie Bożą. Jest to zupełnie sprzeczne z tym, czego Pan nauczał w Ewangelii. »Kto by stracił swoją wolę dla Mnie, znajdzie ją, a kto by chciał zachować swoją wolę, straci ją«".

Wciąż więc wyszukujemy coraz skuteczniejsze modlitwy „w sprawach trudnych i beznadziejnych", to znaczy takich, które w rzeczywistości są niczym innym, jak tylko częścią naszego losu, jak choroby czy śmierć, albo zwykłym biegiem rzeczy, jak wypadki drogowe czy niezdana matura. A przecież nie chodzi o to, by Bóg na nasze żądanie, nazywane np. modlitwą wstawienniczą, zawieszał naturalny, bo stworzony przez Niego bieg rzeczy. Jeśli o coś prosić Boga, to nie o uwolnienie nas z „tego świata", ale o odważne zmierzenie się z nim. Uwierzenie, że nie przez przypadek jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, ale że tu i teraz jesteśmy Bogu potrzebni. Taka jest nasza misja: być sakramentem obecności i działania Boga. Znakiem, że najważniejszym powodem, dla którego Bóg nie opuszcza swego ludu, jest fakt grzeszności tegoż ludu.

POŻEGNANIA

W dniu 29 listopada 2021 roku w Gdyni zmarł

o. Władysław Wołoszyn SJ

wieloletni duszpasterz akademicki w Toruniu.
Był dla nas autorytetem, przewodnikiem i nauczycielem.

Uczestnicy i sympatycy „Grupy Sobotniej" D.A.
przy kościele akademickim OO. Jezuitów w Toruniu

Naszej Przyjaciółce

Hannie Dmochowskiej

z Fundacji Konrada Adenauera w Polsce składamy wyrazy głębokiego współczucia i przesyłamy słowa wsparcia z powodu śmierci

Mamy

Przyjaciele z Klubów „Tygodnika Powszechnego"
i Stowarzyszenia im. Jerzego Turowicza

A może by tak na siedząco?

Jakieś ćwierć wieku temu widziałem po raz pierwszy w katedrze w Chartres konfesjonały z pleksiglasu w kształcie małych kontenerów. Wewnątrz znajdował się stół, dwa fotele, ale i tradycyjny konfesjonał z kratką. Spowiednik i penitent zazwyczaj siedzieli naprzeciw siebie. Można było bez pośpiechu rozmawiać. Dyżur konfesjonałowy trwał cały dzień.

W Polsce „miejscem indywidualnej spowiedzi są konfesjonały ustawione w kościołach, kaplicach i w tych pomieszczeniach, w których miejscowy ordynariusz pozwala odprawiać Mszę św. (np. w punktach katechetycznych)" – czytamy we wprowadzeniu ogólnym do rytuału „Obrzędy pokuty dostosowane do zwyczajów diecezji polskich". Ale „w koniecznych wypadkach kapłan posiadający jurysdykcję może w każdym miejscu ważnie i godziwie wysłuchać spowiedzi i udzielić rozgrzeszenia". To ważne – taką koniecznością jest według mnie fakt, że wielu przystępujących do spowiedzi przede wszystkim potrzebuje rozmowy, np. zachęty do podjęcia leczenia odwykowego.

Spowiedź nie jest zabiegiem samoistnie zmieniającym nasze podejście do życia, ale jest sprawdzianem, **na ile to życie jest chrześcijańskie.**

„Kapłan niech przyjmie penitenta z braterską miłością i ewentualnie niech go pozdrowi uprzejmymi słowami". Nie wiem, po co to „ewentualnie"? A więc nie sędzia, nie oskarżenia, nie kara, ale radość ze spotkania z kimś niespodziewanym, który przychodzi nie tylko się oskarżać, ale podzielić się ze starszym Kościoła trudnościami „w prowadzeniu życia chrześcijańskiego", czytamy we wspomnianym wprowadzeniu. Dowiadujemy się też, że „pojednanie pokutujących może się odbywać o każdej porze i w każdym dniu. Wypada jednak, aby wierni znali dni i godziny, w których kapłan jest obecny dla wykonywania tej posługi. Wiernych należy przyzwyczaić, by spowiadali się poza Mszą, zwłaszcza w ustalonych godzinach". Słyszy się, że w niektórych parafiach urządza się specjalne kaplice i buduje konfesjonały na wspomniany już francuski sposób.

Posługa w konfesjonale, jeśli nie ma być fikcją, musi mieć swoje przedłużenie poza kościołem. Spowiednik nie może bawić się w psychoanalityka, doradcę małżeńskiego i rodzinnego czy seksuologa lub gerontologa, ani w moralistę czy etyka. Jego powołaniem jest szukanie razem z siostrami i braćmi i odnajdywanie Boga we wszystkim i ponad wszystkim, jak mówi Ignacy z Loyoli. Ignacy w „Ćwiczeniach duchowych" proponuje również rozpoczynanie rachunku sumienia nie od liczenia i ważenia grzechów, ale od domyślania się i odnajdywania tego, gdzie dzisiaj działa Chrystus, po to, by podjąć z Nim współpracę. Przy takim postawieniu sprawy okazuje się, że nie ma takiego miejsca na ziemi ani w niebie, gdzie nie byłoby Boga. Z piekłem włącznie.

©℗ WACŁAW OSZAJCA SJ

To tu, to tam

Opowieści o podróżowaniu, podróżnikach i podróżniczkach

Wystawa w Muzeum dla Dzieci w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie

ul. Kredytowa 1

ethnomuseum.pl

Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie

Wystawa współfinansowana ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego. Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Mazowsze. serce Polski

Partner wystawy: Lubella

Patroni medialni: Ładne Bebe, DZIECI, CzasDzieci, Polskie Radio dzieciom

Partner medialny: TYGODNIK POWSZECHNY

„TP" 44 / 2021

Granice dialogu

W czasie wizyty biskupów polskich *ad limina apostolorum* padło pytanie kierowane do papieża Franciszka o granice dialogu. Pisze o tym abp Grzegorz Ryś w „Okruchach słowa" i dopowiada w rozmowie na portalu Archidiecezji Łódzkiej. Papież odpowiedział, że dialog można (trzeba) prowadzić z każdym, ale nie z tym, „kto chce cię wykorzystać, użyć do czegoś". I tu powstaje pytanie, jak rozpoznać intencje? Łatwo bowiem, przyjmując złe zamiary rozmówcy, z góry go zdyskwalifikować, przekreślić i mieć niejako „problem z głowy". A przecież może być tak, że ktoś przychodzi ze złą intencją (poniżenia, ośmieszenia mnie), ale w trakcie rozmowy pod wpływem autentycznej postawy miłości chrześcijańskiej może zmienić to nastawienie. Tak działo się np. ze św. Franciszkiem. W kontekście tego problemu został przywołany fragment Ewangelii świadczący o tym, że Jezus także w pewnych sytuacjach wykluczał dialog: tak w przypowieści o uczcie królewskiej (Mt 22, 12-13) król wyprosił człowieka, który nie miał szaty weselnej. Ale ten przykład nie przekonuje, bo w przypowieści nie jest jasne, jaka była sytuacja człowieka bez tej szaty: czy wszedł przez pomyłkę, czy celowo. W wywiadzie z abp. Rysiem powiedziane jest, że odmowa dialogu dotyczy przede wszystkim Szatana: z diabłem się nie dialoguje. To oczywiste. Ale w przypadku człowieka chyba trzeba zawsze próbować. O ile nie są to sytuacje prześladowania (w czasie śledztwa nie ma dialogu), w których uczniom Chrystusa pozostaje tylko modlitwa za prześladowców i nadzieja ich nawrócenia.

RENATA GRZEGORCZYKOWA

„TP" 48 / 2021

Pandemia niesolidarności

Dziękuję za zdecydowany głos red. Macieja Müllera na temat szczepień. Podejście empatyczne do człowieka to nie zgoda na bezprawie. Są na świecie ludzie, którzy odmawiają w imię swoich przekonań leczenia, oni jednak narażają na następstwa takiego wyboru nie tylko siebie i bliskich. Za każdym wyborem idą jakieś konsekwencje, lecz nie można obarczać nimi innych. Wiele krajów Europy izoluje osoby niezaszczepione, przewidywane są dalsze obostrzenia, o czym pisze Barbara Radzikowska-Kryńczak w tekście „Pandemia niesolidarnych". My brniemy w debatę o pseudowolności i empatii, i to w kraju, gdzie potrafi się tego odmawiać ludziom ze względu na orientację seksualną, pochodzenie czy barwę skóry. Pandemia niesolidarności – tym właśnie nieszczepienie jest. Tym też jest nienoszenie maseczek, nieegzekwowanie nakazów, obostrzeń czy lekceważenie objawów choroby.

JOANNA RÓZGA

Złap oddech przed świętami!

Więcej informacji na
powszech.net/dzisiajwbetlejem
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNERZY:
Kraków
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
PRZEKRÓJ

WOJCIECH

Bonowicz:
Spacer

Oprowadzałem niedawno po Krakowie pewnego – hm, hm – czeskiego księdza. Mimo że bywał u nas wiele razy, mapa miasta trochę mu się zatarła w pamięci. Dzień był pogodny, słońce odbijało się w Wiśle, ksiądz z uśmiechem odpowiadał na pozdrowienia tych, którzy go rozpoznawali. „Wiesz, ten nasz spacer nie jest tak całkiem bezinteresowny", powiedziałem w pewnym momencie.

To był dzień, kiedy ów ksiądz odbierał w Krakowie ważną nagrodę. Przed południem nagrał wywiad dla niepublicznej telewizji, w planach był jeszcze lunch i odpoczynek w hotelu. Uroczystość miała się odbyć dopiero wieczorem. Zaprowadziłem go w najważniejsze dla Czechów miejsce w naszym mieście: pod mur dawnego aresztu na rogu Podzamcza i Kanoniczej. To tu, powiedziałem, latem 1903 r. zatrzymano za włóczęgostwo wielkiego pisarza Jaroslava Haška. Opisał to zdarzenie w jednym z opowiadań i wedle jego świadectwa w miejscu, w którym staliśmy, pasły się wówczas kozy.

Skręciliśmy w Kanoniczą, a ja cierpliwie objaśniałem: tu jest rektorat papieskiego uniwersytetu, tu mieszkał Tischner w ostatnich latach życia, a tu Wojtyła, kiedy został biskupem. Ta kamienica też należy do Kościoła katolickiego, i ta też, i ta także. „W ogóle – zmrużyłem oko – Kościół w Krakowie ma całkiem sporo ładnych nieruchomości". Mój towarzysz udał, że nie słyszy, ale powiedziałem to na tyle głośno, że musiało do niego dotrzeć. I choć najbardziej spodobał mu się skromny kościół św. Andrzeja, to ja snułem dalej swój misterny plan, na przemian kusząc i perswadując.

„Bo wiesz, mamy ten problem, że młodzi, zresztą nie tylko młodzi, zaczynają od Kościoła odchodzić – mówiłem. – Widać ten odpływ zwłaszcza tu, w Krakowie. Kościół krakowski zamarł, nie jest już tym dynamicznym Kościołem lat 80. i 90. Owszem, ciągle nie brakuje w nim ciekawych osobowości, a nawet pewnego żaru. Ale dominuje jednak coś innego: ten Kościół stygnie, usycha, potrzebuje pasterza, który poprowadziłby go do źródła żywej wody...".

Może i zapędziłem się trochę z tymi metaforami, ale czytelniczkom i czytelnikom „Tygodnika" nie muszę tłumaczyć, dlaczego. Nie wiem, ile z tego zrozumiał mój rozmówca – ja mówiłem po polsku, on po czesku, czasem jakieś trudniejsze słowa tłumaczyliśmy sobie na angielski. Odpowiedział, że ten czas to czas kairosu, próby, przemiany. On sam ma w tym roku grupę przeszło stu katechumenów, którzy chcą przyjąć chrzest. Większość z nich to ludzie z wyższym wykształceniem. „Czy znajdą w Kościele to, czego szukają? – zapytałem. – Czy kiedy wrócą do swoich parafii, nie opadną ich wątpliwości, czy dobrze wybrali?". „Nie wiem – odpowiedział spokojnie. – Staram się im wpoić, że wątpliwości także są częścią wiary".

To, czego dziś najbardziej powinniśmy się obawiać, to strachu, mówił dalej. Strach jest złym doradcą. Mamy dziś dwa problemy: religię, która zrasta się z ideologią polityczną tak, że staje się z nią niemal jednością, i duchowość, która ucieka od wszelkich form zinstytucjonalizowanych. Chrześcijaństwo przyszłości to chrześcijaństwo, które pozbędzie się politycznych uwikłań, a jednocześnie nie będzie ucieczką od świata, czymś całkowicie prywatnym. Niewątpliwie mamy kryzys zaufania do instytucji. Chodzi o to, żeby przejść od katolicyzmu do katolickości – od Kościoła zatroskanego o utrzymywanie struktur do Kościoła żywego, pozbawionego lęku.

„No dobrze, ale jak to zrobić?" – spytałem. Nie da się odnowić Kościoła w samotności, odpowiedział. Muszą tworzyć się grupy, wspólnoty, które zaczną szczerą rozmowę. Taki jest sens drogi synodalnej zaproponowanej przez papieża Franciszka.

Spacerowaliśmy już blisko godzinę, kiedy w końcu się zdecydowałem. „Bo widzisz, kiedy powiedziałem, że ten spacer nie jest całkiem bezinteresowny, miałem na myśli to, że za trzy lata będziemy potrzebowali nowego biskupa... Jak myślisz, papież zgodziłby się, żeby biskupem w Krakowie został Czech?".

Tomaś spojrzał na mnie, a upewniwszy się, że mówię poważnie, wybuchnął śmiechem. ©

TP W NASTĘPNYM, ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ W OROŃSKU
w 40-lecie powstania

- o historii Centrum, jego teraźniejszości i planach na przyszły rok
- o programie „Rzeźba w przestrzeni publicznej"
- Orońsko – przeszłość versus współczesność. Fenomen miejsca

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ETIOPSKA MATRIOSZKA

Zachodni analitycy alarmują, że ta wojna może przerodzić się w koszmar jak w Rwandzie. A w samej Etiopii? Tu ludzie patrzą fatalistycznie na bieg zdarzeń.

AGATA KAŹMIERSKA

Uliczne łapanki: brzmi to strasznie, ale w praktyce wygląda tak, że na ulicy po prostu robi się korek. Policjanci, uzbrojeni w pistolety maszynowe, przeszukują samochód po samochodzie. „Taki rozkaz". Zator w mieście, które i tak jest wiecznie zakorkowane, złości, ale co robić? Trzeba czekać. Nikogo w zasadzie nie obchodzą „Jedenastki", na które trwa polowanie. Gdy kogoś złapią, milcząca większość odpowie co najwyżej wzruszeniem ramion. Mówi się, że w samej tylko stolicy wyłapano 30 tys. ludzi. Co się z nimi później stało? Znów wyrażające obojętność wzruszenie ramion.

Można odnieść wrażenie, że jedynym, który tu wyraża emocje, jest uśmiechający się z ogromnych billboardów premier Abiy Ahmed Ali. Gdy w 2019 r. dostał pokojowego Nobla, zachwycał się nim cały świat. Teraz mówią, że dopuścił się ludobójstwa. Dopuścił się? Odpowiada obojętność.

W Addis Abebie, liczącej 5 mln mieszkańców, rano ludzie idą do pracy, a po południu wracają. Wieczorami bary są pełne. Jakby zupełnie nic złego się nie działo. „Tak, podobno dochodzi do strasznych rzeczy, ale daleko. Tu tylko w nocy czasem słychać strzały z oddali". Podobno rebelianci są coraz bliżej. A może to kolejne łapanki? Nie wiadomo, kto strzela ani do kogo, bo rząd wydał edykt zakazujący podawania informacji o wojnie.

Addis Abeba trwa więc w letargu, podtrzymując podstawowe funkcje życiowe. Czeka. Zachodni analitycy alarmują: konflikt w Etiopii może się przerodzić w koszmar jak w Rwandzie, w krwawe szaleństwo jak w rozpadającej się Jugosławii. Gdy dopytuję, moi rozmówcy wzruszają ramionami. Już to widzieli. Powiadają, jak u Alberta Camusa: „To nie potrwa długo, to zbyt głupie". Ale to wojnie trwać nie przeszkadza.

Powstanie w Tigraju

Etiopska polityka jest jak matrioszka. Gdy już sądzisz, że coś rozumiesz, okazuje się, że to wcale nie jest sedno sprawy.

Doskonałym przykładem jest wojna, ponoć wywołana przez „Jedenastki", czyli Tigrajczyków – zgodnie z tradycją nacinają oni dzieciom w okolicach skroni skórę, po czym na całe życie zostają im niewielkie pionowe blizny, stając się znakiem przynależności etnicznej, stąd „Jedenastki".

Teoretycznie impulsem, który doprowadził do konfliktu, były zorganizowane we wrześniu 2020 r. wybory do władz Tigraju, regionu położonego na północnym zachodzie kraju. Władze federalne zakazały głosowania, oficjalnie z powodu pandemii. Mimo to wybory się odbyły, a Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia (TPLF) miał zdobyć 98 proc. głosów. Kilka tygodni później przewodniczący TPLF ogłosił, że w odwecie za nieposłuszeństwo Tigrajczyków wojska federalne szykują się do ataku na region. Zaraz potem TPLF dokonał – jak to ujęto – ataku wyprzedzającego na bazy wojsk federalnych w Tigraju, zabijając żołnierzy i zdobywając sprzęt. Rząd federalny odpowiedział błyskawicznie – stan wyjątkowy i potężna ofensywa.

Choć odcięto połączenia telefoniczne i internet, setki tysięcy uciekających niosły to samo przesłanie: Tigraj spływa krwią – bombardowania cywilów, masakry, palenie plonów, gwałty. Z zeznania jednej z uchodźczyń: „Gwałty zaczynają od ośmiolatek, kończą na siedemdziesięciolatkach. (...) Dochodzi do tego w miejscach publicznych, na oczach rodzin, mężów, na oczach wszystkich. Skuwają nogi i ręce, zawsze w taki sam sposób. Każdą jedną kobietę nie raz, ale wiele razy gwałcą".

Samuel Ghebrehiwet – były dziennikarz BBC i Tigrajczyk – twierdzi, że tym, co naprawdę wywołało tigrajskie powstanie, były właśnie te zbrodnie: „Rodzice mówili dzieciom: zamiast umierać w domu, idź i walcz. Tak doszło do wojny między ludem Tigrajczyków a armią, choć wcześniej była to wojna między armią a TPLF".

Dziś, po ponad roku, Tigraj nadal jest odcięty od świata. Z danych ONZ wynika, że spośród 6 mln mieszkańców regionu co trzeci musiał uciekać z domu, a 400 tys. zagrożonych jest śmiercią głodową. W październiku siły rebelianckie podały, że zabiły dokładnie 3073 żołnierzy wroga. W tym samym czasie etiopska armia federalna informowała o zabiciu 5600 rebeliantów. Ilu zamordowano cywilów? Nie wiadomo. Z informacji, jakie uzyskała agencja AFP, wynika, że w szpitalach w Tigraju od czerwca do października zmarło z głodu blisko 200 dzieci poniżej piątego roku życia.

AMANUEL SILESHI / AFP

Wolontariusze przygotowują transport wody dla żołnierzy walczących z rebeliantami z Tigraju. Addis Abeba, 30 listopada 2021 r.

Poranek po rewolucji

To teraz matrioszka.

Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia, dziś mieniący się obrońcą Tigraju, rządził twardą ręką całą Etiopią przez ponad ćwierć wieku i został odsunięty od władzy po masowych i krwawo tłumionych protestach. To właśnie ta fala wyniosła do władzy w 2018 r. obecnego premiera. Młodzieńcza energia i uśmiech, niemal nieznikający z twarzy 41-letniego wówczas premiera, dawały nadzieję, że kraj o wielkości jednej czwartej Europy i liczący ponad 100 mln mieszkańców wreszcie zacznie się reformować i stanie się demokratyczny.

O tym, że idzie nowe, świadczyć miała pierwsza symboliczna decyzja nowego szefa rządu: Abiy Ahmed Ali zamknął położone w sercu Addis Abeby więzienie Maekelawi, słynące z liczącej pół wieku tradycji maltretowania opozycjonistów.

Szybko potwierdziła się jednak stara prawda, że po rewolucji piękny jest tylko poranek. Członkowie TPLF stanowili trzon najważniejszych urzędów federalnych i armii. Abiy im nie ufał. Gdy zaczął się „przegląd wojska", co w praktyce oznaczało zamknięcie w obozach internowania 15 tys. tigrajskich wojskowych, armia – uważana za jedną z najlepszych w Afryce – zaczęła się sypać. „To ją zdemoralizowało, przestała być spójną siłą, a Abiy nie miał czasu na odtworzenie jej przed wybuchem wojny" – pisał w jednej z analiz Alex de Waal, dyrektor wykonawczy The World Peace Foundation, specjalizujący się w polityce państw Rogu Afryki. Ocenia się, że do partyzantki mogło wstąpić 100 tys. Tigrajczyków, którymi dowodzą dziś oficerowie wyrzuceni z armii.

Czy TPLF sprowokował tę wojnę, licząc na to, że wróci do rządzenia krajem? Jeśli tak, to czy spodziewał się, jaką hekatombę wywoła? Czy można wybaczyć śmierć najbliższych i cierpienie, które zostanie do końca życia? I kto o to wybaczenie powinien błagać?

Medemer znaczy jedność

Jego nazwisko wymieniano jednym tchem z takimi postaciami jak Barack Obama i Nelson Mandela. Gdziekolwiek się pojawiał, tłum go adorował. Nie tylko za wypuszczenie tysięcy więźniów politycznych, zdjęcie kagańca mediom i zaproszenie zakazanych wcześniej organizacji opozycyjnych do współrządzenia. ↦

Otwartość Abiya kontrastowała z wywołującym strach dystansem poprzedników. Dał ludziom nadzieję. Hasłem emanującego optymizmem premiera stało się *medemer*, czyli „jedność". Właśnie jedność narodową – jak mówił – chciał pielęgnować, celebrując jednocześnie różnorodność 80 grup etnicznych Etiopii.

Zresztą to własne jego życie miało być przykładem: syn muzułmanina i chrześcijanki, obojga z dyskryminowanej grupy Oromów, wziął za żonę Amharkę z cesarskiego miasta Gondar. Bajka, której ukoronowaniem miała być Pokojowa Nagroda Nobla – za zawarcie porozumienia kończącego trwający 20 lat konflikt z sąsiednią Erytreą.

Znów matrioszka. Nagrodzone porozumienie okazało się krwawym paktem przeciwko Tigrajczykom. Bo rok temu, w pierwszych dniach wojny, to właśnie erytrejskie wojska – przerzucone przez granicę i dokonujące masakr – uchroniły etiopskie siły rządowe przed porażką w Tigraju.

Także wizerunek premiera mógł być spreparowany. Wcale nie był człowiekiem z zewnątrz systemu władzy, choć lubił tak o sobie mówić. Wcześniej, jako podpułkownik służb specjalnych, tworzył i kierował Krajową Agencją ds. Sieci Informacyjnej i Bezpieczeństwa, odpowiedzialną za ścisłą kontrolę internetu oraz szpiegowanie dysydentów i dziennikarzy. Później Abiy wszedł do rządu, na czele którego stali Tigraje z TPLF, i został ministrem nauki oraz techniki.

Śmiech i oklaski

Ciekawe jest i to, jak poróżnił się z Tigrajczykami. Otóż najpierw udało mu się przejąć kontrolę nad rządzącym Etiopskim Ludowo-Rewolucyjnym Frontem Demokratycznym (koalicja ta składała się z kilku ugrupowań, w tym TPLF), a następnie go rozwiązał, aby budować własną, również koalicyjną platformę – Partię Postępu.

Przeczuwając, że ten manewr ma ograniczyć ich wpływy, TPLF odmówił przyłączenia się do nowego projektu Abiya. Zaraz potem wobec polityków Frontu pojawiły się oskarżenia o korupcję, a kilku z nich zginęło w tajemniczych okolicznościach.

Do myślenia dają słowa, które premier wygłosił na spotkaniu z ambasadorami Etiopii w 2019 r., a więc niedługo przed wybuchem konfliktu w Tigraju: „Od czasów bitwy pod Adua w czasach cesarza Menelika i podczas późniejszych wojen wielu ludzi ze środkowej Etiopii – Oromów i Amharów – jeździło do Tigraju, by walczyć, ale zostawiali tam też swoje DNA" – tu protokolant odnotował śmiech publiczności. A premier mówił dalej: „Chyba niestosownie to mówić, ale każdy, kto szedł tam walczyć, nie szedł po prostu i wracał. Każdy miał po około dziesięcioro dzieci". Tu odnotowano głośny śmiech publiczności i oklaski.

Między Tigrajem a Oromią

Pod koniec 2019 r., gdy kampania nienawiści się rozkręcała, a zabójstwa na tle etnicznym zaczęły powtarzać się z zatrważającą częstotliwością (wcześniej były rzadkością), rząd Abiya powrócił do starych metod rządzenia: odcinano internet i linie telefoniczne, dochodziło do masowych aresztowań. Ludzie miesiącami siedzieli w aresztach, nie usłyszawszy zarzutów.

Czy Abiy, znający narzędzia cyberpropagandy, nie tylko kreował swój wizerunek, ale kontrolował też fale nienawiści rozlewające się w etiopskim internecie, o których dziś wiadomo, że to główne paliwo napędzające tu konflikty etniczne? Czy i w jaki sposób w tym uczestniczył?

Na pewno dolewał oliwy do ognia, gdy np. podczas transmitowanych przez rządowe media wieców mówił o rozprawieniu się z „hienami", co wielu odczytywało jako aluzję do Tigrajczyków. Czy znalazł kozła ofiarnego i chciał wokół wspólnego wroga jednoczyć kraj, ale przeszarżował? A może atak na Tigraj miał przykryć całkiem inny problem?

Oromo to największy i chyba od zawsze najbardziej dyskryminowany lud Etiopii. Gdy w 2020 r. doszło do zabójstwa znanego piosenkarza Hachalu Hundessy, w Oromii wybuchły potężne antyrządowe protesty. Od kul policji zginęło ponad 200 osób. Zaraz potem wielu oromskich przywódców politycznych trafiło do aresztów (pod zarzutem podżegania do przemocy) i większość siedzi tam do dziś.

„Po tym wszystkim sondaże poparcia dla premiera zaczęły spadać, a jednocześnie pojawił się plan przełożenia wyborów z powodu pandemii" – mówi etiopski analityk Adem K. Abebe. I dodaje: „To wtedy wielu Oromów, którzy wcześniej premiera popierali albo byli wobec niego neutralni, odwróciło się od niego".

Oromów nie da się potraktować tak jak Tigrajczyków. Więzienie Maekelawi i wszystkie inne centra „odosobnienia" nie zdołałyby ich pomieścić. Jest ich 35 mln – bez nich, bez ich regionu, Etiopia przestanie istnieć.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Lekcje czytania

Zapraszamy na warsztaty poświęcone powieści **„Maskarada geniuszy" FRITZA VON HERZMANOVSKY'EGO-ORLANDO**, które poprowadzi poetka i literaturoznawczyni Monika Gromala.

Warsztaty zaprezentowane zostaną **online** w **środę 15 grudnia o godz. 12.00** na profilu **FB/LekcjeCzytania**.

Współorganizatorem wydarzenia jest Austriackie Forum Kultury w Warszawie.

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
austriackie forum kultury waw
fanpay
/LekcjeCzytania

MARCIN WICHA DLA „TP"

EDUARDO SOTERAS / AFP

Abiy Ahmed Ali, nagrodzony Pokojową Nagrodą Nobla premier Etiopii, przyczynia się dziś do zaognienia konfliktu. Addis Abeba, 27 listopada 2021 r.

Gdy w Oromii zaczęła się formować antyrządowa partyzantka – Armia Wyzwolenia Oromo – natychmiast zaczęły zbroić się także bojówki amharskie, gotowe wspierać rząd.

„Amharowie czuli się zagrożeni także przez tigrajskich rebeliantów, przed którymi, jak twierdzili, muszą bronić domów, choć wtedy jeszcze żadnych oddziałów rebelianckich nie było w ich okolicy" – mówi Achamyeleh Tamiru, etiopski ekonomista i komentator.

Gdy wojska Tigrajczyków, zmierzające ku Addis Abebie, rzeczywiście weszły do regionów zamieszkanych przez Amharów, Abiy wezwał ich, by dołączyli do walki przeciw rebeliantom.

Z najnowszych informacji podawanych przez partyzantów wynika, że zajmują tereny położone ok. 160 km od Addis Abeby i właśnie tam biegnie teraz linia frontu. Na początku listopada wszystkim mieszkańcom stolicy, którzy posiadają broń, nakazano zgłoszenie tego faktu w ciągu trzech dni na najbliższym komisariacie. Czwartego dnia władze zapowiedziały, że każdy, kto to zrobił i jest w wieku poborowym, może zostać wezwany do obrony miasta.

W odwecie za odwet

Z niedawnego raportu Biura Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka wynika, że wszystkie strony tego konfliktu dopuściły się zbrodni.

Np. udokumentowano, że żołnierze armii federalnej wywlekli z domów w trzech wioskach w południowym Tigraju 70 mężczyzn i ich pomordowali, za co w odwecie siły tigrajskie zabiły ok. 200 amharskich cywili. Przez co z kolei Amharczycy w odwecie zaczęli zabijać Tigrajczyków mieszkających w ich regionie. Autorzy raportu ONZ podkreślili, że takich przypadków jest znacznie więcej.

Etiopski rząd centralny podaje, że liczba przesiedlonych Amharów sięgnęła miliona, a ponad milion pilnie potrzebuje pomocy żywnościowej. Światowy Program Żywnościowy potwierdził, że tysiące Amharów rzeczywiście pilnie potrzebują wsparcia, ale nie ma żadnych dowodów np. na klęskę głodu w dystrykcie North Wollo, który rząd wskazuje jako najbardziej poszkodowany.

Jednocześnie na profilach prorządowych mediów społecznościowych rozsiewane są fake newsy, które ilustrują zdjęcia pokazujące – jak ustalono – klęskę głodu w Mogadiszu sprzed 30 lat. Albo – głód w Tigraju.

Nigdy, przenigdy więcej

Wskazówki zatrzymały się na godzinie 1.38.

Zegarek wywieszony jest w zakurzonej gablocie, gdzie leżą kości mężczyzny około trzydziestki i kilkudziesięciu innych ofiar komunistycznej dyktatury, która rządziła Etiopią przez ćwierć wieku: od momentu obalenia cesarza Hajle Syllasje aż do 1991 r., gdy z kolei została obalona przez koalicję partyzantów (Tigrajów, Oromów i Erytrejczyków). Rządy komunistów kosztowały życie co najmniej miliona zmarłych z głodu i kolejnych stu tysięcy pomordowanych w aresztach. Przed Muzeum Pamięci Ofiar Czerwonego Terroru w Addis Abebie stoi pomnik (sam w sobie dość brzydki) przedstawiający trzy kobiety. Napis głosi: „Nigdy, przenigdy więcej".

„Do ludobójstwa dochodzi, gdy znaki ostrzegawcze nie są brane pod uwagę, a świat odwraca wzrok, nie chcąc uwierzyć, że może dojść do masowych zabójstw na tle etnicznym" – pisali niedawno na łamach brytyjskiego dziennika „Guardian" Helen Clark (była szefowa Programu ONZ ds. Rozwoju, UNDP), ks. Michael Lapsley (prezes Healing of Memories Global Network) i David Alton, aktywista na rzecz przeciwdziałania ludobójstwu.

Tigrajczycy określani są dziś jako „rak", „chwasty", „szczury" i „terroryści". Są odczłowieczani. „Jedenastki". Rząd mobilizuje przeciw nim grupy paramilitarne, zbroi je i gwarantuje bezkarność. Krytykę wobec takiej strategii ucisza, a we wciąż powiększającej się strefie konfliktu ludzie, którzy próbują trzymać się jak najdalej od tego szaleństwa, oskarżani są o sprzyjanie rebelii. Jednocześnie trwają masowe aresztowania.

■■■

To wszystko są scenariusze znane choćby z Bośni czy Rwandy. Gdy tam doszło do okrucieństw, świat bił się w piersi, wołał *mea culpa* i obiecywał, że „nigdy więcej".

Clark, Lapsley i Alton piszą: „W ONZ, Unii Afrykańskiej, międzynarodowych komisjach eksperckich i pod przywództwem potężnych państw zadrukowano ryzy papieru, poświęcając je analizom przeszłości, zobowiązaniom do przestrzegania znaków ostrzegawczych przed ludobójstwem i zapobiegania mu. Wszystkie te raporty podkreślały, że ludobójstwu można zapobiec, jeśli istnieje wola polityczna, by działać w odpowiedzi na ostrzeżenia".

Wzruszenie ramion? Już to widzieliśmy? To wojnie trwać nie przeszkadza.

© AGATA KAŹMIERSKA

ILYA PITALEV / AFP

Protest przed moskiewskim sądem rejonowym, który tego dnia debatował nad zamknięciem Centrum Praw Człowieka Memoriału. Moskwa, 29 listopada 2021 r.

Duszone sumienie Rosji

ANNA ŁABUSZEWSKA

Po wyzerowaniu kadencji prezydenckich Putina kolejną operacją polityczną Kremla jest wyzerowanie pamięci.

Rosja to oblężona twierdza, zagrożona od zewnątrz i od wewnątrz, przez agentów zagranicznych i wrogów ludu – to przesłanie Putina do obywateli. Władze, które od dawna toczą kampanię przeciw środowisku Aleksieja Nawalnego, teraz zaczęły operację niszczenia Stowarzyszenia Memoriał, zasłużonego dla przywracania pamięci o zbrodniach totalitaryzmu. Działania Memoriału stoją w sprzeczności z lansowaną przez Kreml wersją historii – wysterylizowaną i gloryfikującą dzieje Związku Sowieckiego, w tym Stalina.

W listopadzie Prokuratura Generalna zwróciła się do Sądu Najwyższego z wnioskiem o likwidację Międzynarodowego Stowarzyszenia Memoriał. Odbyła się pierwsza rozprawa. Równolegle w sądzie rejonowym rozpatrywana jest sprawa zamknięcia Centrum Praw Człowieka Memoriału. Kolejne rozprawy wyznaczono na połowę grudnia.

Z mroków niepamięci

Memoriał zarejestrowano w 1992 r., ale grupy badaczy historii i obywatelskich aktywistów działały już od 1987 r. Dzięki ówczesnej „odwilży" zrobiło się trochę miejsca na oddolne inicjatywy przełamujące sowieckie tabu, w tym na dyskusje o zbrodniach reżimu, dotąd zasłoniętych całunem niepamięci.

Jak wspominała dyrektorka wykonawcza Memoriału Jelena Żemkowa, podczas jednego ze spotkań w klubie dyskusyjnym Pierestrojka zawiązała się grupa inicjatywna, potem przekształcona w stowarzyszenie. Zaczęto od zbiórki na pomnik ofiar totalitaryzmu. Milicja zatrzymywała aktywistów zbierających pieniądze w centrum Moskwy, ale akcja postępowała, a grupa inicjatywna nabierała rozpędu. Po kilku miesiącach skorygowano plan: uznano, że potrzebny jest nie tylko pomnik, ale też archiwum, biblioteka i muzeum.

W czerwcu 1988 r. przy stadionie Dynamo, na wiecu upamiętniającym ofiary represji, do zebranych przemawiał laureat pokojowego Nobla Andriej Sacharow – najbardziej znany na świecie sowiecki dysydent. W Związku Sowieckim zaczęły powstawać terenowe oddziały nowej organizacji. 30 października 1990 r. pod siedzibą KGB na Łubiance stanął Kamień Sołowiecki, ku pamięci ofiar stalinowskiego terroru. Od 2007 r. rokrocznie odbywa się tu akcja „Przywracanie imion", podczas której odczytuje się nazwiska zamordowanych.

Memoriał prowadzi nie tylko działalność edukacyjną, ale jest też instytucją naukową, dokumentującą zbrodnie. Stale uzupełniana jest baza danych o represjonowanych ze względów politycznych – dziś liczy 3 mln nazwisk (badacze Memoriału szacują, że ofiarami represji było 12 mln ludzi). Na podstawie tych danych, w ramach inicjatywy „Ostatni adres", w dawnych miejscach zamieszkania ofiar umieszczane są tabliczki z informacjami o nich. Zbierane są wspomnienia więźniów Gułagu, a projekt „Topografia terroru" pracuje nad mapą miejsc związanych ze zbrodniami (areszty, miejsca egzekucji, miejsca pochówków).

Połączyć wczoraj i dziś

Pierwszym szefem Memoriału był Sacharow. Nieformalnym, bo stowarzyszenie nie było jeszcze zarejestrowane – władze przeciągały procedurę. Dopiero na pogrzebie Sacharowa wdowa po nim, Jelena Bonner, poprosiła prezydenta Gorbaczowa o zielone światło dla rejestracji. Zadziałało. Obok Sacharowa inicjatorami stowarzyszenia byli m.in. Lew Ponomariow, Jurij Samodurow, Swietłana Gannuszkina.

Od 1998 r. aż do śmierci w 2017 r. przewodniczącym był historyk Arsenij Roginski. Mózg Memoriału i autor koncepcji jego działania, dzieje sowieckiego terroru zaczął badać jeszcze przed pierestrojką. Trafił na cztery lata do łagru. „Na wiele lat przed powstaniem Memoriału zaczął walkę o prawdę historyczną i prawa człowieka, za co został ukarany" – czytamy na stronie stowarzyszenia. Roginski wspominał, że te lata były dlań najcięższe, ale też najbardziej pożyteczne: pozwoliły mu zrozumieć, czym jest życie. Znajomy Roginskiego, Gleb Pawłowski, mówił, że chciał on, aby ludzie mający do czynienia z historią starannie myli ręce. Trudne zadanie.

Historycy Memoriału – głównie Aleksandr Gurjanow (szef sekcji polskiej stowarzyszenia) i Nikita Pietrow – położyli wielkie zasługi w badaniu historii represji wobec Polaków, w tym zbrodni katyńskiej.

Od 2018 r. przewodniczącym jest Jan Raczyński. Prowadzi kampanię na rzecz odtajnienia i udostępnienia archiwów, które w Rosji Putina są „szeroko zamknięte".

Ale Memoriał to nie tylko badanie przeszłości, lecz także mierzenie pulsu te-

raźniejszości. Obrońcy praw człowieka, jak Oleg Orłow i Swietłana Gannuszkina, od początku istnienia stowarzyszenia prowadzą rejestr represjonowanych „za politykę". Istniejące od 1991 r. Centrum Praw Człowieka Memoriału monitoruje sytuację więźniów sumienia i łamanie praw człowieka podczas konfliktów zbrojnych (m.in. wojen czeczeńskich, konfliktów na obszarze postsowieckim) i bada położenie migrantów. Uczestniczy też w procesach przed Trybunałem Praw Człowieka z powództwa obywateli Rosji, np. w sprawie zamordowanej członkini Memoriału i dziennikarki „Nowoj Gaziety" Natalii Estemirowej czy wyjaśnianiu okoliczności śmierci ludzi podczas szturmu na szkołę w Biesłanie w 2004 r.

Na celowniku władz

Przez ponad 30 lat Memoriał badał sprawy coraz bardziej przez Kreml spychane na margines, niewygodne. Władze systematycznie zamykały okna możliwości dyskursu o węzłowych wydarzeniach historycznych, pisząc własną ich wersję, opartą na heroizacji Stalina i Armii Czerwonej, która pokonała (sama, szlachetnie i bez zbrodni) faszyzm itd., itp.

Po dekadzie swobodnej działalności w latach 90., Memoriał był przez władze coraz bardziej marginalizowany. Kreml przejmował niektóre akcje i hasła stowarzyszenia, np. w 2017 r. Putin odsłonił pomnik ofiar represji w Moskwie, założono też Państwowe Muzeum Gułagu. Miało to pokazać, że państwo dba o pamięć i nie potrzebuje wsparcia od organizacji obywatelskiej. Jak mówi Aleksandr Czerkasow, przewodniczący Centrum Obrony Praw Człowieka Memoriału: „Putin demonstruje inne podejście do historii [niż Memoriał] – chce wyłączyć z tematu represji udział państwa, jego zdaniem państwo nie ponosi za to winy".

Teraz, gdy sprawa Memoriału trafiła w żarna machiny sądowniczej, odzywają się głosy, że Kreml może nie tyle zlikwidować organizację, co ją rozmontować i przejąć nad nią kuratelę, pozbywając się niewygodnych ludzi i na koniec zostawiając stary szyld nad podporządkowaną wydmuszką.

Protesty i apele

We wniosku do Sądu Najwyższego prokuratura twierdzi, że stowarzyszenie narusza przepisy zobowiązujące „agentów zagranicznych" do umieszczania informacji o tym statusie na wszystkich publikacjach. Memoriał wpisano na listę „agentów" kilka lat temu. Protestował przeciw temu (wskazując, że decyzja nie ma podstaw prawnych), ale stosował się do wymogów i płacił zasądzane grzywny (łącznie o równowartości 75 tys. euro). Prokuratura uważa, że skoro Memoriał umieszcza na swej liście prześladowanych za poglądy polityczne członków organizacji, którym przyczepiono łatkę ekstremistycznych (jak Fundacja Walki z Korupcją Nawalnego) czy terrorystycznych (Tatarzy nieuznający aneksji Krymu, organizacja Hizb ut-Tahrir), to znaczy, że wspiera ekstremizm i terroryzm.

Memoriał uważa, że ustawa o „agentach zagranicznych" od początku jest wykorzystywana jako narzędzie do zwalczania niezależnych organizacji, i wielokrotnie wzywał, by została zniesiona. Bez skutku.

Z wyrazami poparcia dla Memoriału i apelami do Kremla o odstąpienie od jego prześladowania wystąpiła Rada Europy, wielu światowych polityków, organizacje obrony praw człowieka, aktywiści społeczni, naukowcy, artyści. W zmrożonej represjami Rosji odbyło się kilka pikiet przeciw prześladowaniu Memoriału. Policja zatrzymywała protestujących, choć indywidualne pikiety są dozwoloną formą demonstracji.

Przymiarka do likwidacji stowarzyszenia stała się w rosyjskim segmencie mediów społecznościowych jednym z najczęściej komentowanych tematów. Z poparciem dla Memoriału wystąpili nobliści, eksprezydent Gorbaczow i naczelny opozycyjnej „Nowoj Gaziety" Dmitrij Muratow. Pod listem otwartym do władz Rosji podpisały się setki ludzi kultury z Rosji i zagranicy. Zbierane są podpisy pod petycją „Ręce precz od Memoriału!" (do tej pory 150 tys. podpisów). Pisarka Ludmiła Pietruszewska na znak protestu zrzekła się tytułu laureatki Nagrody Państwowej.

Dwa społeczeństwa

„Memoriał jest sumieniem naszego społeczeństwa. A właściwie wyrzutami sumienia, które będą zawsze przeszkadzać w hurapatriotycznym nadymaniu policzków. Memoriał zdaje się mówić: nie zapominajmy, cośmy narobili. To *mane, tekel, fares* napisane na ścianie pałacu. Memoriał nie pozwala obecnemu władcy upajać się własną wielkością. Dlatego władca tupie nóżkami i woła: »Zniszczyć pamięć! Zakazać wyrzutów sumienia!«" – pisze niezależny dziennikarz Andriej Łoszak. Sumienie trzeba więc zadusić, refleksję nad trudnymi momentami historii wyciszyć, skoro to tak denerwuje Putina.

Komentatorzy wskazują na jeszcze jeden ważny aspekt rozgrywki z Memoriałem. Władze wielokrotnie podkreślały, że czują się spadkobiercami słynnych organów bezpieczeństwa z czasów sowieckich – od Czeki począwszy, przez NKWD, a na KGB skończywszy. Federalna Służba Bezpieczeństwa z dumą obchodziła niedawno stulecie Czeki, Putin przyznał z tego tytułu nagrody i odznaczenia. To nie tylko ukłon w stronę „swoich", to także gwarancja władz, że wszyscy mogą czuć się bezpiecznie. Nie tylko obecne pokolenie „czekistów", ale też ich poprzednie generacje. Archiwa są zamknięte m.in. z tego powodu, że państwo chroni przed ujawnieniem nazwiska oprawców.

„Memoriał jest dla władz i potomków tych, którzy wsadzali ludzi do łagrów, ideologicznym wrogiem numer jeden. Zlikwidowanie tej organizacji to dla nich sprawa honorowa: obrona czci munduru" – konstatuje Łoszak.

Dla społeczeństwa obywatelskiego, świadomego i odpowiedzialnego, likwidacja Memoriału to sprawa bolesna, sygnał trwogi. A reszta? Spadkobiercy Czeki przyjmą to z ulgą i radością. Pozostali, wyćwiczeni w sztuce mimikry – zapewne bez emocji. O ile dane im będzie w ogóle się o tym dowiedzieć.

■■■

Likwidacja Memoriału, odcięcie dostępu do archiwów, zamknięcie ust historykom będą oznaczać monopol władz na opowiadanie o historii. Odstępstwa od wyznaczonej linii będą karane.

Uniemożliwienie pracy Memoriałowi wpisuje się w prowadzoną od lat politykę przemilczania tych wydarzeń z historii, które nie pasują Putinowi do tworzonych mitów o rosyjskim/sowieckim mesjanizmie czy szlachetności przywódców, niosących światu pokój. Duma co jakiś czas przyjmuje kolejne ustawy przewidujące penalizację publikowania treści niezgodnych z zatwierdzoną wersją jedynie słusznej historii.

Zniszczenie Memoriału będzie oznaczać zamordowanie pamięci. ©

Covidowe paszporty niezgody

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Szwajcaria to jedyny kraj na świecie, w którym obywatele głosują w sprawie państwowych obostrzeń związanych z pandemią. Sprzeciw wybrzmiewa donośnie jak alpejski dzwon.

Ósmy listopada. Do ogólnokrajowego referendum w sprawie tzw. ustawy covidowej pozostały niespełna trzy tygodnie.

Szwajcaria ma problem: odsetek osób zaszczepionych należy tu do najniższych wśród krajów Europy Zachodniej: tego dnia, 8 listopada, w pełni zaszczepione jest tylko 64,8 proc. populacji. Rząd przystępuje do ofensywy i ogłasza Narodowy Tydzień Szczepień. Ma być drogo i z rozmachem. Cel: zmobilizować opieszałych i przekonać wakcynacyjnych sceptyków.

Tymczasem liczba nowych zachorowań i hospitalizacji znowu zaczyna rosnąć.

Pączek za zastrzyk

W przestronnej hali Dworca Głównego w Zurychu, największego dworca kolejowego w Szwajcarii, w dwa dni wyrasta *Impfdorf*, „wioska szczepień".

W środku atmosfera bardziej przypomina świąteczny jarmark niż sterylne laboratorium. Nagrodą za podbicie szczepiennych statystyk jest gorąca kawa i pączek z marmoladą, a na większy głód – tradycyjne danie z serem raclette. Jednak listopadowy chłód sprawia, że chętni do szczepień ustawiają się w kolejce dość niemrawo. Tłumów nie ma.

W niewielkiej odległości od „wioski", z poziomu kawiarnianego stolika, ludziom zbierającym się na zuryskim dworcu przygląda się mężczyzna w kapeluszu. „Nie sypiam z zaszczepionymi" – napis na nakryciu głowy mężczyzny przyciąga wzrok. Właściciel kapelusza grzeje się pod jednym z koców zostawionych na oparciu krzeseł przez gościnnych restauratorów.

Aura coraz mniej sprzyja niezaszczepionym. Mimo to tylko nieliczni sięgnęli po wyciągniętą przez państwo rękę ze strzykawką i darmowym poczęstunkiem. Przez trzy dni z usług dworcowego punktu szczepień skorzystało niespełna 800 osób. Budżet kampanii w skali całego kraju wyniósł 100 mln franków.

W poniedziałek 29 listopada w pełni zaszczepione było 65,9 proc. szwajcarskiej populacji.

Narciarzy chętnie witamy

Właściwie przez cały czas trwania pandemii Szwajcaria jawiła się jako „wyspa wolności" na mapie Europy. Potwierdza to Oxford Stringency Index – wskaźnik mierzący poziom restrykcyjności państw, jeśli chodzi o obostrzenia mające powstrzymać rozprzestrzenianie się koronawirusa (jak zakaz podróżowania czy zamknięcie szkół).

Szwajcaria późno wprowadziła choćby powszechny obowiązek noszenia maseczek, a dużą decyzyjność, jeśli chodzi o konkretne regulacje, miały poszczególne kantony, tworzące szwajcarską federację.

Kiedy więc ubiegłej zimy Austriacy i Włosi zamknęli granice dla turystów, hotele w szwajcarskich kurortach wciąż przyjmowały z otwartymi ramionami narciarzy (i ich portfele).

Rząd przez długi czas stawiał na indywidualną odpowiedzialność – każdy miał odpowiadać za siebie. Gdy pojawiła się powszechnie dostępna szczepionka, politycy zapewniali obywateli, że nie ma mowy o przymusie jej przyjmowania. A w Szwajcarii obywatele zazwyczaj ufają politykom.

Referendum w czas pandemii

Po tegorocznym lecie, zimnym i mokrym, w państwowej retoryce nastąpił jednak zwrot. W połowie września w całym kraju wprowadzono obowiązek tzw. certyfikatów covidowych. Odtąd do restauracji, kina, teatru czy klubu mogą wejść wyłącznie osoby legitymujące się paszportami, wydawanymi zgodnie z zasadą 3G. Prze-

FABRICE COFFRINI / AFP

Protesty przeciw restrykcjom wspierają „wolnościowi trychlerzy": grupa odwołująca się do ludowych tradycji i szwajcarskich mitów założycielskich, której symbolem jest krowi dzwon. Na zdjęciu: trychlerzy przed parlamentem w Bernie, 23 października 2021 r.

pustka do normalności należy się więc osobom zaszczepionym (niem. *geimpft*), ozdrowieńcom (*genesen*) oraz osobom z negatywnym wynikiem testu na covid (*getestet*). Przy czym od października za testy trzeba płacić z własnej kieszeni. Jednorazowy koszt to minimum 20 franków (równowartość ok. 90 złotych).

Dopóki jesień rozpieszczała łagodnymi temperaturami, zahartowanym Szwajcarom nie przeszkadzało spędzanie czasu w restauracyjnych ogródkach. Ale im zimniej stawało się na zewnątrz, tym silniej rósł społeczny opór przeciwko paszportom covidowym.

Podstawą prawną do ich wprowadzenia była nowelizacja tzw. ustawy covidowej, która reguluje również zasady finansowego wsparcia państwa dla różnych obszarów gospodarki czy działania tzw. systemu *contact tracing* (monitorowania kontaktów zakażonych). Ustawy, która od początku budziła w kraju kontrowersje.

W efekcie Szwajcarzy, chętnie korzystający z narzędzi demokracji bezpośredniej, nawet w kryzysie epidemicznym nie dali sobie odebrać prawa do samostanowienia. Referendum, które rozpisano na niedzielę 28 listopada, miało być już drugim takim głosowaniem z inicjatywy przeciwników wprowadzonych przepisów. Poprzednio, w czerwcu, ustawę covidową poparło ponad 60 proc. głosujących.

Ale przegłosowana mniejszość nie dała za wygraną.

Ciężka próba dla kultury konsensu

W okresie poprzedzającym listopadowe referendum Szwajcarzy zaczęli coraz chętniej wychodzić na ulice, protestując przeciw – jak mówili – przymusowi szczepień wprowadzanemu tylnymi drzwiami.

Choć rok 2021 jeszcze się nie skończył, to już wiadomo, że będzie on rekordowy, jeśli chodzi o liczbę organizowanych w całym kraju demonstracji. Na marszach, także tych bez pozwolenia, gromadziły się tysiące ludzi. Policjanci w pancernych wozach, pełnym rynsztunku i z ostrą bronią – to w spokojnym i stabilnym politycznie kraju dotychczas nie był codzienny widok. Podobnie jak politycy przemieszczający się w towarzystwie ochroniarzy.

Ale sytuacja daleko odbiegła od codzienności. Szczepienna opieszałość Szwajcarów szła w parze ze zorganizowanym sprzeciwem wobec covidowej polityki rządu. To ciężka próba dla tradycyjnej helweckiej kultury konsensusu.

– W naszym kraju, w którym współdecyduje się właściwie o wszystkim – w odróżnieniu od innych liberalnych demokracji, gdzie ustawy są po prostu serwowane – obywatele są wyjątkowo wyczuleni na ograniczanie swobód w imię społecznej solidarności. Pytają: gdzie jest granica między solidarnością a wolnością? A ponieważ tej jasno wyznaczyć się nie da, wokół tematu toczą się społeczne dyskusje – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Katja Rost, profesorka nauk społecznych Uniwersytetu w Zurychu.

Krytyka covidowych certyfikatów zdaje się płynąć w poprzek tradycyjnych w Szwajcarii linii społecznych podziałów. – Mówimy o znacznej części społeczeństwa, a nie o kilku prawicowych outsiderach. Szczepienia i ustawa covidowa są tylko symbolami tych protestów, w których chodzi o znacznie większe rzeczy. Ludzie mają za złe elitom, że podejmują decyzje bez odpowiedniej komunikacji i patrzenia szerzej na społeczeństwo. Czują się, jakby dostali po głowie. Teraz biorą odwet – uważa Katja Rost.

Kampania sprzeciwu

Do dyskusji włącza się młodzież, akademicy, lewicowi politycy i ludzie kultury. W kantonie Bazylea-Okręg zawiązuje się ponadpartyjny komitet przeciwny rozszerzeniu ustawy covidowej. Choć inicjatorzy wywodzą się z przeróżnych środowisk, łączy ich przekonanie, że covidowe paszporty dzielą Szwajcarów, a rząd, wykorzystując pandemię, zyskuje coraz większą kontrolę nad obywatelami.

„Certyfikat nie jest rozwiązaniem tego kryzysu, ponieważ daje wolność tylko części społeczeństwa. W dodatku jest to wolność iluzoryczna, bo obwarowana konkretnymi wymogami i warunkami" – przekonuje w telewizji Telebasel Laura Grazioli, wiceprezydentka lokalnych struktur Partii Zielonych. To „zielony" głos, który idzie pod prąd: Partia Zielonych rekomenduje, aby w referendum poprzeć ustawę covidową.

W kampanię przeciwko certyfikatom i zasadzie 3G angażuje się także Sibylle Berg, znana pisarka, w 2019 r. wyróżniona Szwajcarską Nagrodą Literacką za powieść „GRM. Brainfuck". Berg, która w październiku 2021 r. znalazła się na pierwszym miejscu rankingu „50 najważniejszych intelektualistów w Szwajcarii", porównuje działania państwa do orwellowskiej antyutopii.

„Ten rodzaj poświadczenia na temat stanu zdrowia może być podstawą do stworzenia infrastruktury dla totalnej inwigilacji. Moim zdaniem to może być pierwszy krok do dystopii" – mówi Berg w wywiadzie dla największego szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung".

Miarka się przebrała

W ostatnich miesiącach z zakamarków społecznego teatru zaczynają wyłaniać się i wstępować na estradę kolejni aktorzy antyrządowego spektaklu obywatelskiego. „Bojownicy o wolność" – jak sami siebie nazywają.

Jedną z najbardziej radykalnych twarzy tego ruchu oporu przeciw polityce ↦

↦ rządu jest Nicolas A. Rimoldi: 26-latek z Lucerny do niedawna działał w młodzieżówce Radykalno-Demokratycznej Partii Szwajcarii (FDP). Kiedy partia poparła covidowe obostrzenia, znalazł sobie nową scenę i stanął na czele stowarzyszenia Mass-Voll (skrót z niem.: *Das Mass ist voll* – Miarka się przebrała).

„Kto popiera certyfikat covidowy, opowiada się za faszyzmem" – Rimoldi nie przebiera w słowach. Jego zwolennicy (na Instagramie stowarzyszenie ma ponad 16 tys. obserwujących) w internetowych komunikatorach grożą samosądem na politykach i dziennikarzach. Sam Rimoldi w swoich wypowiedziach nawiązuje do ruchu QAnon (popularnych w USA środowisk szerzących globalne teorie spiskowe), a politykę szwajcarskiego rządu porównuje do działań narodowych socjalistów. Mass-Voll bierze udział w antyrządowych demonstracjach i popiera wszelkie akty sprzeciwu wobec pandemicznych obostrzeń.

Z historią w tle

Najgłośniejszy z nich ma miejsce w alpejskim kurorcie Zermatt, nad którym wznosi się symbol Szwajcarii – góra Matterhorn. Właściciel jednej z restauracji postanawia ignorować przepisy i ogłosza swój lokal „fioletową strefą" (kolor ten jest symbolem ruchów „wolnościowych"), z wstępem dla wszystkich gości, także tych bez certyfikatów. Policja nakazuje zamknąć lokal, restaurator i tak go otwiera. W końcu przed restauracją stają betonowe bloki, a buntownik ląduje w areszcie i obwołuje się więźniem politycznym. Rimoldi i jego zwolennicy natychmiast pojawiają się na miejscu.

Za restauratorem murem stają inni aktorzy antyrządowych występów. Także ci sięgający do samych korzeni Helweckiej Federacji.

Uginający się nie tylko pod ciężarem słowa „wolność", ale i pod dzierżonymi na barkach 10-kilogramowymi dzwonami, tzw. wolnościowi trychlerzy (*Freiheitstrychler*) to grupa odwołująca się do ludowych tradycji i szwajcarskich mitów założycielskich. Czują się spadkobiercami helweckiego bohatera narodowego Wilhelma Tella. Tak jak on, według średniowiecznej legendy, nie ukłonił się przed kapeluszem habsburskiego zarządcy, tak i oni nie zamierzają ugiąć się przed „dyktatorami" w postaci ministra zdrowia i grona jego doradców.

Na symbol swojego ruchu wybrali krowi dzwon (ten zawieszany kiedyś na szyi zwierzęcia, aby łatwiej było je znaleźć na hali) i alpejską szarotkę. A sprzeciw wobec polityki rządu manifestują widowiskowo, w nocnych marszach z pochodniami w całym kraju. Choć podkreślają swoją ponadpartyjność, nie przeszkadza im to flirtować z populistyczną Szwajcarską Partią Ludową (SVP). Ugrupowaniem, które jako najsilniejsze w parlamencie ma dwóch przedstawicieli w rządzie, przeciwko decyzjom którego trychlerzy przecież z zapałem protestują.

38 procent

Na tydzień przed listopadowym referendum plakaty nawołujące do odrzucenia ustawy covidowej są wszędzie, a ulotki wylewają się ze skrzynek pocztowych (większość Szwajcarów głosuje korespondencyjnie). To w kraju temat numer jeden, niemal całkowicie zdominowany przez obóz będący na „nie". Potem pojawią się szacunki, że kampania przeciwników ustawy kosztowała dziewięć razy więcej niż działania jej zwolenników.

W referendalną niedzielę w Zurychu do urn ustawiają się kolejki. Przed urzędem miasta widać głównie młodych ludzi.

Frekwencja okazuje się czwartą najwyższą w historii szwajcarskiej demokracji bezpośredniej (czyli od 1971 r., tj. od kiedy na poziomie federalnym głosują też kobiety). Większość obywateli – dokładnie 62 proc. – popiera ustawę covidową, dając tym samym, po raz drugi, wyraz zaufania wobec rządu. „Przegrani muszą zaakceptować wyniki referendum. Na złość, nienawiść i groźby nie ma w Szwajcarii miejsca" – komentuje wynik minister zdrowia Alain Berset.

Na reakcję przegranych nie trzeba długo czekać. Mass-Voll informuje, że nie uznaje wyniku referendum za wiążący. Trychlerzy gratulują Nicolasowi Rimoldiemu, że zmobilizował młodzież: w grupie wiekowej poniżej 35 lat aż 56 proc. odrzuciło ustawę covidową.

W demokracji bezpośredniej zdanie większości powinno kończyć dyskusję, ale 1,3 mln Szwajcarek i Szwajcarów (38 proc. głosujących na „nie") to mniejszość, którą trudno zignorować. – Mamy jasno udokumentowaną wolę obywateli. Czy przez to rozłam w społeczeństwie jest mniejszy? Nie. Głosy sprzeciwu wciąż istnieją. Pandemia trwa i wchodzi w kolejne fazy, a wraz z nią także potrzeba dyskusji – uważa Katja Rost. – Temat, który prawie od dwóch lat dominuje naszą codzienność, głęboko wniknął w substancję społeczną. Ludzie czują się nim coraz bardziej zmęczeni i istnieje prawdopodobieństwo, że grono przeciwników obostrzeń raczej będzie rosło, niż malało.

Dzwony nie zamilkną

Jaka może być recepta na ten społeczny rozłam? – Pandemia musiałaby się skończyć, ale przede wszystkim w naszych głowach. Gdyby udało się jasno zakomunikować, że to nie jest przejściowy kryzys, lecz stan permanentny, w którym musimy żyć, być może powoli zwrócilibyśmy się w kierunku innych tematów. Dwa spolaryzowane obozy z czasem by się rozeszły – mówi „Tygodnikowi" Katja Rost.

Tylko że w sytuacji, gdy Europa pogrążona jest w czwartej fali wywołanej przez wariant Delta, a na kontynencie pojawiły się już przypadki nowego wariantu Omikron, raczej trudno będzie o inne tematy. Pandemiczne zmęczenie jednych osłabia, dla innych zaś jest szansą, aby zaistnieć. Dzwony trychlerów nie milkną.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 372/20) z wniosku Małgorzaty Szczepanek o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia własności nieruchomości stanowiącej działkę gruntu oznaczoną nr. ewidencyjnym 401, o powierzchni 0,0441 ha, położoną w mieście Chełm, obręb ewidencyjny nr 20 (066201_1.0020), dla której Sąd Rejonowy w Chełmie VI Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr KW LU1C/00006281/7, znajdującej się w posiadaniu Małgorzaty Szczepanek.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

BILDAGENTUR-ONLINE / GETTY IMAGES

Przejście graniczne na ulicy Ledra w Nikozji. Cypr, grudzień 2018 r.

Cypryjski mur

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
Z NIKOZJI (CYPR)

Przecina wyspę na dwoje, dzieli miasta i ludzi. Przyciąga za to turystów.

To jedyne takie miasto w Europie. Trwa pandemia i do północnej części Nikozji – i w ogóle do północnej części Cypru, od niemal pół wieku będącej nieuznawanym państwem – można dostać się tylko na podstawie testu, nie wystarczy dowód szczepienia. Większość ciekawskich zadowala się więc panoramą miasta, która rozciąga się z Shacolas Tower. Wieżowiec stoi przy głównym deptaku. Wjeżdżam na jedenaste piętro. Po drugiej stronie faktycznej granicy toczy się zwykłe życie, tylko ulice wydają się bardziej zaniedbane. Na tle góry rozpościera się gigantyczna turecka flaga.

Gdy pytam o Cypr Północny, właściciel kawiarni, która mieści się zaraz przy murze i nosi nazwę Berlin Wall, oburza się: – Nie ma czegoś takiego jak Cypr Północny, to teren okupowany! Oderwali nam kawałek ciała, a ty to nazywasz osobnym państwem?

Do kawiarni przychodzą turyści i miejscowi, aby popatrzeć na drugą stronę. Dziś jest pustawo. – Czasem zagląda tu starsza kobieta, która przyjeżdża do miasta na targ z okolicy – mówi właściciel kawiarni. – Pije kawę, ociera łzy, bierze siatki i wychodzi. Podobno urodziła się po tamtej stronie. Nie pytam, bo po co? Każdy tu za czymś tęskni.

Historia rodzinna

W kiosku przy przejściu granicznym można kupić pocztówki z Nikozją podzieloną murem. Gdy nie ma klientów, 64-letnia Irina Peliwanowa staje w drzwiach i patrzy na ulicę. Urodziła się w Gruzji, w Moskwie skończyła ekonomię. W 1994 r. rodzina wyemigrowała do Grecji, a gdy w 2008 r. wybuchł kryzys, przyjechali do Nikozji i tu urządzili się od nowa.

– U nas już tak jest, że co jakiś czas rzucamy wszystko w poszukiwaniu lepszego życia – mówi Irina. – Prababcia była dzieckiem, gdy w 1829 r. jej rodzice uciekli do Gruzji. Mieszkali niedaleko Karsu, w północno-wschodniej Turcji. Trwały prześladowania Greków. Turcy obcinali Grekom języki, wielu umarło w męczarniach...

Pierwsza połowa XIX w. to okres niespokojny w dziejach Greków rozsianych w basenie Morza Śródziemnego. W 1821 r. na terenie Grecji – wówczas wchodzącej w skład Imperium Osmańskiego – wybucha powstanie, które przekształca się w wojnę o wyzwolenie Grecji. Morderstwa cywilów zdarzają się po obu stronach, ale to działania armii tureckiej na Chios wstrząsają europejską opinią publiczną. Podczas rzezi wyspy w kwietniu 1822 r. ginie ponad 20 tys. mężczyzn, a kobiety zostają wzięte do niewoli.

Grozę tych wydarzeń próbuje oddać Eugène Delacroix w obrazie „Masakra na Chios". Ale jego płótno blednie wobec wieści, które krążą po Europie i zjednują ochotników gotowych wesprzeć Greków. Jest wśród nich George Byron: dla idei niepodległościowej Hellenów angielski poeta nie szczędzi pióra i pieniędzy, część majątku przeznacza na wyposażenie greckiej floty. Umiera na malarię w 1824 r. Do dziś jest bohaterem narodowym Greków, a jego zhellenizowane nazwisko Viron to popularne greckie imię. Również cypryjscy Grecy doświadczyli wówczas boleśnie tureckich represji. ↦

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Christos Christoforoy, którego rodzina pochodzi z północy Cypru, kilka lat temu pojechał ze swoją matką zobaczyć dawny dom, w którym dziś żyją Turcy.

Irina Peliwanowa czyta o tym w wolnych chwilach, bo zbiera materiały do opisania rodzinnej historii. Chce pozostawić wnukom świadectwo. Mówi, że nie chowa w sercu nienawiści do Turków. Chodzi na okupowaną stronę Nikozji po zakupy i do fryzjera. Ma tam ulubione kawiarnie i targ warzywny. Jest tanio i bezpiecznie. – U nas mężczyźni spotykają się w kafeteriach i politykują, że trzeba odebrać dawne ziemie, przegnać Turka, że dość tej hańby. A kobiety pozwalają im się wygadać, bo wiedzą, że to jedyny sposób na wylanie z serca żółci. Dosyć było już wojen i krwi między nami.

Irina nie wierzy, że za jej życia dojdzie do zjednoczenia Cypru. Temat ten od lat powraca w polityce międzynarodowej, ale nic się nie zmienia. Mur wciąż dzieli miasto.

Pół wieku temu

Aby wyjaśnić, skąd się wziął, trzeba sięgnąć do historii Cypru. Zwany Wyspą Afrodyty (bo tu bogini miała wyłonić się z piany morskiej), nosi on ślady różnych wpływów. Pozostały pamiątki po cesarstwie bizantyjskim i obecności Arabów, średniowieczne ruiny z czasów templariuszy (władali oni wyspą) i mury pamiętające Republikę Wenecką.

Ale kluczowy dla zrozumienia obecnej sytuacji okres zaczyna się w XIX w., gdy Cypr jest pod władzą Turków, a potem w 1878 r. na mocy umowy turecko-brytyjskiej przechodzi w ręce Anglików. Byli oni wtedy sojusznikami Turcji, która właśnie przegrała kilkuletnią wojnę z Rosją o dominację we wschodniej części Bałkanów – przejęcie kontroli nad wyspą miało umocnić pozycję Londynu (a wraz z tym sojuszu turecko-brytyjskiego) we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Greccy mieszkańcy wyspy, stanowiący większość, nie zaakceptowali tej zmiany i nadal buntowali się przeciw obcym – teraz brytyjskim – wpływom, także zbrojnie. W 1950 r. Makarios III, zwierzchnik cypryjskiego Kościoła prawosławnego, doprowadził do plebiscytu, w którym większość opowiedziała się za zjednoczeniem z Grecją. Brytyjczycy go nie uznali, co pchnęło cypryjskich Greków do powołania Narodowej Organizacji Cypryjskich Bojowników (EOKA). Nasilały się akty terroru, brytyjskie wojsko zwalczało partyzantkę. Wreszcie po rokowaniach z udziałem Wielkiej Brytanii, Turcji i Grecji w 1960 r. utworzono niepodległą Republikę Cypryjską, której pierwszym prezydentem został arcybiskup Makarios.

Młodemu państwu nie udało się utrzymać równowagi między zamieszkującymi je Grekami i Turkami. Już w 1963 r. wybuchła wojna domowa, a rok później ONZ wysłała siły pokojowe. Względny spokój trwał do 1974 r. 15 lipca tego roku EOKA, w porozumieniu z rządzącą w Atenach juntą wojskową, doprowadziła do przewrotu na Cyprze. Pięć dni później na północy wyspy wylądowały wojska tureckie, w imię ochrony ludności tureckiej. Walki trwały kilka dni, ogłoszono rozejm, ale Turcy nie wycofali się już z zajętych terenów, a w 1983 r. proklamowali Republikę Turecką Cypru Północnego. Nikt poza Turcją jej nie uznał.

Od 2004 r. Republika Cypru (tj. grecka część wyspy) należy do Unii Europejskiej.

Miasto duchów

Konflikt spowodował wtedy *exodus* ludności: kilkaset tysięcy Greków zamieszkujących tereny północne uciekło z domów, aby prędzej lub później trafić na greckie południe. Zwykle zostawiali za sobą dorobek życia. W drugą stronę, już po zakończeniu działań wojennych, emigrowali Turcy żyjący wcześniej na południu (ok. 60 tys. ludzi).

– Rodzina mojego męża pochodzi z miasta Famagusta na północy. Uciekli podczas tureckich bombardowań w 1974 r. Teściowa, która skończyła 78 lat, wciąż liczy, że tam wróci. Nie chce sprzedawać domu. Ciotka męża najbardziej żałuje tego, że nie zabrała pamiątkowych fotografii – opowiada Maria Christou, Polka, która od 2010 r. mieszka w Limassol (największym mieście w greckiej Republice Cypru).

Famagusta słynęła z pięknych plaż – kiedyś mówiono, że to „Copacabana Morza Śródziemnego". Dochody przynosił jej także port. Liczyła 60 tys. mieszkańców, a w sezonie przybywało tu czasem nawet drugie tyle turystów. Nikt nie narzekał na brak zajęcia.

Po tureckiej inwazji z Famagusty uciekło ok. 40 tys. Greków, a Warosia – nadmorska dzielnica, obsługująca ruch turystyczny – zamieniła się w „miasto duchów". Otoczona kordonem wojska, pozostała zamknięta dla mieszkańców. Miała być kartą przetargową, ale negocjacje utknęły. Nazwę „miasto duchów" rozpowszechnił szwedzki dziennikarz Jan Olof Bengtsson, który w 1977 r. odwiedził szwedzki kontyngent ONZ w Famaguście. Zobaczył porzucone stoliki restauracyjne, na których pozostały talerze i filiżanki, leżaki gotowe do przyjęcia gości i pranie wciąż rozwieszone na sznurkach. Jakby ludzie zaraz mieli wrócić.

– Historia inaczej wygląda z perspektywy Greków, a inaczej z perspektywy Turków. Choć rodzina męża bardzo ucierpiała na skutek wojny, nie można zamy-

kać oczu na fakty – uważa Maria Christou. – A faktem jest, że nacjonalistyczna organizacja EOKA B dopuściła się wielu morderstw. Ludność turecka drżała przed samowolką, a rząd w Ankarze postanowił to wykorzystać.

Łańcuch na plaży

Maria Christou pochodzi z Łodzi. Pewnego dnia poszła na wystawę zdjęć greckich wysp i tam spotkała Giorgosa. Ona uczyła polskiego, on skończył w Łodzi medycynę i był w trakcie specjalizacji. – To była miłość od pierwszego wejrzenia – wspomina Maria. – Jeden ślub mieliśmy w Łodzi, drugi na Cyprze. Tu na wesele zaprasza się nawet półtora tysiąca gości, nie ma lokali, które pomieściłyby wszystkich, imprezę robi się na zewnątrz. Przyjmowaliśmy życzenia przez trzy i pół godziny.

Nie chciała rezygnować z pracy i żyć w cieniu męża. Mówi, że Cypryjczycy to zamknięta grupa, mają mentalność zbliżoną do bliskowschodniej i niełatwo godzą się z niezależnością żon. Ona trafiła do rodziny tolerancyjnej. Podkreśla też, że wśród jej znajomych jest wiele wykształconych kobiet: lekarki, nauczycielki, które doskonale odnajdują się w swoich rolach. – Nie czuję się ograniczana, choć życie kobiet wygląda tu inaczej niż w Polsce, system patriarchalny trzyma się mocno – uważa Maria. – Formalnie mężczyzna nie ma prawa zabronić żonie wyjścia do ludzi, do pracy. Dziewczyny kształcą się, dokonują własnych wyborów. Ale warto, żeby stał za nimi jakiś mężczyzna: ojciec, brat, mąż.

Maria prowadzi blog, jest autorką książek o wyspie. Rozmawia z Cypryjczykami i słyszy od nich, że podział nikomu nie służy, dlatego wielu ludzi działa na rzecz zjednoczenia. Angażują się ludzie z północy i południa. To najczęściej ci, którzy pamiętają czasy sprzed podziału. Młodszych przekonują pieniądze: tereny pod kontrolą Turcji są biedniejsze, rzadziej odwiedzane przez turystów; sądzą, że gdyby Cypr się zjednoczył, mogliby lepiej zarabiać.

– Jest takie stowarzyszenie Greków i Turków: Famagusta – Moje Miasto, które czyni starania o zmianę myślenia i chce wpływać na polityków. Byłam razem z nimi w Famaguście, na plaży zrobiliśmy łańcuch symbolizujący odnowienie relacji – wspomina Maria. – Były chwile, gdy wydawało się, że sprawa scalenia wyspy wróci na arenie międzynarodowej i przyniesie dobre rezultaty, ale nic z tego nie wyszło.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Polka Maria Christou, od 2010 r. mieszkająca w Limassol, zna wielu Cypryjczyków z północy i południa, którzy podejmują działania na rzecz zjednoczenia wyspy.

Obrońcy z północy

Nadzieje na zjednoczenie jednak nie opuszczają Cypryjczyków. W podręczniku do historii dla szóstej klasy podstawówki można przeczytać, że „jasnowłosy naród" wyzwoli kraj spod okupacji tureckiej i przywróci spokój na wyspie. W klasie, do której chodzi syn Marii Christou, nauczycielka omawiała z dziećmi ten temat podczas lekcji. – Na Cyprze ludzie są przesądni, wierzą, że kiedyś nastąpi takie cudowne wyzwolenie, i że zrobią to Rosjanie, dlatego tak tutaj ich lubią – mówi Christou. Bo „jasnowłosy naród" z podręcznika to naród rosyjski: to pamięć po roli, którą w drugiej połowie XIX w. oraz przed I wojną światową Rosja – skonfliktowana z Turcją – odgrywała na Bałkanach.

Podobna legenda powstała również na temat wyzwolenia Konstantynopola. Aby zrozumieć jej źródło, trzeba cofnąć się do „feralnego wtorku" w 1543 r. i przypomnieć Konstantyna XI, ostatniego cesarza chrześcijańskiego Bizancjum. „Jak stał na wyłomie murów, opuszczony przez zachodnich sprzymierzeńców, stawiając czoło niewiernym do chwili, gdy uległ przygniatającej ich liczbie i poległ, mając całe Cesarstwo za swój całun żałobny" – tak opisał go historyk Steven Runciman, autor klasycznych prac o wyprawach krzyżowych oraz Bizancjum.

Choć od tamtego wtorku minęło prawie 500 lat, wydarzenie to do dziś jest raną w sercach i w pamięci zbiorowej Greków. W ich przekonaniu zachodnia Europa nie tylko nie pomogła w obronie ich cesarstwa, ale bez żalu i należnego współczucia obeszła się z ich bólem po upadku tamtej stolicy greckiego świata.

Natomiast do roli religijno-politycznej spadkobierczyni Cesarstwa Bizantyjskiego zgłosiła się wówczas carska Rosja, prezentująca się jako „trzeci Rzym" (tym drugim miało być właśnie Bizancjum), dla której „odbicie Konstantynopola" stało się w wieku XIX swego rodzaju *idée fixe*. Pamiętając o tym, łatwiej zrozumieć nadzieję, z jaką opowiada się tu legendę o jasnowłosych obrońcach prawosławia, którzy mają przybyć z północy.

Wycieczka do domu

Wyboista droga prowadzi przez góry, stary dżip ledwie ciągnie. Jedziemy na plaże Akamas, gdzie wylęgają się żółwie. Christos Christoforoy, kierowca, ma 58 lat i mieszka w Limassol, ale jego rodzina pochodzi z północy. Jest mechanikiem samochodowym, a w weekendy dorabia wożąc turystów. Opowiada, jak za sprawą lockdownów ludzie zarabiali tu mniej i przejadali oszczędności. On dostawał 60 proc. pensji, a osobom samotnym (jest po rozwodzie) trudno utrzymać się w Limassol za takie pieniądze.

Na północ Cypru Christos pojechał osiem lat temu, wraz z matką i ówczesną żoną. Oglądamy zdjęcia w telefonie komórkowym. Dom znajduje się w wiosce Myrton, dziś mieszka w nim turecka rodzina. Na fotografii widać matkę Christosa, jak przygląda się drzewom owocowym, które sama sadziła. Nigdy nie mogła odżałować tego ogrodu.

Gdy chodzili dookoła płotu, Turczynka niespodziewanie zaprosiła ich do środka. Także od wewnątrz dom niewiele się zmienił. Mama Christosa rozglądała się. Niezręczne milczenie przerwała gospodyni. – My też straciliśmy wszystko. Musieliśmy w pośpiechu spakować rzeczy. Całe moje życie zostało w Pafos – powiedziała.

Pafos to urocze miasto na południowo-zachodnim wybrzeżu, w greckiej części Cypru. © ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

CZY BYŁA ALTERNATYWA?

Stan wojenny długo postrzegano w Polsce jak naturalną katastrofę, która musiała nadejść. Warto się zastanowić, na ile ta historia mogła potoczyć się inaczej.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Czy 40 lat temu konfrontacja była jedynym możliwym scenariuszem rozwoju sytuacji w Polsce, od sierpnia 1980 r. przeżywającej „karnawał" Solidarności? Odpowiedź wymaga analizy działań głównych aktorów wydarzeń: Solidarności, władz PRL i władz sowieckich.

Czy więc związkowcy mogli powstrzymać się od dążenia do wolności?

Czy polscy komuniści widzieli możliwość wkomponowania Solidarności w system PRL?

Czy kremlowscy starcy mogli dopuścić myśl o ewolucyjnych zmianach w Polsce?

Spróbujmy pójść tym tropem.

EAST NEWS

Sowiecki przywódca Leonid Breżniew wita Wojciecha Jaruzelskiego – wówczas premiera PRL i ministra obrony – podczas jego wizyty w Moskwie 15 października 1981 r. Trzy dni później Jaruzelski, mając poparcie Kremla, odsunie Stanisława Kanię i zostanie także pierwszym sekretarzem PZPR.

Taktyka samoograniczania...

Pytanie, które w latach 1980-81 Polacy zadawali najczęściej, brzmiało: „Wejdą czy nie wejdą?". Dla wszystkich było jasne, że istnieje groźba sowieckiej interwencji. Przekonanie to opierało się na węgierskim doświadczeniu krwawego zdławienia rewolucji w 1956 r. i na pamięci o Praskiej Wiośnie, w 1968 r. zduszonej przez czołgi Układu Warszawskiego.

Pragnienie uniknięcia takiego scenariusza było źródłem taktyki przyjętej przez władze Solidarności, a polegającej na rezygnowaniu ze zbyt daleko idących żądań. Postawę tę Jacek Kuroń nazwał „samoograniczającą się rewolucją". Było to widać już podczas strajków w sierpniu 1980 r., gdy odrzucono najbardziej radykalne postulaty.

W kolejnych miesiącach „samoograniczanie się" prowadziło nie tylko do unikania żądań o charakterze politycznym. Dążono też do wyciszania lokalnych konfliktów, bojąc się eskalacji. Szczytowym momentem stało się odwołanie przez Lecha Wałęsę strajku generalnego, zapowiedzianego na 31 marca 1981 r.

Taka taktyka prowadziła jednak do podziałów w Solidarności. Coraz wyraźniej kształtowała się radykalna frakcja, dążąca do zaostrzenia polityki związku. Radykalizacji postaw sprzyjał brak gotowości władz PRL do kompromisu, a także coraz większy kryzys gospodarczy. Na przełomie lipca i sierpnia 1981 r. doprowadził on do fali „marszów głodowych", które przetoczyły się przez Polskę. Jeden z nich zakończył się dwudniową blokadą ronda w centrum Warszawy.

Taktyka „samoograniczającej się rewolucji" ostatecznie załamała się podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność. Mimo wysiłków, władze związku nie były w stanie zapanować nad blisko dziewięciuset demokratycznie wybranymi delegatami. Już trzeciego dnia obrad przyjęto deklarację, którą zaczynały słowa: „Celem nadrzędnym NSZZ Solidarność jest tworzenie godnych warunków życia w gospodarczo i politycznie suwerennej Polsce. Chodzi o życie wolne od ubóstwa, wyzysku, strachu i kłamstwa w społeczeństwie zorganizowanym demokratycznie i praworządnie". Punkt ostatni zamierzano urzeczywistnić „poprzez przeprowadzenie wolnych wyborów do Sejmu i Rad Narodowych".

...i jej granice

Następnego dnia pękła ostatnia bariera: 8 września zjazd przez aklamację przyjął „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej". Zwracano się w nim nie tylko do przedstawicieli państw regionu, od Albanii po Węgry, ale też do „wszystkich narodów" Związku Sowieckiego. Na Kremlu list ten odebrano jako prowokację i rozpętano kampanię antysolidarnościową. Dziennik „Prawda" pisał o „antysocjalistycznej i antysowieckiej orgii" oraz o „nikczemnym" posłaniu. Poprzednie wysiłki, aby – jak mawiano – „nie drażnić kremlowskiego niedźwiedzia", zdały się na nic.

Druga tura zjazdu była już spokojniejsza. Głównym dokumentem stała się deklaracja programowa, znana jako „Samorządna Rzeczpospolita". Padły w niej słowa, iż „droga jest nam idea wolności i nieokrojonej niepodległości". Pojawił się też postulat wolnych wyborów do Sejmu. Pod adresem Kremla skierowano stwierdzenie, że dzięki demokracji zawarte przez PRL sojusze „mogą uzyskać gwarancje rzetelniejsze niż dotąd".

Zjazd Solidarności przyspieszył też proces krystalizowania się – w oparciu o związek – zalążków nowych ruchów politycznych. Pod koniec września 1981 r. powołano Kluby Służby Niepodległości, w listopadzie powstały Kluby Rzeczpospolitej Samorządnej „Wolność – Sprawiedliwość – Niepodległość". Przyspieszono prace nad powołaniem Polskiej Partii Pracy, której koncepcja powstała w kręgu Sieci Organizacji Zakładowych NSZZ Solidarność Wiodących Zakładów Pracy (jej zjazd założycielski miał odbyć się w styczniu 1982 r.).

Wybrana podczas zjazdu Komisja Krajowa NSZZ Solidarność nadal próbowała znaleźć porozumienie z rządem. Ograniczono listę żądań, domagając się głównie reformy gospodarczej, uzyskania kontroli nad dystrybucją żywności i powołania Społecznej Rady Gospodarki Narodowej. Postulat wolnych wyborów odnoszono jedynie do rad narodowych (dziś powiedzielibyśmy: samorządowych).

Ale władze państwowo-partyjne, na czele z nowym liderem PZPR Wojciechem ↦

↦ Jaruzelskim, nie były już zainteresowane dialogiem.

Wpisać Solidarność w system...

Istnienie niezależnych od władz związków zawodowych – coś takiego było sprzeczne z samą naturą systemu komunistycznego. Stąd latem 1980 r. kierownictwo PZPR tak długo broniło się przed zaakceptowaniem głównego postulatu strajkujących. Gdy to wreszcie nastąpiło, ówczesny szef partii Edward Gierek powiedział znamienne słowa: „Może trzeba wybierać mniejsze zło, a potem starać się z tego wybrnąć".

To szukanie dróg „wybrnięcia" zwykle kojarzymy z przygotowaniami do rozstrzygnięcia siłowego. I rzeczywiście – podjęto je już jesienią 1980 r. Jednocześnie jednak rozpoczęto działania zmierzające do znalezienia miejsca dla nowych związków w realiach PRL.

Solidarność postrzegano jako organizację, w której będzie się toczyć walka o wpływy między partią komunistyczną a Komitetem Obrony Robotników (traktowanym jako uosobienie zła). Zdawano sobie sprawę, że zwycięstwo w tym starciu „nie wchodzi tu w rachubę w najbliższym czasie" (słowa ówczesnego wicepremiera Tadeusza Grabskiego). Niemniej zachęcano członków PZPR do wstępowania do Solidarności, by wpływać na jej kształt. Strukturom partyjnym polecano zaś „w sposób umiejętny i rozważny wciągać je [nowe związki] do współdziałania, a zwłaszcza do brania odpowiedzialności za wyniki pracy, utrzymania ładu, porządku w zakładach".

Podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR 31 października 1980 r. Stanisław Kania (od września nowy lider partii) stwierdził, że „podział w ruchu zawodowym jest faktem na długie lata". Przekonanie o trwałości istniejącej sytuacji znalazło też odzwierciedlenie w wydanej kilkanaście dni później instrukcji KC zatytułowanej „Zadania partii we współdziałaniu z NSZZ Solidarność". Pisano w niej, że „Wszystkie związki są dziś stałym elementem naszego życia społeczno-politycznego" (zdanie to w oryginale podkreślono). Uznawano, że nowy ruch jest autentycznym reprezentantem „szerokich rzesz pracowników". W tej sytuacji stwierdzano (oba zdania znów podkreślając), iż „Partia i organy państwa powinny tworzyć warunki dla umacniania socjalistycznego charakteru Solidarności i włączenia tego Związku do rozwiązywania wszystkich żywotnych problemów kraju", zaś „wzajemne stosunki (...) powinny kształtować się na zasadach partnerstwa, dialogu i współpracy".

Analiza akt niższych struktur PZPR pokazuje, że zalecenia te często stosowano. Przynajmniej do połowy 1981 r. zapraszano przedstawicieli Solidarności na posiedzenia instancji PZPR poświęcone sprawom bytowym czy problemom lokalnym. W ramach dyskusji przed IX nadzwyczajnym zjazdem PZPR odnotowano liczne głosy o konieczności traktowania związku jak partnera.

...czy jednak ją zniszczyć?

Kierownictwo partii szybko traciło wiarę, że wpisanie Solidarności w system PRL jest możliwe. Paradoksalnie działo się tak głównie na skutek kolejnych kryzysów we wzajemnych relacjach, które zwykle prowokował obóz władzy.

Narastająca podejrzliwość sprawiała, że nieufnie traktowano nieustające (i szczere) zapewnienia związku o gotowości do dialogu. W instrukcji do rozmów z Solidarnością z czerwca 1981 r. pisano: „Związek nie zamierza przystosować się do systemu społeczno-politycznego, ale odwrotnie z inspiracji sił antysocjalistycznych zamierza system dopasować do siebie". Stwierdzano, że Solidarność „jest na etapie zmiany taktyki działania. Należy przypuszczać, że demontaż systemu wprowadzać będzie nie drogą konfrontacji, lecz tak prowadzonych negocjacji, które zmuszą Rząd do stopniowego demontowania systemu socjalistycznego".

Mimo utraty początkowych nadziei na uzyskanie wpływu na związek, a także mimo niepowodzenia wysiłków Służby Bezpieczeństwa, zmierzających do uzyskania nad nim kontroli, władze PZPR nie podejmowały decyzji o konfrontacji. Dokumentacja stanu wojennego była gotowa od marca 1981 r. – zalakowane koperty z rozkazami rozesłano do komend wojewódzkich milicji. Mimo nieustannych nacisków z Moskwy, a także podjętej w czerwcu 1981 r. próby usunięcia go ze stanowiska, Stanisław Kania podtrzymywał tezę, że możliwe jest rozwiązanie kryzysu na drodze politycznej, a nie użycia siły.

Jak się wydaje, za tezą Kani o „rozwiązaniu politycznym" w drugiej połowie 1981 r. nie krył się już żaden konkretny plan. Była to swoista gra na czas: bierne oczekiwanie na rozwój wypadków. Uniknięcie konfrontacji zależało więc w dużej mierze od utrzymania się Kani w fotelu pierwszego sekretarza.

Najwyraźniej zdawano sobie z tego sprawę na Kremlu. Zdecydowano się więc na drugą, tym razem udaną próbę zmiany szefa PZPR. Nowy (od 18 października 1981 r.) lider Wojciech Jaruzelski natychmiast po wyborze złożył wiernopoddańczy hołd sowieckiemu przywódcy Leonidowi Breżniewowi i zadeklarował: „Zrobię Leonidzie Iljiczu wszystko jako komunista i jako żołnierz, żeby było lepiej, żeby osiągnąć przełom w sytuacji w naszym kraju, w naszej Partii".

W kolejnych tygodniach wzmożono przygotowania do stanu wojennego. Jaruzelski wciąż jednak miał obawy o powodzenie operacji. Chciał uzyskać propagandowy „dowód", że taki krok ocalił Polskę przed obcą interwencją. Najpierw poprosił o wydanie przez komitet ministrów obrony państw Układu Warszawskiego oświadczenia, w którym mieliby oni wyrazić gotowość obrony socjalizmu w PRL. Nie udało się – poparcia dokumentu odmówili ministrowie z Rumunii i Węgier. Następnie Jaruzelski zwrócił się o pomoc wojskową do Kremla (o czym obszerniej napiszemy poniżej), ale także tu spotkała go odmowa.

W tej sytuacji Jaruzelskiemu pozostawało albo polecieć na spotkanie do Moskwy (zaplanowane na 14-15 grudnia) i narazić się na krytykę, albo wprowadzić wcześniej stan wojenny. Niestety wybrał to drugie.

Kreml patrzy na Polskę...

Nie ulega wątpliwości, że dla rozważań o alternatywnym rozwiązaniu kryzysu z lat 1980-81 największe znaczenie ma postawa Kremla.

Wbrew ówczesnym przekonaniom, sowieccy liderzy tylko raz podjęli rozważania na temat interwencji: było to pod koniec sierpnia 1980 r. Przygotowane wtedy (przez powołaną naprędce „komisję Susłowa") zestawienie potrzebnych sił nie trafiło jednak pod obrady Biura Politycznego KPZR – w Polsce podpisano porozumienie.

Kierownictwo Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego z najwyższym niepokojem traktowało wydarzenia w PRL. Od początku określano je mianem „kontrrewolucji". Nie podzielano nadziei towarzyszy z PZPR, że uzyskają wpływ na

związek czy kontrolę nad nim. Mimo to już jesienią 1980 r. uznano, że jedynym możliwym rozwiązaniem sytuacji jest użycie siły przez władze PRL.

Przyczyn tej decyzji było wiele. Pamiętano o roku 1968, gdy interwencja w Czechosłowacji okazała się polityczną klęską, a społeczeństwo spacyfikowała dopiero miejscowa partia w ramach tzw. normalizacji (tj. represji). Obawiano się pogorszenia stosunków z Zachodem i kolejnych sankcji (pierwsze sankcje USA wprowadziły po sowieckiej interwencji w Afganistanie w 1979 r.). Nie bez znaczenia była też zapewne skala kryzysu w Polsce, a także coraz większe uwikłanie wojsk sowieckich w afgańskich górach.

Przyjętej strategii Kreml trzymał się w kolejnych miesiącach konsekwentnie. Spacyfikowano tych przywódców państw bloku wschodniego, którzy żądali interwencji w Polsce (rolę wodzireja grał wśród nich wschodnioniemiecki dyktator Erich Honecker).

Naciski na Kanię (oraz początkowo wspierającego go Jaruzelskiego) nie przynosiły jednak rezultatu. Zdaniem Breżniewa obaj zmarnowali doskonałą okazję, jaką był kryzys bydgoski z marca 1981 r. Wobec braku postępów na drodze do starcia, w czerwcu 1981 r. Kreml podjął próbę usunięcia Kani i zastąpienia go jednym z liderów „zdrowych sił" w PZPR. Ten partyjny zamach stanu podjęto w oparciu o dane dostarczone przez Honeckera, który dowodził, że operację poprze dokładnie 51,4 proc. członków Komitetu Centralnego PZPR. Ale Honecker się mylił, większość KC poparła Kanię. Zrezygnowany przywódca Niemiec Wschodnich stwierdził później: „Musimy przez pewien czas żyć z Kanią".

W kolejnych miesiącach Breżniew kontynuował naciski, posuwając się do niezbyt zawoalowanych gróźb wycofania gwarancji dla polskiej granicy zachodniej. Wciąż jednak brakowało alternatywy dla Kani. Pojawiła się ona na przełomie września i października 1981 r., gdy do Moskwy dotarły sygnały o pojawiających się rozbieżnościach między Kanią a Jaruzelskim. Ponowiono próbę wymiany I sekretarza KC PZPR – tym razem z sukcesem.

...i stawia na Jaruzelskiego

Od nowego lidera oczekiwano natychmiastowego działania. Już jedenaście dni po jego wyborze Breżniew okazał niecierpliwość: „Tow[arzysz] Jaruzelski nie przejawia żadnej inicjatywy. Być może trzeba się przygotować do rozmowy z nim". Zamiast rozmowy wysłano list: sowiecki dyktator zapraszał Jaruzelskiego do Moskwy na 14 grudnia i przestrzegał przed „kontynuacją zbankrutowanego kursu Kani".

LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

„Jeśli nawet Polska będzie pod władzą »Solidarności«, to będzie to tylko tyle".

JURIJ ANDROPOW, SZEF KGB, 10 GRUDNIA 1981 R.

Tymczasem 8 grudnia Jaruzelski – wtedy już lider PZPR i premier PRL w jednej osobie – zwrócił się do Moskwy o udzielenie pomocy politycznej, gospodarczej i wojskowej (zrobił to za pośrednictwem marszałka Wiktora Kulikowa, dowódcy wojsk Układu Warszawskiego).

Prośba ta wywołała na Kremlu konsternację. Rozpatrzono ją podczas posiedzenia Biura Politycznego KC KZPR 10 grudnia 1981 r. Zgromadzeni „kremlowscy starcy" jednogłośnie zaznaczali, że „nie może być żadnego wprowadzenia wojsk" (tak ujął to Andriej Gromyko). Podtrzymano dotychczasową strategię, a nawet zdecydowano się na jej złagodzenie. Kilku mówców podkreślało, że trzeba ograniczyć naciski na władze PZPR i zostawić im wolną rękę w wyborze drogi postępowania z Solidarnością. Tak ujął to wiekowy Michaił Susłow (od 1952 r. główny ideolog partii): „Niechaj sami towarzysze polscy określą, jakie działania mają podjąć. Nie powinniśmy popychać ich do jakichś bardziej zdecydowanych działań".

Najdalej posunął się szef KGB Jurij Andropow (potem następca Breżniewa). Stwierdził: „Nie możemy ryzykować. Nie zamierzamy wprowadzać wojsk do Polski. Jest to słuszne stanowisko i musimy się go trzymać do końca. Nie wiem, jak rozwinie się sprawa z Polską, ale jeśli nawet Polska będzie pod władzą »Solidarności«, to będzie to tylko tyle. A jeśli na Związek Radziecki rzucą się kraje kapitalistyczne, a oni już mają odpowiednie uzgodnienia o różnego rodzaju sankcjach ekonomicznych i politycznych, to dla nas będzie to bardzo ciężkie. Powinniśmy przejawiać troskę o nasz kraj, o umacnianie Związku Radzieckiego. To jest nasza główna linia".

Członkowie sowieckich władz przekroczyli tego dnia ważną barierę mentalną: nie tylko zdecydowali się zaprzestać nacisków na Warszawę, ale bez protestu pozostawili – szokujące przecież – słowa Andropowa.

Ze względu na wprowadzenie stanu wojennego owa „doktryna Andropowa" pozostała bezużyteczna. Nietrudno jednak dostrzec, że jej realizacji podjął się po kilku latach pupil wieloletniego szefa KGB – Michaił Gorbaczow.

■■■

Solidarność nie mogła długo trzymać się zasady „samoograniczania", pozostając ruchem demokratycznym i wolnościowym. Trudno było oczekiwać, że w 1981 r. władze PZPR przełamią swoje ograniczenia i podejmą dialog ze związkiem (choć przez chwilę to rozważano). Były one jednak w stanie zwlekać, grać na czas.

Paradoksalnie najbardziej elastyczni w tej sytuacji okazali się stetryczali sowieccy przywódcy. Najpierw zanegowali doktrynę Breżniewa (w oparciu o którą interweniowali w 1968 r. w Czechosłowacji) i otwarcie przyjęli strategię braku interwencji wojskowej w Polsce. W grudniu 1981 r. byli gotowi posunąć się o krok dalej – zaakceptowali, że wybór taktyki postępowania wobec Solidarności jest sprawą władz PRL. Byli nawet skłonni dopuścić myśl o udziale Solidarności w zarządzaniu państwem.

Szansa na uniknięcie stanu wojennego istniała – choć nie wiemy, jak duża. Wystarczyło, aby Wojciech Jaruzelski – zamiast zwołać Wojskową Radę Ocalenia Narodowego – w poniedziałek 14 grudnia 1981 r. wsiadł w samolot i poleciał do Moskwy. Czy zabrakło mu na to odwagi?

© ŁUKASZ KAMIŃSKI

DR ŁUKASZ KAMIŃSKI *jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski i Europy Środkowej w drugiej połowie XX wieku. W latach 2011-16 był prezesem IPN.*

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu **„Tygodnik" na ucho**
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

KOLĘDA na ten czas

JACEK CYGAN ŚWIĄTECZNIE

Anna Dymna • Beata Rybotycka
Anna Jurksztowicz • Zosia Nowakowska
Stanisław Soyka • Jerzy Filar • Krzysztof Antkowiak
Mariusz Patyra • Kameleon Quintet

2 stycznia 2022 • ICE Kraków
4 stycznia 2022 • Sala Ziemi Poznań
6 stycznia 2022 • Filharmonia Narodowa Warszawa
8 stycznia 2022 • NFM Wrocław

Bilety na koncerty: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · REGENT WARSAW HOTEL · onet · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · TUWROCŁAW.COM · VIXON MEDIA · PRESS SERVICE monitoring mediów · RADIO Pogoda

FRANCJA I SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK POWSZECHNY

„TP" 50/2021

DODATEK SPECJALNY

DRODZY CZYTELNICY,

w obliczu zbliżającej się pamiętnej daty 13 grudnia chcieliśmy zebrać francuskie i polskie świadectwa niezwykłego zrywu solidarności ponad granicami naszych krajów na początku lat 80.

„Solidarność" i walka o godność człowieka zjednały jej wielką sympatię w całej Europie, a w szczególności w moim kraju, Francji, gdzie prawa człowieka są centralnym punktem odniesienia w rozważaniach o historii. Ze wzruszeniem wspominam wielkie spontaniczne zgromadzenie w sercu Paryża na znak poparcia dla społeczeństwa polskiego w nocy 13 grudnia 1981 roku i to, jak zapaliliśmy świece i śpiewaliśmy na ulicy, aby pokazać naszą solidarność z polskim narodem.

Dziś, czterdzieści lat później, gdy Francja przygotowuje się do objęcia na kilka miesięcy rotacyjnego przewodnictwa w Radzie Unii Europejskiej, wydaje się nam ważne, aby uhonorować działania i mobilizację tak różnych osób na rzecz „Solidarności" i polskiego społeczeństwa obywatelskiego. Mobilizacja ta była spontaniczna, zdecentralizowana, z ponad 300 komitetami poparcia dla Polaków, które powstały w całej Francji. Udało im się przesłać do Polski znaczną pomoc humanitarną, niemożliwą do precyzyjnego określenia i oszacowania, gdyż była ona stosunkowo dyskretna i anonimowa. To właśnie tym anonimowym ludziom chcemy dzisiaj złożyć hołd, ponieważ oni również przyczynili się do stworzenia naszej Europy, Europy opartej na wzajemnej pomocy i solidarności.

FRÉDÉRIC BILLET,
AMBASADOR FRANCJI

Biało-czerwona flaga z napisem Solidarność zawieszona na wieży Eiffla przez nieznane osoby, Paryż, 17 lutego 1982 r.

MATERIAŁY PRASOWE // KEYSTONE PICTURES USA / ZUMA PRESS / FORUM

ARCHIWUM PROF. RADOSŁAWA PTASZYŃSKIEGO

Jacky Challot

Na pogrzeb komunizmu musiałem poczekać

MIROSŁAW CHOJECKI

21 grudnia 1981 roku na apel wszystkich central związkowych z wyjątkiem komunistycznej CGT w całej Francji na godzinę przerwano pracę na znak solidarności z polskimi robotnikami.

Wprowadzenie stanu wojennego zastało mnie w Stanach Zjednoczonych. Pobiegłem do najbliższego biura podróży, by zarezerwować samolot do Warszawy – chciałem uczestniczyć w spodziewanym przeze mnie uroczystym pogrzebie komunizmu... Niestety prezydent Reagan zawiesił wszystkie loty do Polski. „New York Times" opublikował listę niektórych internowanych osób. Byłem na niej, podobnie jak inni działacze opozycji przebywający na Zachodzie; widać listy internowanych przygotowano dużo wcześniej. Do tej pory w aresztach spędziłem już sporo czasu. Pomyślałem, że na kolejny raz mogę jeszcze poczekać. A na „pogrzeb komunizmu" (wcale nie uroczysty) trzeba było czekać jeszcze 8 lat.

Skróciłem trasę i wylądowałem w Paryżu. Do Polski wybrali się wtedy słynna aktorka Simone Signoret i filozof Michel Foucault. Po powrocie wystąpili w telewizji francuskiej i z wpiętymi znaczkami „Solidarności" opowiadali o represjach stanu wojennego. Szefem dzienników telewizyjnych TF1 i TF2 był wtedy Gabriel Mérétik – późniejszy autor „Nocy generała" – który dzięki swoim przyjaciołom w Polsce miał wiadomości z pierwszej ręki i natychmiast trafiały one do głównych aktualności dnia.

W kilka dni społeczeństwo francuskie przy pomocy związków zawodowych zebrało ok. 7 mln franków (ok. 1 mln dolarów), które przeznaczono na pomoc dla podziemia w Polsce. Kontrolą wydatkowania tej sumy zajmowała się komisja pod przewodnictwem Michela Foucaulta.

Od sierpnia 1980 roku powstało ok. 500 różnego rodzaju komitetów poparcia dla „Solidarności". Organizowały one transporty charytatywne do Polski. Niejednokrotnie w tych transportach ukrywany był sprzęt poligraficzny, radiowy, książki i czasopisma. Jednym z kierowców był dwudziestoparoletni Jacky Challot. Podczas ósmego z kolei transportu jego samochód dokładnie przeszukano i za dodatkową ścianką celnicy znaleźli siedem powielaczy oraz sporo materiałów poligraficznych. Zanim jednak Jacky trafił do polskiego więzienia, przywiózł do Polski ok. 50 wysokowydajnych powielaczy. Dzięki takim transportom z Francji, Niemiec, Belgii, Anglii, Austrii, Holandii czy krajów skandynawskich w podziemiu opublikowano ponad 3 tys. czasopism i ponad 6 tys. książek i broszur. Większość książek były to przedruki z wydawnictw emigracyjnych. Z autorów francuskich wydawano m.in. Alaina Besançona, Jacques'a Maritaina, Jeana-Paula Sartre'a...

W ciągu trzech więziennych miesięcy Jacky nauczył się grypsery i powitał mnie na lotnisku w Paryżu słowami: „kopsnij szluga". Dziś mówi pięknie po polsku, a pracę magisterską na Uniwersytecie w Lille napisał o Funduszu Pomocy Niezależnej Nauce i Literaturze Polskiej, którego sekretarzem miałem zaszczyt być przez pewien czas. Była to instytucja pod przewodnictwem Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza, Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Współpracowała blisko z francuskim Funduszem Pomocy Intelektualistom Europejskim, kierowanym przez Annette Laborey. Obie te instytucje udzieliły w latach 1982-89 ok. 200 stypendiów młodym naukowcom i artystom przyjeżdżającym z Polski.

Związki zawodowe zafundowały nam maszynkę do zamykania puszek z konserwami. Rozpoczęliśmy produkcję puszek zielonego groszku, fasolki, parówek, oklejonych stosownymi nalepkami informującymi o zawartości. Zabierały je transporty charytatywne do kraju. Tyle że w środku zamiast pożywienia była farba drukarska lub miniaturowe wydania publikacji emigracyjnych: „Kultury", „Pulsu" czy „Kontaktu". Miałem nawet w tej sprawie listowne zażalenie z Polski. Grono przyjaciół zasiadło do kolacji, której głównym daniem miały być właśnie „zrzuty" z Zachodu (z zaopatrzeniem wtedy było bardzo marnie) – jednak po otwarciu puszek oczom głodnych opozycjonistów ukazała się farba drukarska... ©

MIROSŁAW CHOJECKI – *działacz opozycji w PRL, członek Komitetu Obrony Robotników, współzałożyciel Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa, producent filmowy.*

GABRIEL DUVAL / AFP / EAST NEWS

Manifestacja przed Ambasadą Polski w Paryżu, 13 grudnia 1981 r.

Rodziny rodzinom

ANNE DURUFLÉ

Inicjatywa zwana „parrainages", polegająca na obejmowaniu opieką konkretnej polskiej rodziny przez rodzinę francuską, zapewniła wsparcie 800 rodzinom ofiar represji.

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce wprawiło Francję w osłupienie i wywołało falę inicjatyw wspierających Polaków. W całym kraju powstawały komitety, które zbierały dary i pieniądze dla Polski. Pomocą materialną zajmowały się również organizacje charytatywne, takie jak Secours Catholique, związki zawodowe, głównie CFDT (Francuska Demokratyczna Federacja Pracy), FO (Powszechna Konfederacja Pracy – Siła Robotnicza) i CFTC (Francuska Konfederacja Chrześcijańskich Pracowników), które nagłaśniały sprawę „Solidarności" w kręgach związkowych.

Biuro Informacji i Kontaktów na rzecz Polski (BIL), utworzone w grudniu 1981 roku, próbowało koordynować pomoc dla Polski i zachęcać do współpracy wszystkie podmioty zaangażowane we wsparcie, takie jak: Lekarze Świata, Lekarze bez Granic, Solidarité avec Solidarność, CFDT, FO, CFTC, Francuski Czerwony Krzyż, Comité de soutien des Polonais... W sumie pięćdziesiąt organizacji zaangażowanych w realizację celów, które wyznaczyło sobie BIL, a mianowicie: wsparcie dla więźniów i internowanych, pomoc finansowa i medyczna dla polskiej ludności, pomoc dla Polaków we Francji, informacja i działania animacyjne oraz działania polityczne.

Od 1981 roku Stowarzyszenie Solidarité France-Pologne (ASFP) otrzymywało wpłaty pieniężne m.in. na zakup produktów, które miały być wysyłane do Polski w formie paczek. Do 1984 roku, w porozumieniu z Katolickim Komitetem do Walki z Głodem i na rzecz Postępu (CCFD), organizowało transporty z darami. Wszystkie były finansowane z programów EWG i przeznaczone dla diecezji w Polsce. Stowarzyszenie podjęło również działania na rzecz więźniów politycznych i ich rodzin. Najbardziej oryginalna była inicjatywa zwana „parrainages", polegająca na obejmowaniu opieką konkretnej polskiej rodziny przez rodzinę francuską. Zapewniła 800 rodzinom ofiar represji wsparcie moralne i materialne. Działania podejmowano w porozumieniu z Komitetem Koordynacyjnym Związku Zawodowego „Solidarność" we Francji, wspieranym przez główne francuskie związki zawodowe.

ASFP prowadziło również szeroką działalność informacyjną i uświadamiającą na temat spraw polskich w społeczeństwie francuskim. Organizowało debaty i konferencje prasowe, sporządzało komunikaty o wydarzeniach w Polsce, które następnie były rozpowszechniane w poszczególnych regionach Francji. Stowarzyszenie współfinansowało też polskie wydawnictwa podziemne. ©

ANNE DURUFLÉ – *w latach 80. pracowała w Ambasadzie Francuskiej w Warszawie, w latach 90. kierowała Fundacją dla Polski, której celem jest promocja postaw filantropijnych i wspieranie rozwoju społeczeństwa obywatelskiego.*

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 50/2021
REDAKCJA: Grzegorz Nurek | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | KOREKTA: Katarzyna Domin
Na okładce wykorzystano winietę polsko-francuskiego stowarzyszenia Solidarité avec Solidarność z lat 80., ze zbiorów Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku

PARTNERZY:
AMBASSADE DE FRANCE EN POLOGNE
OŚRODEK KULTURY FRANCUSKIEJ
INSTITUT FRANÇAIS Pologne

ARCHIWUM EWY WALISZEWSKIEJ I OUEST-FRANCE / Z KSIĄŻKI M. HERUDAY-KIEŁCZEWSKIEJ

Ciężarówka Ouest-France z darami w drodze do Polski, 1 marca 1982 r.

Vive la Pologne!

HENRYK WOŹNIAKOWSKI:

W całej Francji zawiązywały się stowarzyszenia solidarności francusko-polskiej. Lokalne i regionalne sieci albo po prostu grupy przyjaciół organizowały pomoc humanitarną.

GRZEGORZ NUREK: Kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny, był Pan członkiem Rady Międzynarodowej Unii Prasy Katolickiej. Jak zareagowali wtedy Pańscy przyjaciele z Francji?

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Ci, z którymi miałem bliższe kontakty, rzeczywiście żywo interesowali się sprawami polskimi, postępami wolności. Stanem wojennym w Polsce głęboko się przejęli. Pamiętajmy, że lata 80. to był czas przedinternetowy, z utrudnionymi kontaktami telefonicznymi. A wprowadzenie stanu wojennego dodatkowo to skomplikowało – przecież wyłączono nam telefony! Pozostało nasłuchiwanie wiadomości z Radia Wolna Europa. O tym, jak reagował świat na wydarzenia w Polsce, dowiadywaliśmy się też od tych nielicznych, którzy wracali z Zachodu. Bardzo wcześnie, bo z początkiem stycznia wrócił do kraju Krzysztof Kozłowski. Relacjonował m.in. reakcje zwykłych Francuzów i francuskiej prasy. Na Zachodzie rozeszła się fałszywa informacja o śmierci Tadeusza Mazowieckiego. To wywołało wielkie poruszenie, w kilku gazetach pojawiły się jego nekrologi, a potem sprostowania – co uczyniło go osobą szeroko znaną. Gdy w 1987 roku Mazowiecki mógł wyjechać w pierwszą zagraniczną podróż, udało się go zaprosić do Antwerpii na posiedzenie Unii Prasy Katolickiej. Przyjęto go długotrwałą *standing ovation*. Wygłosił świetne przemówienie.

Zimą 1981, po wprowadzeniu stanu wojennego, wcześnie odezwał się współwłaściciel i szef koncernu medialnego Ouest-France, François Régis Hutin. Jako jeden z pierwszych zaczął organizować konwoje humanitarne do Polski. Miałem kontakt z ks. Kazimierzem Jancarzem w Mistrzejowicach i do niego kierowałem część napływającej pomocy. Część trafiała do krakowskiej kurii.

Przez Francję przetoczyły się olbrzymie manifestacje poparcia dla Polaków.

O tym dowiadywaliśmy się stosunkowo szybko. Także dzięki Instytutowi Francuskiemu i jego dyrektorowi, Jeanowi Baisnée. Jean niemal natychmiast zaczął pomagać w przesyłaniu na Zachód wydawnictw podziemnych, a nam – emigracyjnych, a także prasy francuskiej z tekstami o Polsce. W całej Francji zawiązywały się spontanicznie stowarzyszenia solidarności francusko-polskiej. Lokalne i regionalne sieci albo po prostu grupy przyjaciół organizowały pomoc humanitarną dla Polaków. Co zuchwalsi – np. grupa, której liderem był Louis Martinez, profesor literatury rosyjskiej w Aix-en-Provence – przewozili wydawnictwa emigracyjne, farbę drukarską, powielacze w kawałkach, poukrywane wśród żywności, ubrań, w różnych schowkach. Zaprzyjaźnieni podziemni wydawcy cierpliwie, choć z utęsknieniem czekali tygodniami na komplet części.

We Francji powstał Komitet Wsparcia Solidarności, w którego prace zaangażowali się tak znani intelektualiści jak Michel Foucault i Pierre Bourdieu. Poznał ich Pan?

Foucaulta poznałem, gdy z Simone Signoret przyjechał do Polski. Jean Baisnée zorganizował przyjęcie u siebie w mieszkaniu. Foucault wnikliwie wypytywał mnie o nastroje młodych Polaków, ich nastawienie do „Solidarności" i komunizmu. ©

HENRYK WOŹNIAKOWSKI – *publicysta, wydawca, tłumacz, w latach 1991-2021 prezes zarządu SIW Znak. Niedawno ukazał się wywiad-rzeka „Rzeczy ważne, a czasem błahe", który przeprowadziła z nim Dominika Kozłowska.*

ARCHIWUM ELŻBIETY JOGAŁŁY

Od lewej: Elżbieta Jogałła, pośrodku żona Jeana – Paule, po prawej Jean Baisnée. Uroczystość przyznania Orderu Odrodzenia Polski Jeanowi Baisnée, Paryż 2014 r.

Jean Baisnée

ELŻBIETA JOGAŁŁA

Przyjeżdżały konwoje z pomocą humanitarną, a z nimi Simone Signoret, Michel Foucault, Bernard Kouchner, André Glucksmann. Kwiat inteligencji francuskiej.

Pracowałam wtedy w Instytucie Francuskim w Krakowie, byłam asystentką, prawą ręką dyrektora. Jean Baisnée przyjechał w listopadzie 1981, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Nowy dyrektor od samego początku chciał pomagać Polakom. Zaczęło się od tego, że w Instytucie recital dawał francuski wirtuoz gitary, a w tym czasie na Uniwersytecie Jagiellońskim trwał strajk. Dyrektor miał zaprzyjaźnionych studentów romanistyki i zabrał gościa do Collegium Novum. Francuski muzyk całą noc grał i śpiewał dla strajkujących. Gdy Jean Baisnée opuścił budynek uniwersytetu, okazało się, że w jego samochodzie powybijano szyby i uszkodzono hamulce...

Po 13 grudnia nie krył się z tym, że angażuje się w pomoc represjonowanym. Sam długo nie miał statusu dyplomatycznego, nie był chroniony. Jego żona była w zaawansowanej ciąży. Znając warunki w polskich szpitalach, a dodatkowo problemy komunikacyjne związane z brakiem połączeń telefonicznych, radziłam jej, aby może urodziła we Francji lub Niemczech. Odpowiedziała: „Kobiety polskie tutaj rodzą, nie widzę powodów, dla których i ja nie miałabym urodzić w Polsce". Marianne urodziła się w Krakowie 18 stycznia 1982 roku.

Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego Instytut został zamknięty. Dyrektor ze studentami romanistyki zaczął codzienne próby teatralne. Nieustannie pośredniczył między Francją i Polską; przekazywał informacje, pieniądze potrzebującym, pod pseudonimem pisał reportaże do francuskiej prasy. Gdy już Instytut można było ponownie otworzyć, sprowadzał do Krakowa francuskich dziennikarzy. Przyjeżdżały konwoje z pomocą humanitarną. Wielkie tiry, a w nich siedzieli m.in. Jacques Lebas, Simone Signoret, Michel Foucault, Bernard Kouchner, André Glucksmann. Kwiat inteligencji francuskiej. Przyjeżdżali, aby okazać nam solidarność; dostarczyć leki, paczki z darami, czegoś się dowiedzieć, porozmawiać.

Raz taką olbrzymią ciężarówkę z lekami pilotowałam do Nowej Huty, do apteki prowadzonej przez żonę prof. Jana Błońskiego, Teresę. Siedzę w szoferce obok francuskiego kierowcy; tu trzeba dodać, że na co dzień jeździłam maluchem. Żadne z nas nie dostrzegło znaku ograniczającego wysokość przejazdu i zaklinowaliśmy się pod wiaduktem na Lubicz. Kierowcy wysiadali z samochodów, tramwaje się zatrzymały. Wszyscy pomagali się nam wycofać, a gdy zobaczyli, że to tir z pomocą z Francji, zaczęli bić brawo.

Francuzi przyjeżdżali z wykładami do Instytutu, zainteresowanie było takie, że ludzie siedzieli na podłodze, bo brakowało wolnych krzeseł. Pamiętam spotkanie w Pałacu Lubomirskich – ówczesnej siedzibie Instytutu – podczas którego Bernard Kouchner opowiadał o szpitalach polowych w górach w Afganistanie, założonych przez Médecins du Monde, by pomóc rannym w konflikcie rosyjsko-afgańskim. Ktoś z publiczności spytał, czy nie boją się publicznie o tym mówić i pokazywać slajdy, ktoś może lokalizację tych szpitali namierzyć. Kouchner odpowiedział: „Myśli pan, że to takie łatwe? To są góry, ale życzę szczęścia, proszę szukać".

Instytut był również miejscem schronienia i występów dla artystów z Piwnicy pod Baranami. W tych ciemnych i smutnych latach 80. Jean Baisnée sprowadzał najnowsze francuskie filmy, prasę francuską, dzięki czemu nie byliśmy już tak odcięci od reszty świata. Dzięki niemu Instytut stał się oazą wolności...

Jean Baisnée zmarł wiosną tego roku. Na szczęście zdążyliśmy mu za pomoc i służbę Polakom podziękować – 6 maja 2014 roku z rąk ambasadora RP w Ambasadzie Polskiej w Paryżu odebrał Order Odrodzenia Polski „Polonia Restituta". Widziałam, że był szczęśliwy. Jego działalność w Krakowie nie była na pokaz, wypływała z potrzeby i prawości serca. Do końca życia bardzo interesował się sprawami Polski, zachował tu wielu przyjaciół. ©

ELŻBIETA JOGAŁŁA – *tłumaczka literatury francuskiej i włoskiej, w latach 1970-90 pracowała w Instytucie Francuskim w Krakowie, później w dyplomacji RP. Córka Anny i Jerzego Turowiczów.*

Komitet na Piwnej

LUDWIKA WUJEC

Przyjeżdżały transporty z Anglii, Francji, Niemiec, Szwecji, Danii. Przy wielkim stole Danusia Szaflarska całymi dniami segregowała ubrania. A szefową Paczkarni była Hania Fedorowicz.

Gdy powstawał Komitet Prymasowski, byłam internowana. W nocy z 12 na 13 grudnia funkcjonariusze ZOMO zaczęli wygarniać ludzi z mieszkań, mnie aresztowano dwa dni później, bo wcześniej nocowałam u przyjaciół. Moim synkiem musiały zaopiekować się przyjaciółki. Miesiąc spędziłam w więzieniu dla kobiet w Olszynce Grochowskiej, potem przewieziono mnie do Gołdapi. W sumie przesiedziałam trzy miesiące – 17 marca zostałam zwolniona. Dość szybko, bo moje nazwisko znalazło się na liście interwencyjnej Episkopatu. Mój mąż Heniu siedział. Synkiem Pawłem opiekowała się moja mama.

Z opowieści innych wiem, że wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego warszawiacy zaczęli się gromadzić w kościele św. Marcina na Piwnej i w kościele św. Jacka na Freta. Z pierwszym związany był ksiądz Bronisław Dembowski, przyszły biskup włocławski, wtedy kapelan Klubu Inteligencji Katolickiej. W drugim wokół o. Jacka Salija gromadziła się młodzież. Dość szybko akcję pomocy humanitarnej przy Piwnej objął swoim patronatem prymas, kardynał Józef Glemp. Powstał Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom.

Transport darów z Francji w siedzibie Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, styczeń 1982 r.

DAMAZY KWIATKOWSKI / PAP / Z KSIĄŻKI M. HERUDAY-KIELCZEWSKIEJ

Pomoc dla więźniów politycznych zaczęła napływać błyskawicznie. W więzieniu w Olszynce pojawili się księża. Na Piwnej w pierwszej kolejności chęć pomocy internowanym zgłosili literaci i aktorzy. Z transportami darów dla więźniów jeździły Maja Komorowska i Hania Trzeciakowska – tłumaczka, sanitariuszka w powstaniu warszawskim.

Strażniczka w Olszynce woła do mnie: „Pani Wujec, napisała pani upoważnienie?". „Ale jakie?". „Upoważnienie do odbioru kartek żywnościowych!".

Chodziło o kartki na żywność dla mojego dziecka. Wtedy były olbrzymie braki na rynku. Kartki na cukier, masło, mięso. Bez kartek niewiele można było w sklepach dostać.

„Proszę szybciutko napisać upoważnienie, bo pani Kalina czeka!".

„Jaka Kalina?" – myślę. Okazało się, że przyjechała Kalina Jędrusik z paczką z Piwnej. Wielka aktorka, wszystkie strażniczki zaraz poczuły przed nią respekt, niemal plackiem przed nią leżały.

Z kolei będąc w Gołdapi widziałam z współosadzonymi samochody z darami. Klawiszki wynosiły paczki, a my śpiewałyśmy wolnościowe piosenki. Widziałam w ich oczach zazdrość. Bo w kraju było przecież dramatycznie złe zaopatrzenie. A tu napływały pachnące mydełka, proszki do prania, szampony. Pierwszy raz widziałam tam te wszystkie pasty do zębów znanych marek. Przecież w kioskach Ruchu był jedynie proszek do zębów. Nieprzyjemnie się nim zęby czyściło. Te wszystkie dary przychodziły z zagranicy. Wielkie tiry, między innymi z Francji, Anglii, Niemiec, Szwecji, Danii.

Gdy zwolniono mnie z Gołdapi, zameldowałam się na Piwnej. W korytarzu dawnej biblioteki klasztoru sióstr franciszkanek służebnic krzyża stał Jacek Fedorowicz. Spojrzał na mnie i mówi: „Oooo, przyszła Wujcowa! Tylko niech ci się nie wydaje, że jesteś na wolności".

Znalazłam się w pomieszczeniu wypełnionym regałami od podłogi po sufit, zawalonym paczkami. Wolontariusze segregowali żywność, ubrania, leki. Funkcjonowała przy Piwnej też apteka i dyżurowali prawnicy. Sekcją rodzin, która zajmowała się bezpośrednim kontaktem z rodzinami objętymi pomocą, kierował Jacek Sieradzki, dziś redaktor naczelny miesięcznika „Dialog". Nominalnym szefem całej grupy na Piwnej był Władysław Rodowicz.

Do środka wciągnęła mnie Hania Fedorowicz, szefowa Paczkarni. Tam krzątały się między innymi Roma Szczepkowska i Teresa Ogrodzińska. Danusia Szaflarska, z nieodłącznym uśmiechem, całymi dniami segregowała przy wielkim stole ubrania. W 1988 roku, gdy obawialiśmy się, że nasze dotychczasowe lokale są zagrożone przez najścia SB, zapytałam Danusię, czy moglibyśmy spotkania redakcyjne „Tygodnika Mazowsze" organizować w jej mieszkaniu. Zakładaliśmy, że władza będzie się bała wkraczać do mieszkań znanych ludzi, bo od razu stanie się o tym głośno na świecie. Danusia odpowiedziała bez wahania: „Oczywiście". ©

LUDWIKA WUJEC – *działaczka opozycji w PRL, współpracowała z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom.*

STOWARZYSZENIE POMOCY MEDYCZNEJ POLSKIM DZIECIOM założyła w 1981 roku pielęgniarka Marie-Thérèse Doridot. Przez 10 lat dostarczała wraz z synem sprzęt medyczny i leki do oddziału pediatrycznego szpitala w Nowej Hucie. Co dwa miesiące z Paryża do Krakowa przyjeżdżał konwój z darami o wadze od 7 do 15 ton. Darczyńcami były m.in.: miasto Paryż, Lions Club, francuskie Ministerstwo Solidarności... Stowarzyszenie pośredniczyło też w leczeniu polskich dzieci w szpitalach francuskich, prowadziło kampanie szczepionkowe w Białymstoku. Później, razem z fundacją France-Libertés Danielle Mitterrand (małżonki prezydenta François Miterranda), Marie-Thérèse Doridot wysyłała do polskich szkół książki, literaturę francuską. Dostarczyła ich ponad 10 tys. ©

ARCHIWUM EWY WALISZEWSKIEJ I OUEST-FRANCE

Załadunek transportu darów z Rennes do Białegostoku, grudzień 1981 r.

Nie zapomnę

HANNA FEDOROWICZOWA

Ambasada Francji była wśród zachodnich ambasad jednym z naszych najlepszych okien na świat.

Poproszono mnie o uzupełnienie wspomnienia Ludki, co chętnie czynię. Szefową Paczkarni stałam się nie od razu. Po pierwszym szoku wywołanym stanem wojennym ci, którzy zostali na wolności, skrzyknęli się, żeby natychmiast zacząć pomagać tym, którzy siedzą. Przede wszystkim ewidencja, gdzie kto siedzi, i zaraz potem sprawy bytowe. Zima była wyjątkowo mroźna, więc ciepłe ubrania; zaopatrzenie sklepów zerowe, więc żywność dla aresztowanych i podstawowe środki higieniczne.

Jednak wszelkie zrzeszanie się było wtedy kategorycznie zabronione, a skala zamierzenia tak wielka, że nie można było robić tego w domach. Już 17 grudnia byliśmy u bp. Miziołka, który załatwił nam kościelny parasol, staliśmy się instytucją z ważnym słowem-tarczą: PRYMASOWSKI Komitet Pomocy. Chodziło przecież o pomoc skuteczną. Miejsce dostaliśmy od sióstr franciszkanek na Piwnej, przy kościele św. Marcina, wciąż pamiętanego z KOR-owskiej głodówki sprzed kilku lat.

Odzew społeczny od pierwszych chwil był ogromny, ludzie przynosili, co mieli, szybko ukonstytuowały się: informacja, Paczkarnia, porady prawne, apteka. Zaczęły przyjeżdżać transporty z zagranicy. Francja była w czołówce dostawców. O tym, żeby jakikolwiek samochód, tir czy bodaj mała osobówka z zagraniczną rejestracją mógł dojechać do więzienia lub obozu dla internowanych, nie mogło być mowy, ale na szczęście my już byliśmy tą instytucją, która ładunki mogła przyjąć i potem rozesłać. Nie było telefonów, władza wyłączyła, ale byli łącznicy, potrafili błyskawicznie zapewnić fizycznych do rozładunku, wśród których potężną część stanowili zawsze profesorowie, literaci, gwiazdy filmowe, tłumacze i publicyści. Mój mąż Jacek, grafik, został skierowany do adresowania paczek.

Paczki dzieliły się na indywidualne i tzw. „total" – bardzo ważną część naszych transportów do więzień. Total był zbiorem darów, które w latach 80., w rozpadającym się systemie komunistycznym, były prawdziwymi skarbami: tu mydło, tam środek czyszczący, pomidor, aspiryna; i te skarby dostawał naczelnik więzienia do swojej dyspozycji. To była nasza wejściówka. Bo owszem, mieliśmy kościelne glejty, pozwolenia na wyjazd z Warszawy (tak! inaczej zatrzymywali na rogatkach!), ale pod bramą więzienia tylko naczelnik decydował: wpuścić czy nie.

Do transportów służyły najpierw prywatne samochody, a wkrótce potem dostawczy renault – prezent od związków zawodowych francuskich lub belgijskich, 40 lat minęło, nie wszystko mogę pamiętać. Ale księdzu Platerowi z Paryża nigdy nie zapomnę, że nie tylko przysyłał dary najróżniejsze, realizował też zamówienia na lekarstwa dla konkretnych internowanych. A Ambasadzie Francji, że była wśród zachodnich ambasad jednym z naszych najlepszych okien na świat. Przekazywała materiały od nas na Zachód i niecenzurowane wiadomości z Zachodu – nam. *Merci...* ©

ANNA RYTEL-FEDOROWICZ – *malarka, współorganizatorka Komitetu przy Piwnej, żona aktora i satyryka Jacka Fedorowicza.*

KONFERENCJA **FRANCJA–POLSKA '80: WIĘZI, ŚWIADECTWA, DZIAŁANIA**

Uniwersytet Warszawski,
10 grudnia 2021 r., godz. 11.00-17.00
stacjonarnie oraz online

PROGRAM I ZAPISY NA STRONIE **PL.AMBAFRANCE.ORG**

Więcej tekstów znajdziesz w serwisie
powszech.net/francja-i-solidarnosc

ORGANIZATORZY:

AMBASSADE DE FRANCE EN POLOGNE
Liberté Égalité Fraternité

OŚRODEK KULTURY FRANCUSKIEJ

INSTITUT FRANÇAIS Pologne

TYGODNIK POWSZECHNY

MECENASI:

Auchan · EDF · Exco A/A Polska · opinionway · RJ & PARTNERS · YAREAL

HANNA

Krall: *Cokolwiek*

Rysunek

Ma uważne oczy, włosy ufarbowane na ciemny kasztan i lekki uśmiech koło ust, uśmieszek raczej. Rysowała Amanda, jej wnuczka. Rysunek jest niedokończony, bo nie chciało jej się pozować, mimo to oprawili go w ramę. W ozdobną, ze złoceniami, jaką przy urnie się ustawia. Poza tym były kwiaty i książki – Ludlum i Thor, uwielbiała kryminały.

Były wspomnienia.

Co lubiła najbardziej.

Rozmowy lubiła. Mailem albo przez Skype'a. Przyjaciół miała na całym świecie, więc maila – pierwsza w rodzinie.

Psy lubiła. Poza owczarkami niemieckimi.

Prezentów nie lubiła, poza kolczykami z bursztynem, pod kolor oczu.

Lubiła gości. Zapraszała ich do restauracji, bo gotowanie nudziło ją.

Lubiła uczyć się, znała kilka obcych języków.

Lubiła Wisłę. Tę dawną, we Włocławku, z drewnianym mostem. Na którym siadały kormorany i suszyły skrzydła po nurkowaniu.

Nie lubiła trwonienia pieniędzy. Oszczędna była, ale dzieciom i wnukom kupowała bilety do teatru, karnety na wyciągi narciarskie oraz mieszkania.

Ukończyła politechnikę.

Wierzyła w moc edukacji.

Do pracy wychodziła o szóstej.

Nie spóźniała się.

Wiedziała, jak zginęła jej matka. W jej obecności matkę zastrzelili, ale nie powiedziała o tym swojemu ojcu.

Nie wiedziała, jak zginęła siostra matki, ciocia Ania. Ani córka cioci. Ani jej mąż, rozwiedziony zresztą, wujek Maks.

11 września zeszła z osiemdziesięciu dwóch pięter (z tysiąca ośmiuset czterech schodów) pierwszej wieży World Trade Center.

Kiedy przyjechała do Polski, pierwszy raz po czterdziestu latach, najpierw poszła do Bliklego. Usiadła w ogródku. Powiedziała: – Widziałam wspaniały film, koniecznie musisz go zobaczyć.

Był to sygnał: żadnej martyrologii, kochanie. Żadnych rzewnych opowieści.

Maestro

Zaprosił parę osób na śniadanie – do Victorii, do swojego apartamentu.

Przyszliśmy, gospodarza nie było.

Kelner zachęcał do jedzenia – nie, nie, mówiliśmy, jeszcze zaczekamy.

Gospodarz był sławnym amerykańskim kompozytorem i dyrygentem. Tak sławnym, opowiadała reżyserka, która kręciła film o nim, że nie zdarzyło się, by w Nowym Jorku zapłacił za taksówkę. Maestro, mówili kierowcy, to dla nas zaszczyt, że mogliśmy się z panem przejechać.

Przyjechał do Polski, żeby dyrygować w Filharmonii Narodowej. Koncert był w rocznicę wybuchu wojny.

Na krótko przed przyjazdem, opowiadała reżyserka, był u swojej siostry na urodzinach. Przyniósł książkę – „Shielding the Flame" (amerykański tytuł „Zdążyć przed Panem Bogiem"). Uciszył gości i zaczął na głos czytać. Czytał i czytał. Loni, mówiła siostra, to nie jest lektura na *birthday party*, daj spokój. Tak, tak, zgadzał się i czytał dalej. Trwało to czterdzieści minut, opowiadała reżyserka, z połowę książki im przeczytał.

Pewnie dlatego zaprosił mnie na śniadanie.

Przyszedł wreszcie. Przeprosił. Usprawiedliwił się – był w dawnym getcie.

Inka Świdowska towarzyszyła mu. Pokazała parę miejsc, nieźle jej znanych z przeszłości, na koniec szpital na Umschlagplatzu. W którym była lekarką. W którym podała dzieciom..., żeby nie bały się. W którym sumiennie wpisała do karty każdego dziecka, co mu podała.

Usiedliśmy przy stole.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet
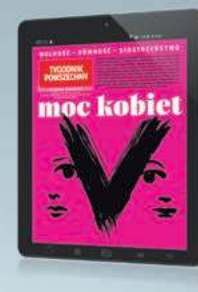

Przystąpił do rzeczy.

Chce napisać musical.

Coś jak „West Side Story”?

Nie, skąd. Właściwie nie musical, oratorium raczej, mniejsza o nazwę. Muzyka w orkiestrze ma być, na scenie mówiony teatr. Cztery obrazy, może pięć. Każdy w innym europejskim mieście, w przeddzień drugiej wojny światowej. Ludzie żyją jak dawniej, jak gdyby nigdy nic, przeczucie grozy narasta w orkiestrze.

Spytał, czy mu napiszę polską część.

Jedna Hadasa

Mógł sięgnąć po „Badenheim 1939” Aharona Appelfelda. Kurort. Spacery, plotki, romanse, zdrady. Jeśli wystrzał, to tylko zawiedziona miłość. Jak zagadkowe wagony na dworcu, to co, to stoją sobie. Ich przecież nie mogą dotyczyć.

(Naiwni byli, mówił o Żydach Appelfeld Philipowi Rothowi. Opinię mają przebiegłych spryciarzy, a z taką łatwością, z taką ufnością naiwną dali się zapędzić na śmierć).

Mogłaby ta polska część dziać się w Warszawie. Na najpiękniejszym podwórku, Wałowa sześć. Gdzie Dorka mieszkała. Po pięćdziesięciu latach będzie je wspominać z rozrzewnieniem. I Ogród Krasińskich, tuż obok. Kobiety w białych rękawiczkach nad wodą, a na wodzie łabędzie z białymi szyjami. Jakie to było przepiękne, zachwyci się Dorka po pół wieku na przedmieściach Toronto.

Na całej ulicy Wałowej jedna Hadasa miała niedobre przeczucia. Wiesz, Dorcia, co? – mówiła siostrze pierwszego września. Ta wojna zgubi Polskę. Co ty Hadasa mówisz takie rzeczy, odpowiadała Dorka. Tych eleganckich żołnierzy? Ten cudny polski język miałaby wojna zgubić?

Ewentualnie we Włocławku. Ciocia Ania miałaby oczy spuchnięte od łez, a jej matka powtarzałaby: – Czy ja ci, dziecko, nie mówiłam? Nie był to odpowiedni mąż, ale czy ty chciałaś mnie słuchać?

Byłoby dobrze dać to i owo do zrozumienia. Że Dorka będzie w Oświęcimiu. Że na Umschlagplatzu – niewierny Maks...

Maestro z pewnością znalazłby sposób, na scenie albo w orkiestrze. Albo małymi literkami w programie teatralnym.

Od śniadania w Victorii zostanie mu rok i sześć tygodni. Za mało na musical czy oratorium. Na cokolwiek. ©

Bohaterami tekstu są – Maria Hrabowska (pisałam o niej w „Synapsach Marii H.”) i Leonard Bernstein.
Amerykańska reżyserka to Ofra Bikel, autorka filmów dokumentalnych i producentka.
Inka Świdowska – Adina Blady-Szwajger – napisała książkę „I więcej nic nie pamiętam”.

Na gali Nagrody im. Andrzeja Wajdy.
Manggha, Kraków, listopad 2021 r.

DARIUSZ POPIELA PODWÓJNYM LAUREATEM!

Dariusz Popiela, inicjator projektu **„Ludzie, nie liczby”**, którego celem jest imienne upamiętnianie polskich Żydów zamieszkujących przed II wojną światową tereny Podhala, został **laureatem NAGRODY IM. ANDRZEJA WAJDY** przyznawanej przez Fundację Kyoto-Kraków za wybitną działalność w duchu solidarności społecznej oraz **laureatem NAGRODY POLIN 2021** za dbanie o pamięć o naszych żydowskich sąsiadach i upamiętnienie ponad pięciu tysięcy ofiar Zagłady.

Dariuszowi, bohaterowi produkowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu „Ukos światła” w reżyserii Wojciecha Szumowskiego, który opowiada o jego działalności, **serdecznie gratulujemy!**

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. JACEK TARAN

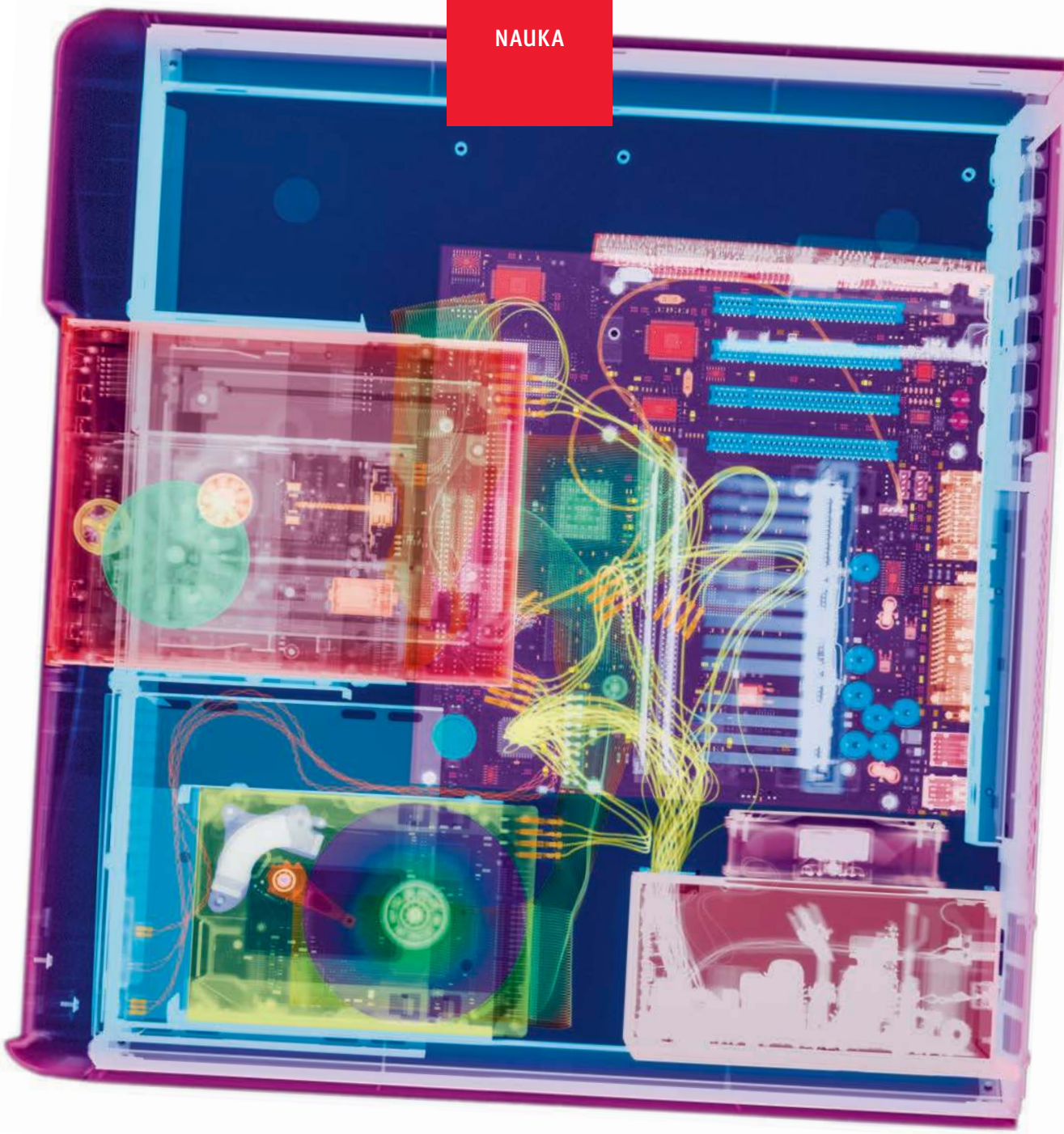

GUSTOIMAGES / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Zdjęcie rentgenowskie komputera – nie jest to zbyt dobra technika diagnostyczna w informatyce.

CIAŁO KRZEMOWE

Organizmy modelowe w biologii są różne – od myszy przez muszki owocowe po mikroskopijne pantofelki. Ale kto powiedział, że biolog nie może zbadać również komputera?

DANIEL KOZŁOWSKI

Jednym z najczęściej wykorzystywanych porównań dotyczących mózgu jest jego rzekome podobieństwo do komputera. Trudno zaprzeczyć, że oba te obiekty przetwarzają informacje. Operacje, które możemy wykonać w głowie (np. mnożenie, sortowanie nazwisk w kolejności alfabetycznej albo poszukiwanie najkrótszej drogi do celu), potrafi też często przeprowadzić komputer, i to szybciej lub dokładniej. Można więc ulec wrażeniu, że mózg to swoisty komputer powstający w bólach rodzenia ewolucji.

To wrażenie wzmacniają m.in. podobieństwa pojęciowe – badacze mózgu i komputerów zdają się mówić tym samym językiem. Komórki nerwowe kodują lub dekodują różne informacje niczym komputer, który potrafi przechowywać rozmaite dane w pamięci. W mózgu, podobnie jak na twardym dysku, mamy programy, np. motoryczne, czyli związane z układem ruchu, które dokonują obliczeń – np. tego, jak najlepiej postawić stopę, by się nie przewrócić. Nic więc dziwnego, że filozofowie i kognitywiści przyrównują często mózg do hardware'u – fizycznych komponentów komputera – a umysł do software'u, czyli programu wykonywanego na urządzeniu.

Takich porównań jednak nie możemy brać zupełnie dosłownie. Naukowcy lubią wykorzystywać metafory czy analogie jako narzędzia myślenia. Często też są one odzwierciedleniem ducha epoki. Już w XVII w. duński biolog Nicolaus Steno proponował, by mózg postrzegać jak każde inne urządzenie, które można rozłożyć na części.

Maszyny hydrauliczne, telegrafy czy telefony – do lat 50. XX w. w ten właśnie sposób uczeni widzieli pracę mózgu. Wtedy nastała era komputerów, elektronicznych urządzeń o rosnącej mocy obliczeniowej. Zaczęła się też historia współczesnych nauk o umyśle i mózgu – a ich początek zbiega się z poważnym potraktowaniem komputerowej metafory mózgu.

Mimo wielu podobieństw istnieje też ważna różnica między biologiczną i krzemową maszyną obliczeniową – pracę komputera w pełni rozumiemy, a układ nerwowy stanowi dla nas wciąż zagadkę.

Odwrócona metafora

Ktoś mógłby się obruszyć, że także w przypadku mózgu rozumiemy całkiem dużo. Wiemy, że układ nerwowy zbudowany jest z komórek o drzewiastym kształcie, a wspierają je wciąż tajemnicze i liczniejsze komórki glejowe. Wiemy, że neurony przesyłają sygnały z jednego swojego końca (drzewa dendrytycznego) do drugiego końca (aksonu) poprzez impulsy elektryczne, a gdy komunikują się z innymi komórkami, wykorzystują różne związki chemiczne (neurotransmitery). Potrafimy zlokalizować połączenia między strukturami w mózgu i przypisać niektórym z nich konkretne funkcje. Jesteśmy w stanie rejestrować aktywność elektrofizjologiczną lub chemiczną skupisk neuronów. Możemy nawet powiązać tę aktywność z konkretnymi działaniami organizmu .

Zdobyta już przez nas wiedza biologiczna czy psychologiczna wciąż jednak nie pozwala na to, na co znajomość elektroniki pozwala inżynierom – daleko nam do stworzenia w pełni funkcjonalnych sztucznych mózgów z probówki lub drukarki 3D (albo przynajmniej komputerowej symulacji działania całego tego organu). Od czasu do czasu neurobiolodzy zadają sobie zatem fundamentalne pytanie: czy kierunek, który obraliśmy, jest na pewno słuszny? Czy metody, które wykorzystujemy, umożliwiają nam faktyczne zrozumienie tak skomplikowanego systemu, jakim jest mózg?

By odpowiedzieć na to pytanie, Eric Jonas z Uniwersytetu w Chicago i Konrad Kording z Uniwersytetu Pensylwanii postanowili przyjrzeć się bliżej porównaniu mózgu i komputera – tyle że w wersji odwróconej. Przyjęli założenie, że to nie mózg jest komputerem – ale komputer mózgiem.

Wzorem neurobiologów Jonas i Kording wprowadzili więc elektrody do dwóch mikroprocesorów (MOS 6502 i MOS 6507, używanych w starych komputerach, takich jak Apple 1 i Commodore 64). Uznali, że jeśli mózg pod pewnymi względami faktycznie przypomina komputer, to metody wykorzystywane przez neurobiologów powinny dać chociaż częściowe zrozumienie tego, jak działa względnie nieskomplikowany mikroprocesor. Zaproponowali wiele analogii. W obu przypadkach mamy do czynienia z systemami złożonymi z pomniejszych jednostek obliczeniowych. Te jednostki są podzielone na swego rodzaju moduły o pewnych funkcjach i możliwościach, które mogą odtwarzać dane z pamięci i zapisywać w niej nowe informacje. O mikroprocesorze też możemy myśleć jako o układzie, którego głównym celem jest produkcja swoistego działania („zachowania"). Jego przejawy obserwujemy np. w grach komputerowych.

Tranzystory Donkey Konga

Jonas i Kording rozpoczęli od metody, w którą w ostatnich latach zainwestowano ponad miliard euro w ramach międzynarodowego Human Brain Project. Przedsięwzięcie to, zresztą krytykowane za brak fundamentalnych odkryć, ma na celu ustalenie sieci połączeń ludzkiego mózgu na różnych poziomach organizacji: od molekuł w komórkach po połączenia między neuronami i strukturami. Taką sieć nazywa się konektomem.

Cel wydaje się sensowny – jak mawiał fizyk Richard Feynman, dopóki nie wiemy, jak coś jest zbudowane, nie jesteśmy w stanie tego sami skonstruować. Jonas i Kording rozłożyli więc na części stary mikroprocesor. Potrafili nazwać wszystkie jego elementy i stworzyć wykres obrazujący to, jak są one połączone. Założyli jednak niewielką wiedzę na ich temat – wszak tę dopiero miały przynieść dokładniejsze badania nad „fizjologią" tranzystorów w mikroprocesorze. Trudno było im stwierdzić, co właściwie taki mikroprocesorowy konektom miałby im powiedzieć na tym etapie. Jak zauważyli, podobny problem stoi przed neuronaukowcami, którzy pracują nad ludzkim konektomem – wciąż brakuje nam technik niezbędnych do rekonstrukcji i identyfikacji funkcji poszczególnych neuronów czy ich pomniejszych elementów, takich jak kanały jonowe, które są podstawą aktywności elektrycznej komórek nerwowych.

Inną z popularnych technik neurobiologii jest badanie wpływu uszkodzeń (lezji) poszczególnych struktur mózgu na jego funkcjonowanie oraz zachowanie organizmu. Lezje można badać u ludzi, którzy ulegli wypadkom lub poddali się operacji usunięcia pewnych fragmentów tkanki nerwowej. Jednym z nich był Henry Molaison, słynny pacjent znany pod inicjałami HM, który cierpiał na epilepsję. W celu złagodzenia ataków usunięto mu sporą część hipokampu oraz fragmenty innych części mózgu. Ataki faktycznie złagodniały, ale miało to swoją cenę. HM nie był w stanie tworzyć nowych długotrwałych wspomnień, nawet jeśli jego pamięć krótkotrwała działała bez zarzutu i mógł przywoływać z pamięci fakty sprzed operacji. Został ↦

↦ jak gdyby zatrzymany w wiecznym „teraz". Okazał się więc interesującym obiektem badawczym dla naukowców chcących zrozumieć tajniki funkcjonowania pamięci. W badaniach z udziałem innych zwierząt możemy wywoływać takie uszkodzenia – np. z użyciem różnych substancji chemicznych. Ostatnimi czasy możemy być nawet dokładniejsi. Jesteśmy w stanie zahamować aktywność danego typu komórek nerwowych, wyróżniających się przykładowo obecnością pewnego białka, z użyciem światła (technikę tę nazywamy optogenetyką). U mniejszych organizmów, jak jednomilimetrowe nicienie, możemy też użyć lasera, by usunąć pojedyncze neurony.

Jonas i Kording usuwali więc z mikroprocesorów pojedyncze tranzystory, badając, jak wpłynie to na „behawior" komputera. Okazało się, że istnieją tranzystory, które są niezbędne, by dana gra mogła zostać uruchomiona. Ale niekoniecznie było tak dla innych gier. Można by było więc stwierdzić, że istnieją specyficzne „tranzystory »Donkey Konga«" albo „tranzystory »Najeźdźców z kosmosu«", które pełnią funkcje w działaniu tych właśnie konkretnych programów. Ale czy takie wnioski byłyby w pełni słuszne? Jonas i Kording zwrócili uwagę, że funkcją pojedynczego tranzystora nie jest w zasadzie udział w danej grze, lecz raczej realizuje on prostsze zadania – np. jest częścią pewnej bramki logicznej, dokonującej niezbędnych dla danej gry obliczeń. Samo badanie lezji nie pozwoliłoby jednak na takie konkluzje.

Zauważmy też, że lezje mikroprocesora były bardzo dokładnie określone. W przypadku naturalnych uszkodzeń mózgu nie jest to regułą. Wróćmy do pacjenta HM – obrazowanie jego mózgu w latach 90. pokazało, że trudno właściwie zidentyfikować odpowiednie struktury neuronalne i to, jak rozległe było pooperacyjne uszkodzenie, które miało był przyczyną jego deficytów pamięci. Samo badanie lezji jest więc niedokładne i może wprowadzać w błąd – bo dany łańcuch przyczynowo-skutkowy (od lezji do zaburzenia jakiejś funkcji) może być sztuczny. Np. hipokamp bierze udział w formowaniu pamięci, ale wiemy też, że jest istotny dla nawigacji przestrzennej. To po prostu my zinterpretowaliśmy pewne ograniczone dane eksperymentalne tak, że dana część mózgu wydaje się wypełniać takie, a nie inne zadania.

Filozofowie często przyrównują mózg do fizycznych komponentów komputera, a umysł do **programu wykonywanego na urządzeniu.**

Jonas i Kording skorzystali z kilku innych metod neuronauk – np. badali aktywność pojedynczych tranzystorów i całych ich zespołów (co przypomina sprawdzanie aktywności pojedynczego neuronu lub całej struktury mózgu w funkcjonalnym rezonansie magnetycznym). Testowali metody statystyczne i matematyczne, które mają pomagać w znalezieniu różnych czynników ważnych dla mózgu – takich, które mózg wykorzystuje podczas przetwarzania informacji. Choć te metody stosuje się w neurobiologii, są one często zaczerpnięte z innych gałęzi nauki i techniki. Wydaje się więc zasadne, by wypróbować je w mikroprocesorze – wiemy przecież znacznie więcej o różnych zależnościach przyczynowo-skutkowych między jego fizycznymi elementami i zmiennymi, o które dbają inżynierowie. Niestety, wiele wyników trudno było zinterpretować, a niektóre prowadziły wręcz do fałszywych wniosków na temat procesora.

Ślepe zaułki

Co więc te badania mówią nam o zrozumieniu układu nerwowego z wykorzystaniem tych samych technik? Wnioski Jonasa i Kordinga nie są zbyt optymistyczne, ale nie jest to jeszcze powód do utraty wiary w neurobiologię – z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że eksperyment miał poważne ograniczenia. Opierał się przecież na analogii, której zasadność można podważać. Po drugie – nasze oceny i prognozy zależą od przyjmowanej perspektywy. A ona w dużej mierze zależy od tego, czy pamiętamy, jak działa nauka.

W artykule z 2002 r., który zainspirował Jonasa i Kordinga do tych na pół poważnych, na pół żartobliwych eksperymentów, badacz komórek rakowych Yuri Lazebnik opisywał, jak rozwijają się nowe dziedziny biologii. Wszystko rozpoczyna się od dziwactw niektórych naukowców, którzy rozważają trudne zagadnienia, zadając na pozór głupie pytania (Czy komórki popełniają samobójstwo? Czy muszki owocowe mogą się uczyć? Czy neuron może działać jak kabel telegraficzny?). Potem przychodzą świeże i ekscytujące odkrycia, które uświadamiają badaczom, że „da się" – obecnie stosowane metody mogą służyć do wyjaśnienia wcześniej niezrozumiałych problemów. Następuje eksplozja publikacji na dany temat. Wydaje się, że wszystko zmierza ku zrozumieniu zagadnienia. Jednak w pewnym momencie tempo zwalnia. Eksperymenty dają sprzeczne wyniki. Badacze nie wiedzą, jak je interpretować. Zastanawiają się, w którą stronę podążyć. Danych jest wiele, lecz brakuje metod, by je zrozumieć.

Prawdopodobnie właśnie na tym etapie moglibyśmy umiejscowić współczesną neurobiologię – dziedzinę, która wprawdzie jest dość młoda, ale okres największej ekscytacji jej wynikami prawdopodobnie nastąpił kilkanaście-kilkadziesiąt lat temu. Zamieszanie wokół Human Brain Project, w którym kilka lat temu doszło do częściowej wymiany liderów, też jest jakimś tego wyrazem. Idąc za tokiem rozumowania Lazebnika, w tym momencie powinniśmy skupić się na rozwijaniu nowych metod – eksperymentalnych i teoretycznych – które umożliwią dalszy rozwój. Już teraz stawiamy pierwsze kroki. Jest coraz więcej osób skupiających się na metodologii neuronauk – na tym, jak neurobiologia i dziedziny pokrewne są tworzone i co właściwie jest ich przedmiotem zainteresowania. Inni rozwijają nowe technologie i zbierają dane, które być może pomogą przyszłym generacjom naukowców.

Bo tak to już jest w nauce i tego uczy nas historia. Są momenty radości i ekscytacji, ale też chwile, gdy mrużymy oczy i nie możemy wyjść z konfuzji. Jak wspominał Lazebnik, należy nauczyć się z tym żyć i przyjąć odpowiednią perspektywę. Mózg skrywa przed nami wiele tajemnic – niektórzy uważają, że to najbardziej skomplikowany obiekt we wszechświecie. Inni zastanawiają się, czy w zasadzie mózg może zrozumieć sam siebie. Albo czy do zrozumienia jednego mózgu wystarczą miliony współpracujących umysłów. Nie wiemy tego wszystkiego – ale chyba właśnie ta niewiadoma powinna być najbardziej ekscytująca.

© DANIEL KOZŁOWSKI

JENNY EVANS / GETTY IMAGES

Protest klimatyczny w Sydney. Grudzień 2019 r.

Duży dym, małe dzieci

BARTOSZ KABAŁA

Zanieczyszczenie powietrza drobnymi pyłami wywiera negatywny wpływ na zdrowie już w okresie płodowym – przyczynia się do spadku wagi noworodków.

W sierpniu tego roku zaobserwowano 28 tys. pożarów w brazylijskiej części Puszczy Amazońskiej. To wprawdzie 4 proc. mniej niż w roku ubiegłym, ale trzeba pamiętać, że 2020 był rokiem z największą liczbą pożarów od dekady, a utracone lasy i ekosystemy trudno odzyskać, m.in. przez przemysłową działalność człowieka na wypalonych terenach. Co roku pożary nawiedzają również australijski busz, gdzie od czerwca 2019 do maja 2020 r. ogień zagarnął 18 mln hektarów, czyli obszar o powierzchni ponad połowy Polski. Żywioł niszczy przyrodę również w Europie i Azji. Wielkie pożary wybuchające w ostatnich latach na całym świecie stają się odczuwalnym i bardzo niepokojącym objawem zmian klimatu i nękających niektóre obszary Ziemi susz.

Ale problem nie dotyczy wyłącznie środowiska naturalnego i cennych ekosystemów. Dym, który powstaje w wyniku spalania lasów i traw, staje się istotnym zagrożeniem także z punktu widzenia zdrowia publicznego. Poza gazami, jak tlenek i dwutlenek węgla, tlenki azotu oraz metan, pożary są źródłem ogromnych ilości pyłu, czyli drobin substancji stałych tworzących atmosferyczne aerozole. Rozróżnia się je pod względem wielkości cząstki na PM10 (cząstki stałe o wielkości poniżej 10 mikrometrów) i PM2,5 (mniejsze niż 2,5 mikrometra). Te większe osadzają się w płucach i działają miejscowo, wywołując przeważnie choroby układu oddechowego, np. astmę, ale niektóre PM2,5 są na tyle małe, że wdychane przedostają się bezpośrednio z płuc do naczyń krwionośnych i penetrują cały organizm.

Cząstki te są również groźnym elementem smogu i zanieczyszczonego powietrza w miastach, gdzie oddziałują na mieszkańców przewlekle. Zapylenie związane z płonącymi lasami i trawami, choć trwa krócej, jest o wiele bardziej intensywne – stężenia PM2,5 mogą osiągać nawet kilka tysięcy mikrogramów na metr sześcienny powietrza (według najnowszych zaleceń Światowej Organizacji Zdrowia średnia dobowa nie powinna przekraczać 15 mikrogramów na metr sześcienny). Związek zadymienia i zapylenia wdychanego powietrza z częstszym występowaniem niektórych chorób serca i płuc został dobrze udokumentowany.

Pył dostający się do dróg oddechowych wywołuje miejscową reakcję zapalną, a to zaburza również miejscowy przepływ krwi i zwiększa ogólne ryzyko zakrzepów. Zmiany te mogą wywoływać zaostrzenia chorób przewlekłych oraz sprzyjać pojawieniu się nowych, np. infekcyjnych. Statystycy z Uniwersytetu Harvarda w pracy z sierpnia tego roku szacują, że pożary lasów na Zachodnim Wybrzeżu USA w 2020 r. i uwolnione wówczas pyły PM2,5 związane są z dodatkowymi 19 tys. przypadków COVID-19.

To zjawisko dotyczy nie tylko osób starszych i obciążonych. Najnowsze doniesienia dowodzą, że nasilające się pożary terenów zielonych w znacznym stopniu wpływają na dzieci już w okresie życia płodowego.

Badania naukowców z chińskiego Instytutu Rozrodczości i Zdrowia Dziecka pod kierunkiem profesora Tao Xue pokazują, że w krajach rozwijających się znaczne zapylenie związane z pożarami skutkuje zmniejszoną masą urodzeniową dzieci wydanych na świat przez matki narażone na dym. Analiza objęła prawie 230 tys. noworodków w latach 2000-2014. Do badania zaangażowano kobiety, które urodziły przynajmniej dwoje dzieci. Porównanie noworodków urodzonych w różnym czasie przez te same matki pozwoliło częściowo wyeliminować czynniki osobnicze, takie jak dieta, zamożność, inne narażenia oraz czynniki genetyczne. Okazuje się, że każdy mikrogram pyłu PM2,5 na metr sześcienny powietrza, pochodzący z pożarów obszarów zielonych, jest związany ze spadkiem urodzeniowej masy ciała o 2,17 g oraz podnosi ryzyko wystąpienia bardzo niskiej masy urodzeniowej (poniżej 1500 g) aż o 11 proc.

Tak niska masa urodzeniowa niesie ryzyko groźnych powikłań dla noworodka, w tym częstsze infekcje, problemy neurologiczne i choroby układu oddechowego, a także większe ryzyko chorób w życiu dorosłym. Co więcej, badanie nie bierze pod uwagę czasu trwania ciąży, który, jeśli jest skrócony, również może skutkować niską masą ciała noworodka. Wówczas problemem staje się także niedojrzałość płodu.

Ci sami autorzy w innej opublikowanej w tym roku pracy dowodzą, że zanieczyszczenie powietrza pyłami wpływa na zdrowie dzieci również w dalszych latach życia. Wzrost zanieczyszczenia powietrza PM2,5 o jeden mikrogram na metr sześcienny zwiększa ryzyko zgonu wśród dzieci o 2,31 proc. Jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia, już dziś ponad 93 proc. dzieci na co dzień oddycha powietrzem przekraczającym dozwolone wartości PM2,5. W obliczu rekordowych pożarów i zmian klimatycznych dane te wydają się jeszcze bardziej niepokojące. ©

DOMINIKA BEDNARCZYK
(ur. 1972) jest aktorką, absolwentką krakowskiej PWST. Od 1996 r. pracuje w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

JEJ IMIĘ

DOMINIKA BEDNARCZYK, AKTORKA:

W pewnym momencie Konrad mówi: „Ja kocham cały naród". To zdanie nie mogło mi przejść przez usta. Dojrzewałam do niego trzy miesiące. Tak wielki był we mnie poziom gniewu – konsekwencji bezradności.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Konrad odebrał Ci głos?

DOMINIKA BEDNARCZYK: Na trzeciej – już z publicznością – próbie generalnej „Dziadów" podest, na którym wyjeżdżamy z zapadni, przejechał wyznaczoną linię uszkadzając lożę po lewej stronie widowni. Generalna została przerwana na 45 minut. I ta nagła przerwa odebrała mi mobilizację ciała, głosu, umysłu – wszystko się nagle ulotniło.

Zmęczenie było ogromne, więc wysiłek, jaki włożyłam w ponowną koncentrację, zaowocował stopniowym zanikiem głosu. W efekcie czego musiałam wziąć zastrzyki sterydowe. Oraz poddać się masażowi strun, polegającym na wyśpiewaniu odpowiednich dźwięków.

Kiedyś już straciłaś głos?

Nie. Dotąd nie sprawdzałam aż tak głęboko swoich granic emocjonalno-psychicznych i fizycznych. Może poza chrztem aktorskim, którym był monodram „Jordan" w reżyserii Mai Kleczewskiej. Grałam postać Shirley – dzieciobójczyni. Miałam 27 lat. Nie byłam jeszcze mamą, dlatego pozwalałam sobie na spore eksperymenty na własnej psychice.

Z Mają pojechałyśmy do więzienia w Ruszczy w Nowej Hucie. Poznałam tam m.in. wykształconą babkę, z klasą. Rozmawiałyśmy o tym, jak niewiele potrzeba, by przekroczyć próg tego miejsca. Chciałam usłyszeć język osadzonych, poznać żargon i zrozumieć, co znaczy być najniżej w więziennej hierarchi, zarezerwowanej właśnie dla dzieciobójczyń.

A przed każdym spektaklem – w sumie ze sto razy – oglądałam „Przełamując fale" Larsa von Triera. Droga Bess jest w pewnym sensie moją drogą w „Jordan". Chyba udało mi się stworzyć postać ważną, choć kosztem ciała i emocji.

Nie chroniłaś siebie?

Sięgnęłam za głęboko i ostatnie dni przed premierą były jak przestrzeń bez tlenu. Dziś już wiem, co robić w momencie, kiedy odbywam intymną podróż kreując postać – bolesną, wiwisekcyjną, bezlitosną wobec siebie samej, a także rzeczywistości, która mnie otacza. To zdarzyło się też przy pracy nad Konradem. Cała sztuka polega na tym, by z teatru wrócić do domu i pójść z dwójką moich psiaków w totalną ulewę na spacer ulicą Starowolską, gdzie są tak cholerne dziury, że natychmiast masz mokry tyłek. To stawia do pionu. Nie popadam już w stany depresyjno-lękowe, towarzyszące mi dwadzieścia lat temu.

I gdyby nie praca nad postacią Shirley, nie byłoby dzisiaj Konrada.

Kiedy nabrałaś tej odporności?

Szesnaście lat temu, z chwilą narodzin Kai. Ona w naturalny sposób wymogła moją stuprocentową obecność po zakończonym spektaklu. Więcej – jej istnienie spowodowało, że przestało mi się chcieć pracować. Miałam 33 lata i uznałam, że nagrałam się już fantastycznych postaci – Kławdia Chauchat w „Czarodziejskiej górze", Agłaja w „Idiocie", Jenny w „Operze za trzy grosze" i dość. Choć w ciąży deklarowałam gotowość powrotu na scenę, jak tylko córeczka skończy dwa miesiące. A tu się okazuje, że spełniam się właśnie w macierzyństwie.

Z trwogą czytałam wywiady z koleżankami, w których mówiły euforycznie, że rozkwitły jako aktorki dopiero gdy zostały matkami. Myślałam: może miłość do dziecka jest tak totalna, że mi zabrała drugą miłość do teatru? To poczucie towarzyszyło mi mniej więcej do trzeciego roku życia Kai, czyli do momentu jej pójścia do przedszkola. I właśnie wtedy pojawiła się Iwona Kempa z propozycją roli w „Rozmowach poufnych" Bergmana. Postać Anny rzuciła mi pomost powrotny do zawodu. Ale już w innej kondycji.

Jakiej?

Okazało się, że mogę być i mamą, i aktorką, że umiem godzić te dwie role. Iwona była świetnie przygotowana do prób, wiedziała, że musimy zmieścić się w kilku godzinach. Spotykałyśmy się od wtorku do piątku i okazało się, że z młodą matką w dwa miesiące można zrobić ważny spektakl.

↦

Dominika Bednarczyk jako Konrad w „Dziadach" Mai Kleczewskiej, Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, 18 listopada 2021 r.

BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

↦ **„Rozmowy poufne" to kameralny rodzinny dramat. A „Dziady" mają narodowy rozmach, w tle jest wielka historia. Powstały legendarne inscenizacje – Kazimierza Dejmka i Konrada Swinarskiego. Jest też „Lawa" Konwickiego, w którym Wielką Improwizację mówi Gustaw Holoubek.**

Podziwiam te inscenizacje i film, namiętnie i z drżeniem serca patrzyłam na Konrada w wykonaniu Gustawa Holoubka i Jerzego Treli. I przeszedł mnie dreszcz przerażenia, kiedy Majka Kleczewska, kompletując obsadę, powiedziała: „Chciałabym, by Konrad był kobietą".

Czym byłaś przerażona?

Jak ogarnąć Konrada? Czy faktycznie może być kobietą? Nie miałam wtedy pojęcia. A potem zaczęła się praca, myślenie, szukanie rozwiązań. Od całego zespołu dostałam wsparcie. To takie istotne – pewnie byłoby mi trudno, gdybym była aktorem między 30. a 50. rokiem życia, który dowiaduje się na próbie, że koleżanka gra Konrada. Zresztą koleżanki i koledzy mówili otwarcie, że mają wątpliwości, czy to dobry pomysł. Czyli myśleli to samo, co ja.

Do czasu, kiedy na pierwszej próbie przeczytałam Improwizację z żeńskimi końcówkami. I usłyszałam, jak ogromny tkwi w tym potencjał. Wiedziałam, że będę potrzebować zaplecza intelektualnego, studiowałam książki Marii Janion. Coraz bardziej pojmowałam jej pesymizm egzystencjalny. I wlałam go w postać Konrada – przekonanie, że warto ten staczający się ze szczytu głaz każdego ranka na nowo pchać w górę. Nie poddawać się – bierność równa się duchowej śmierci. Jakoś to do mnie dotarło. Im głębiej wnikałam w Konrada, tym bardziej poszerzały się kręgi dotykalnej rzeczywistości, a w nich pojawiały się inne postaci, w tym Marian Turski.

Dlaczego były więzień Auschwitz?

W trakcie pracy nad postacią Konrada wkroczyły do naszych domów obrazy z granicy polsko-białoruskiej – patrzymy na nie bezradnie już czwarty miesiąc. Uznałam, że ta dramatyczna sytuacja powinna odbić się w zdaniu: „Jeśli w milijon ludzi krzyczących »ratunku!« / Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku"... Turski na uroczystościach z okazji 75. rocznicy wyzwolenia obozu apelował: „Nie bądźcie obojętni". Mówił, że Auschwitz nie spadło z nieba, tylko dreptało małymi kroczkami, aż w końcu nieuchronnie nadeszło.

Kto jeszcze Cię inspirował?

Piotr Szczęsny. W pozostawionym po sobie liście uzasadniał swój tragiczny wybór. W punkcie jedenastym napisał, że protestuje przeciwko wrogiemu stosunkowi władzy do imigrantów, przeciw dyskryminacji grup mniejszościowych – kobiet, osób homoseksualnych, innych z LGBT, muzułmanów. Wydrukowałam ten list Piotra i powiesiłam w garderobie. Czytam go przed każdym spektaklem.

A Martin Luther King?

Dla mnie jest objawieniem. To, w jaki sposób czerpał siły z Boga do bycia prorokiem narodu, gdzie bliźni stają się wartością nadrzędną. Przed każdym spektaklem piszę na ręce: „I Have a Dream".

W oryginalnej scenie więziennej „Dziadów" mężczyźni dyskutują o losie Polski. W wersji Kleczewskiej są to uwięzione kobiety – jedne za kraty trafiły prosto z ulicznego protestu, inne to „kryminalistki", broniące się przed przemocowym partnerem. Śpiewają: „z Bogiem i choćby mimo Boga!".

Gdy przez Polskę przetaczała się fala protestów, chora na covid odbywałam w domu kwarantannę. I z córką przylepione byłyśmy do ekranu telewizora. Wirtualnie wmieszałyśmy się w tłum, wyrażając swój gniew, ból, żal.

Jestem wdzięczna losowi, że nigdy nie postawił mnie w sytuacji, w której zmuszona byłabym podjąć decyzję o aborcji. Lecz nie ośmieliłabym się mówić kobiecie, jakich powinna dokonywać wyborów. I nie chcę, by system polityczny czy religijny miał decydować o tym, czy będę musiała rodzić niepełnosprawne dziecko.

Budując postać Konrada, miałam w oczach obrazy z 40-dniowych protestów matek i opiekunów ludzi niepełnosprawnych – upokarzanych, wyrzuconych z Sejmu. Za dwa lata ten sam Sejm decyduje, że kobieta musi rodzić niepełnosprawne dziecko. A miesiąc temu pani Iza w 22. tygodniu ciąży umarła w szpitalu w Pszczynie – lekarze nie ratowali jej życia, czekali na obumarcie dziecka.

Maria Janion w 2016 r. w liście na Kongres Kultury napisała, że mesjanizm, zwłaszcza jego wersja państwowo-klerykalna, prowadzi Polskę do zguby.

Jestem osobą wierzącą, wychowaną w Przystani – wspólnocie krakowskich dominikanów. Dane mi było poznać mądrych i charyzmatycznych duchownych. Ogromnie ważną w moim życiu osobą był i jest nieżyjący ojciec Stanisław Musiał. Jezuita o wielkim umyśle, równie wielkim sercu i nieskończonej empatii. Chrześcijanin z prawdziwego zdarzenia.

A Twoje miejsce w dzisiejszej wspólnocie katolickiej?

Czuję się katolikiem bezpaństwowcem – nie widzę swojego miejsca w Kościele, instytucji, która występuje przeciwko dobru człowieka. To ogromny obszar mojej rozpaczy – ja potrzebuję wspólnoty.

Pierwsza scena „Dziadów" zaczyna się od zwołania przez Guślarza obrzędu, na który przybywa cała Polska. Postaci mijają się zasklepione w swoich światach i racjach.

W pewnym momencie Konrad mówi: „Ja kocham cały naród!". Długo to zdanie nie chciało mi przejść przez usta. Dojrzewałam do tego trzy miesiące – taki był we mnie poziom wściekłości, która jest straszną konsekwencją bezradności. Jednocześnie myślałam: przecież zaczynam mieć w sobie taką samą agresję, jaka zionie od narodowców.

Wszyscy możemy się zobaczyć w tej zbiorowej scenie?

Karmimy się konfliktem, on napędza działanie. Ale narodowa wyporność osiągnęła apogeum, eskalująca nienawiść zatruwa nas wszystkich. Za humanitarną postawę Macieja Stuhra wobec ludzi tkwiących na granicy polsko-białoruskiej ktoś na Rakowicach pisze na rodzinnym grobie Stuhrów: „morderca Polaków". Na grobie?! Nie ma świętości.

Twój Konrad to wie?

Chciałabym Konradowi pozwolić wznieść się ponad podziały, jakkolwiek by to teraz banalnie i absurdalnie brzmiało. Kiedy wypowiadam słowa: „Ja kocham cały naród", muszę – po prostu muszę – tym zdaniem objąć wszystkich. I jednocześnie pomyśleć, że już dziś wszyscy jesteśmy zaczadzeni, tkwimy w pułapce.

Barbara Nowak, kurator małopolska, odradza szkolne wyjścia na „Dziady". W jej ocenie „haniebne jest używanie dzieła wieszcza dla celów politycznej walki współczesnej opozycji antyrządowej z polską racją stanu". Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego, choć nie widział spektaklu, twierdzi, że „niepokoją go działania, które są kontrowersyjne w sztuce i przekraczają granice akceptowalnej kontrowersji".

Sama sobie stawiam nieustannie pytanie: jakie jest remedium na podziały? I czy ono w ogóle istnieje? Co się musi stać, by skończyć karnawał nienawiści? Konrad w spektaklu Kleczewskiej rozpaczliwie szuka na te kwestie odpowiedzi. Z tego też powodu wchodzi w rzeczywistość swojego snu – ma nadzieję, że w nim znajdzie rozwiązanie, że odpowiedź kryje się w podświadomości. A podświadomość proponuje jedno słowo: „miłość". Świat, w którym ludzie staną się prawdziwą wspólnotą. Utopia?

Utopia. Jak ten sen Martina Luthera Kinga.

I brak narzędzi do jej realizacji. Wiesz, ja przed premierą... A nie, nie będę mówić, to zbyt prywatne.

Proszę.

Poszłam na Wawel i przy grobowcu Mickiewicza powiedziałam całą Improwizację. Drugi raz poszłam tam po premierze, by mu podziękować.

Za co?

Za obecność. I za to, że Konrad mógł zmienić płeć.

Jak to jest?

Nie mam makijażu, gram w swoich spodniach. Wyglądam zwyczajnie.

Świadomie zrezygnowałam z podkreślania kobiecości. Jako Konrad poruszam się o kulach – Janina Ochojska jest inspiracją, bo Konrad jest też hołdem dla niej.

Dla kogo jeszcze?

Dla tych wszystkich, którzy działają, dla aktywistów organizujących pomoc humanitarną, pamiętających, że najważniejsze jest człowieczeństwo, a nie polityczne przekonania. 11 listopada razem z moją przyjaciółką Małgosią Zawadzką poszłyśmy pod halę krakowskiego Sokoła witać prezesa Kaczyńskiego – mając w sercu Izę z Pszczyny i te wszystkie sprawy, o których teraz rozmawiamy. Był wieczór, mało ludzi, na przodzie stały dwie dziewczyny ze Strajku Kobiet, z megafonami. Emanowała z nich niebywała odwaga, spokój i siła. Powtarzały: „Ani jednej więcej" i „Nikt nie zasługuje na śmierć w lesie". Z przejęciem patrzyłam na te dwie osoby niosące na swoich barkach ważkie sprawy i dające zaczyn do działania. A za nimi stoją takie dziewczyny, jak moja mądra i nieustraszona córka.

> Budując postać Konrada, **miałam w oczach obrazy z protestów matek i opiekunów ludzi niepełnosprawnych** – upokarzanych, wyrzuconych z Sejmu. Za dwa lata ten sam Sejm zadecyduje, że kobieta musi rodzić niepełnosprawne dziecko.

Wierzysz w to?

Kobiety są niesamowite – mimo bezdennej rozpaczy, niebotycznego lęku matek o córki, babć o wnuczki – o ich zdrowie, o to, że są im ograniczane podstawowe prawa – nie popadają w bezczynność. Fala kobiecego buntu jest nie do zatrzymania – politycy i kościelni hierarchowie na pewno czują trwogę. Rewelacyjnym pomysłem jest to, że Kleczewska scenę więzienną uczyniła przestrzenią kobiet. Co przedstawienie walczę ze sobą, by się nie rozryczeć, kiedy Dorota Godzic śpiewa: „Nim uwierzę, że nam sprzyja / Jezus Maryja". Tak, chcę wierzyć, że wkrótce kobiety zmienią porządek rzeczywistości.

A kobiety ważne w Twoim życiu?

Maria Puchała – kobieta, która nas poznała. Twoja polonistka z podstawówki, a moja ciotka i matka chrzestna. Jak ważna była w moim życiu, doceniłam po jej przedwczesnej śmierci. Maja zdążyła mnie zobaczyć w spektaklu dyplomowym „Płatonow wiśniowy i oliwkowy", reżyserowanym przez Krystiana Lupę. Wcześniej byłam za głupia, za młoda, za krnąbrna i dawałam jej w tyłek – miała mnie słusznie dość. A ja miałam dość jej – spędzałam z nią przecież wszystkie wakacje. Ja – jedynaczka, ona – stara panna. Działałyśmy na siebie jak płachta na byka. A potem uświadomiłam sobie, że to Majka przecież zaprowadziła mnie do opery i teatru. To ona zaszczepiła we mnie miłość do kina. To dzięki niej jako dziesięciolatka zobaczyłam Marlona Brando z Deanem Martinem i Vivien Leigh z Clarkiem Gable'em, albo Elizabeth Taylor z Richardem Burtonem.

Maja bardzo wspierała moje aktorskie zapędy, które u innych dorosłych wywoływały same praktyczne pytania: „Gdzie będziesz grać? Jak się znajdziesz w środowisku? Za co będziesz żyć?". Jej to nie obchodziło.

Mnie mówiła, że boi się o Ciebie, że aktorstwo to ciężki zawód dla kobiety.

Nigdy mi tego powiedziała. I wiedziałam, że jest dumna ze scenicznego debiutu, kiedy w 1992 r. wygrałam casting na rolę szekspirowskiej Julii.

Kto Cię teraz wspomagał?

Kiedy pracuję nad rolą, znikam na dwa miesiące – nie odbieram telefonów, nie odpisuję na SMS-y, nie spotykam się. Tak też się działo w przypadku Konrada. Przyjaciółki dają mi czułość. Zresztą to słowo pada w Improwizacji.

A Maja Kleczewska?

Nie pracowałyśmy od premiery „Noży w kurach" w 2002 r. Tamto spotkanie podzieliło nas i rozdzieliło na długo. Od tego czasu jako aktorka przeszłam jednak intensywny kurs pokory... Wcześniej, kiedy nie spodobała mi się reżyserska propozycja, radykalnie odmawiałam. Dziś, nawet gdy nie zgadzam się z wizją reżysera, wykonuję zadanie – staram się, próbuję.

Na nowo pokochałam Maję Kleczewską teraz, przy „Dziadach". Dała mi wolność. Była wymagająca, ale jednocześnie czuła, hojna i mądra. Wielka klasa w pracy.

Wierzysz w sen Konrada, w to, że świat może ocalić miłość?

Wiem, że dobro nie pokona zła, ale zawsze warto o nie walczyć. I za tym stoi miłość. Tu się otwiera skrawek nieba.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Nie palcie muzeów, zakładajcie własne

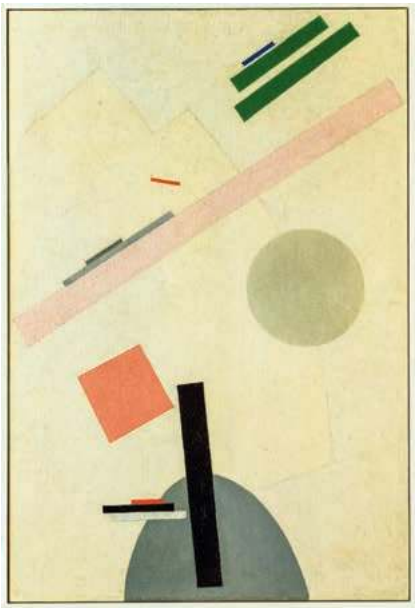

MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR KOSIEWSKI

Dawno w Polsce nie oglądaliśmy tak ważnego i reprezentatywnego wyboru twórczości awangardowej pierwszych dekad XX wieku. Ale nie o dzieła przede wszystkim tu chodzi.

Po co nam te muzea? Już w połowie XIX wieku Edmond Duranty, wybitny francuski krytyk, wspierający swym piórem realistów i impresjonistów, wzywał do spalenia Luwru. W XX wieku zniszczenia bibliotek i muzeów domagał się przywódca włoskich futurystów Filippo Tommaso Marinetti. A niemiecki filozof i socjolog Theodor W. Adorno zwracał uwagę, że „Muzeum i mauzoleum łączy nie tylko skojarzenie fonetyczne. Muzea są jak rodzinne groby dzieł sztuki".

„Trzeba rozprawić się z tym, co stare – i pochować na cmentarzu na zawsze, zeskrobać ze swojej twarzy wszelkie do niego podobieństwo" – wzywał w 1919 r. Kazimierz Malewicz. Jednak Malewicz nie chciał likwidacji muzeów, lecz ich wymyślenia na nowo i sprawienia, by stały się instytucjami dostosowanymi do zmian, jakie zachodziły w sztuce w pierwszych dekadach XX wieku. Teraz zmiany też zachodzą.

Inne miejsca

Na wystawie „Awangardowe muzeum" w Muzeum Sztuki w Łodzi znalazły się dzieła wypożyczone z najważniejszych europejskich i amerykańskich muzeów: od Pabla Picassa, Natalii Gonczarowej i Wassila Kandinskiego, przez Marcela Duchampa i Pieta Mondriana, Kazimierza Malewicza i Aleksandra Rodczenkę, po Katarzynę Kobro, Sophie Taeuber-Arp i Władysława Strzemińskiego. Imponująca konstelacja. Jednak to nie nazwiska są na tej wystawie najważniejsze, lecz przypomnienie inicjatyw, które zmieniły myślenie o muzeach i ich zadaniach. Czemu mają służyć dziś, w jaki sposób mogą reagować na rzeczywistość?

Wystawę poświęcono czterem awangardowym inicjatywom z lat 1919-1929. To, co się wówczas wydarzyło, znacząco wpłynęło na sposób działania dzisiejszych muzeów, zwłaszcza tych poświęconych sztuce współczesnej.

W porewolucyjnej Rosji awangardziści, wspierani przez komunistów, którzy zdobyli władzę, uzyskali możliwość kształtowania na nowo życia artystycznego w kraju. Powstała koncepcja Muzeów Kultury Artystycznej, które miałyby popularyzować twórczość opartą na eksperymencie. Chciano stworzyć instytucje łączące funkcje edukacyjne i badawcze. Nie tylko gromadzące i wystawiające dzieła sztuki, ale także będące laboratoriami pracy artystycznej. Od 1919 r. zamysł zaczęto wprowadzać w życie. Utworzono Państwowy Fundusz Muzealny, który zakupił blisko 2 tysiące dzieł 143 ar-

ANNA ZAGRODZKA / MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR TOMCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

MARK HEATHCOTE / MATERIAŁY PRASOWE

Od lewej:
Kazimierz Malewicz „Obraz suprematystyczny", 1916-17, olej na płótnie, dzięki uprzejmości Museum of Modern Art w Nowym Jorku

Władysław Strzemiński, Sala Neoplastyczna, widok współczesny, Muzeum Sztuki w Łodzi, 2020 r.

Katarzyna Kobro „Kompozycja przestrzenna (3)", 1928, stal, farby olejne, kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi

Pablo Picasso „Butelka Vieux Marc, kieliszek, gitara i gazeta", 1913, papier drukowany i farba drukarska na papierze, dzięki uprzejmości Tate Modern w Londynie

tystów. Część z nich rozdzielono między istniejące już lokalne muzea oraz szkoły artystyczne. W ten sposób współczesna sztuka trafiła także do mniejszych, prowincjonalnych ośrodków.

A w 1920 r. otwarto w Moskwie Muzeum Kultury Malarskiej. Jego dyrektorem został Aleksandr Rodczenko. Z instytucji dokumentującej przeszłość sztuki muzeum miało zmienić się w zasób „żywych form" zdolnych inspirować dalszy jej rozwój.

W tym samym roku w Nowym Jorku powstaje Société Anonyme, stowarzyszenie założone przez działaczkę społeczną, malarkę i kolekcjonerkę Katherine S. Dreier oraz artystów Marcela Duchampa i Mana Raya. Za swój cel przyjęli popularyzację sztuki nowoczesnej, ale także stworzenie kolekcji, która miała zapoczątkować powstanie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Société Anonyme przyczyniło się do upowszechnienia w Stanach Zjednoczonych awangardowych poszukiwań, a jego największym sukcesem była zorganizowana w 1926 r. Międzynarodowa Wystawa Sztuki Nowoczesnej w nowojorskim Brooklyn Museum. Odwiedziło ją ponad 50 tys. osób – był to największy pokaz sztuki nowoczesnej w USA od czasu legendarnej Armory Show w 1913 r.

Na wystawie Société Anonyme po raz pierwszy pokazano „Wielką szybę (Panna młoda rozebrana przez swych kawalerów, jednak)" Marcela Duchampa, jedno z najsłynniejszych dzieł w dziejach sztuki XX wieku. Prace artystów wystawiono obok mebli typowych dla wnętrz mieszkalnych klasy średniej, wypożyczonych z pobliskiego znanego domu handlowego Abraham&Straus. Jadalnia, salon, gabinet, sypialnia miały przekonać zwiedzających, że sztuka nowoczesna może stać się częścią życia codziennego.

Z kolei w 1927 r. w hanowerskim Provinzialmuseum otwarto Gabinet Abstrakcji. Jego stworzenie było częścią nowej stałej ekspozycji zbiorów przygotowanej przez kierującego muzeum Alexandra Dornera. Powstał ciąg „sal nastrojowych", w których kolorystyka ścian, oświetlenie oraz samo rozmieszczenie dzieł przywoływały klimat kolejnych epok artystycznych. Dorner pragnął, by elementem odbioru dzieł, obok intelektu, stawały się emocje i zmysły.

El Lissitzky, którego poproszono o zaprojektowanie Gabinetu Abstrakcji – dopełnił ten pomysł. Wprowadził do sali przesuwane panele, na których znalazła się część prac. Widz poruszając nimi, odsłaniając lub zasłaniając dzieła, tworzył dla siebie ekspozycję. Ściany zaś wyłożono specjalnymi, pomalowanymi listwami. To rozwiązanie powodowało, że wraz z każdym krokiem widza zmieniała się kolorystyka ścian, a tym samym odbiór zamieszczonych na nich prac. Odbiór sztuki stawał się dynamiczny, a sama ekspozycja przestawała przypominać, jak pisał Lissitzky, „ogród zoologiczny, w którym na zwiedzających ryczy jednocześnie tysiąc różnych bestii". ↦

CHRISTOPHER MIR / MATERIAŁY PRASOWE

Katherine S. Dreier „Dwa światy", 1930, olej na płótnie, dzięki uprzejmości Yale University Art Gallery w New Haven

↦ Dwa lata później z inicjatywy Władysława Strzemińskiego powstaje grupa artystyczna a.r. Tworzy ona Międzynarodową Kolekcję Sztuki Nowoczesnej, która w 1931 r. zostaje wystawiona w Miejskim Muzeum Historii i Sztuki im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów w Łodzi. Członkom a.r. udaje się pozyskać wyjątkowy zbiór prac wielu polskich i europejskich artystów. W Łodzi znalazły się dzieła m.in. Jeana Arpa, Alexandra Caldera, Sonii Delaunay, Maxa Ernsta i Fernanda Légera. Tym samym udało się stworzyć pierwszą w kraju muzealną kolekcję sztuki nowoczesnej i – jak był przekonany Strzemiński – uzyskać możliwość wpływu na jej odbiór społeczny, bo, jak pisał, nie wystarczy „zrobić dzieło sztuki. (...) Należy wytworzyć warunki, w których by ono mogło oddziaływać".

Przerwane historie

Do dziś może zaskakiwać odwaga i innowacyjność pomysłodawców tych czterech awangardowych inicjatyw, choć okazały się tak krótkotrwałe. Muzea Kultury Artystycznej działały tylko kilka lat, a moskiewskie Muzeum Kultury Malarskiej zamknięto pod koniec 1928 r. Część jego zbiorów przekazano Galerii Trietiakowskiej, część zaś zniszczono lub rozproszono po innych muzeach. W latach 30. to socrealizm stał się obowiązującą doktryną w ZSRS, a zaangażowany w tworzenie nowych muzeów wybitny historyk i krytyk sztuki Nikołaj Punin w 1953 r. zmarł w łagrze. Gabinet El Lissitzky'ego zniszczyli w 1937 r. naziści, a Alexander Dorner wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W 1950 r. rozwiązano Société Anonyme, a Katherine S. Dreier nie udało się stworzyć planowanego muzeum. Ostatecznie zgromadzone zbiory zostały przekazane do Yale University Art Gallery.

Jedynie Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej stała się podstawą nowoczesnej instytucji. Do 1939 r. udało się zgromadzić 112 dzieł. Drugą wojnę przetrwało trzy czwarte z nich. Pod koniec 1948 r. w Muzeum Sztuki otwarto Salę Neoplastyczną zaprojektowaną przez Władysława Strzemińskiego. Ta unikalna przestrzeń muzealna przetrwała do początku 1950 r., potem ją zniszczono jako niezgodną z doktryną socrealizmu. Po dziesięciu latach udało się jednak przywrócić jej pierwotny wygląd, a teraz włączono w obręb ekspozycji. Są tu też inne prace zgromadzone przez grupę a.r. Wypożyczono dzieła z kolekcji Société Anonyme. Odtworzono też Gabinet Abstrakcji. Zgodnie z założeniami El Lissitzky'ego, ściany pokryto barwnymi listwami. Zrekonstruowano także przesuwane panele.

Najważniejszym jednak dokonaniem twórców wystawy jest pokazanie działalności Władysława Strzemińskiego w Smoleńsku, do którego przeprowadził się w październiku 1919 r. Prowadził tam wraz z Katarzyną Kobro Pracownię Sztuki. Był też związany ze Smoleńską Galerią Sztuki. W 1920 r. przygotował listę artystów, których dzieła miały tam zostać pokazane. W Muzeum Sztuki wrócono do tego zamysłu i zgromadzono dzieła twórców, którzy mieli według koncepcji Strzemińskiego pokazać ewolucję „kultury artystycznej" opartej na nowatorstwie formalnym. Zrealizowano więc wreszcie wystawę, której zamysł powstał przed stu laty.

Którędy droga?

W 1929 r. w Nowym Jorku otwarto Museum of Modern Art, uważane często za pierwsze muzeum sztuki nowoczesnej – jego twórca Alfred H. Barr znał m.in. doświadczenia muzeów w ZSRS. W 1939 r. w Nowym Jorku powstaje Solomon R. Guggenheim Museum (pod nazwą Museum of Non-Objective Painting). W 1947 r. zostaje otwarte paryskie Musée National d'Art Moderne (dziś znane jako Centre Pompidou). To te muzea – wraz z londyńską Tate Gallery czy amsterdamskim Stedelijk Museum – ukształtowały dominujący do dziś model muzeum sztuki współczesnej. Ale jakie znaczenie mają dzisiaj projekty awangardowych artystów, które poprzedziły powstanie tych wielkich instytucji?

Idee, którymi kierowali się twórcy awangardowych muzeów, oraz realizowane w nich rozwiązania nadal są aktualne. Oczywiście różniły się cele, jakie sobie stawiano. Rosyjska awangarda widziała w tych muzeach jedno z narzędzi całkowitej przebudowy świata. Société Anonyme miało bardziej pragmatyczny projekt: powszechnej obecności nowoczesnych dzieł w codziennym otoczeniu przeciętnego Amerykanina. Jednak do dziś uderzający jest demokratyzm ich projektów, dopuszczenie wielości postaw i wyborów artystycznych, uciekanie od hierarchii oraz tworzenia sztywnych kanonów. Taka postawa pozwalała na szerszą obecność artystek oraz twórczości spoza tradycyjnych centrów.

Twórcy awangardowych muzeów nieustannie stawiali pytania o sens muzealnych instytucji: po co one mają istnieć i jakim celom służyć. No właśnie: jakim?

© PIOTR KOSIEWSKI

AWANGARDOWE MUZEUM, *Muzeum Sztuki w Łodzi, wystawa czynna do 27 lutego 2022 r., kuratorzy: Agnieszka Pindera, Jarosław Suchan.*

Ostatni taki serial

JAKUB MAJMUREK

Epizody zamknięte w przestrzeni jednego mieszkania i korytarza w sypiącej się kamienicy, z obsadą rzadko przekraczającą dziesięć osób, były w stanie uchwycić prawdę o Polsce, która umykała kinu społecznemu i telewizyjnym magazynom reporterów.

Media obiegła informacja: Polsat planuje zakończenie emisji „Świata według Kiepskich". Choć oficjalnego komunikatu na razie w tej sprawie brak, to widać, że seria wchodzi nieodwracalnie w fazę zmierzchu. Jej najnowszy, trzydziesty (!) sezon – serial nadawany jest w Polsacie od wiosny 1999 r. – miał dość słabą oglądalność. Średnio każdy odcinek przed telewizory przyciągał około 750 tys. widzów – najlepsze sezony gromadziły nawet 2,8 mln. Być może z tego powodu Polsat przeniósł ostatnie odcinki na środek nocy, co musiało jeszcze bardziej zmniejszyć widownię.

Oglądalność to nie jedyny problem „Kiepskich". Z serialu w 2019 r. odeszli główni scenarzyści, którzy tworzyli pierwsze, najbardziej udane sezony. Pomału wykrusza się też oryginalna obsada. W 2007 r. zmarła Krystyna Feldman, odtwórczyni roli Babki Kiepskiej. W 2016 r. – Bohdan Smoleń, powracający w wielu odcinkach Listonosz Edzio. A w ostatnich dwóch latach zmarli Ryszard Kotys i Dariusz Gnatowski – znani całej Polsce jako sąsiedzi tytułowej rodziny, przedsiębiorczy i oszczędny do granic skąpstwa handlarz bielizną Marian Paździoch oraz Arnold Boczek – sympatyczny, nawet jeśli nieszczególnie rozgarnięty rzeźnik z piętra wyżej. Gnatowski i Kotys – ten ostatni w wyraźnie słabej formie – pojawiają się jeszcze w ostatnich odcinkach najnowszego sezonu, nie pojawią się w przyszłych – gdyby powstały.

Nawet jeśli najnowsze odcinki „Kiepskich" nie dorównują tym ze złotego wieku serialu, to ostateczne zniknięcie produkcji z ramówki zakończyłoby pewną epokę. Trudno wyobrazić sobie polską telewizję XXI wieku bez „Kiepskich", więcej – nie da się pisać o polskiej kulturze tego okresu, nie wspominając o serialu. Jego twórcom udało się stworzyć syntetyczny portret współczesnej Polski i Polaków, jeden z niewielu, w którym przejrzeć się mogą wszyscy: z prawicy i z lewicy, z inteligencji i z klasy ludowej, z Polski wielkomiejskiej i z prowincji.

Między komuną a Europą

W filmie „Chinka" (1967) Jeana-Luca Godarda – błyskotliwym proroctwie klęski paryskiego Maja – jeden z bohaterów, radykalny student Guillaume, wygłasza wykład o początkach kina. Polemizuje z popularnym przekonaniem, że to bracia Lumière są ojcami „kina faktów", a Georges Méliès „kina fikcji". Jeśli przyjrzeć się bliżej – tłumaczy młody bohater – kino braci Lumière odtwarza przy pomocy kamery sposoby patrzenia na mieszczański świat wypracowany przez malarstwo impresjonistyczne, jest przedłużeniem XIX wieku, nie portretem wieku XX. Z kolei pozornie eskapistyczny Méliès wynajdując filmowe triki, inscenizując podróże na Księżyc, pokazuje prawdę o rodzącym się XX wieku – erze technicznych cudów i podróży kosmicznych.

Podobnie jest ze „Światem według Kiepskich": sitcom zamknięty w przestrzeni jednego mieszkania i korytarza w sypiącej się wrocławskiej kamienicy, z obsadą rzadko przekraczającą dziesięć osób, był w stanie uchwycić prawdę o Polsce, która umykała kinu społecznemu, telenowelom dokumentalnym i telewizyjnym magazynom reporterów. Zwłaszcza o Polsce między 1999 a 2004 rokiem. Wtedy produkcja notuje najwyższą oglądalność, z tego okresu pochodzą najlepsze, najbardziej warte zapamiętania odcinki. 1999-2004 to okres między końcem transformacji a akcesją Polski do Unii Europejskiej. Rzeczpospolita pomału przestaje być państwem wychodzącym z komunizmu – mamy nową, w pełni demokratyczną konstytucję, transformacja gospodarcza jest już w zasadzie zakończona – ale ciągle czeka w przedsionku do sfery pokoju, stabilności i dobrobytu Unii Europejskiej.

Społecznie to trudny okres. Przełom XX i XXI wieku to rekordowa dziura budżetowa i bezrobocie, w latach 2002-04 dobijające nawet do 20 proc. Polityczne wahadło, po tym, gdy w 1997 r. wychyliło się w prawo, wychyla się w lewo w 2000 i 2001 r. – wracając znów na prawo w 2005 r., odsunie lewicę od władzy po dziś dzień. W 2001 r. symbolicznie schodzi ze sceny politycznej partia ojców polskich przemian, Unia Wolności, a do Sejmu po raz pierwszy wchodzi Samoobrona i Andrzej Lepper. Stary polityczny ład umiera, nowy rodzi się pomału i w chaosie.

Cały świat przedstawiony „Kiepskich" i zamieszkujące go postaci są nieodrodnym produktem tamtej Polski. Głowa rodziny Kiepskich, Ferdek, od lat nie ma pracy. Za komuny nalewał wodę z saturatora, transformacja i nowe realia ekonomiczne uczyniły jego pracę zbędną. Całymi dniami siedzi przed telewizorem z piwem w ręku. Żona, Halina, nieustannie przypomina mu, by „poszedł do pośredniaka". Ferdek jednak doskonale wie, że nie ma po co tam iść. W jednym z odcinków, uniesiony urażoną dumą, udaje się w swoistą pielgrzymkę po kraju w poszukiwaniu pracy. Mężczyzna samotnie przemierzający Polskę za jakimkolwiek płatnym zajęciem staje się sensacją mediów i kłopotem dla polityków. W końcu, choć nie znalazł pracy, Ferdek może z tarczą wrócić do domu i powtórzyć swojej Halince to, co mówił jej zawsze: „W tym kraju nie ma pracy dla ludzi z moim wykształceniem".

Dominujący pod koniec lat 90. dyskurs o transformacji przedstawiał ją jako wielkie uwolnienie energii i gospodarności Polaków. „Kiepscy" pokazywali jedną z wielu rodzin, którą zakończona transformacja skazała na przymusową bezczynność – a przynajmniej jej męską „głowę". Rynek po prostu „chwilowo nie potrzebuje" takich ludzi jak Ferdek, jeśli jego rodzina może przetrwać, to dzięki sektorowi publicznemu – wypracowanej w PRL emeryturze babki oraz pensji żony-pielęgniarki.

Sąsiad Ferdka, Marian Paździoch, pozornie jest zaprzeczeniem Kiepskiego. To człowiek, który skorzystał z otwarcia gospodarki, wziął sprawy w swoje ręce jako drobny prywatny przedsiębiorca. ↦

Jak wielokrotnie podkreśla, status człowieka interesu jest dla niego bardzo ważny, Ferdka uważa za „nieroba, alkoholika i pasożyta". Jednocześnie w potransformacyjnym rozdaniu niewątpliwa przedsiębiorczość i pracowitość Paździocha nie przyniosły mu zbyt wiele. Tak jak bezrobotny Ferdek, mieszka w kamienicy z „prywatną publiczną toaletą" na korytarzu. W jednym z odcinków dowiadujemy się wprawdzie, że w piwnicy Paździocha piętrzą się stosy pieniędzy w różnych walutach, mała fortuna, która, gdyby wydostać ją na światło słoneczne, mogłaby umieścić sąsiada Kiepskich nawet na liście stu najbogatszych Polaków. „Niektórzy, żeby być, muszą mieć" – komentuje swój stan posiadania Paździoch. Ale jak to czasem w „Kiepskich" bywa, nie wiemy, co tu jest jawą, a co snem czy zmyśleniem – być może rulony banknotów to tylko fantazja Ferdka o nielubianym, skąpym i pełnym moralnej wyższości sąsiedzie.

Z głębi dziejów, z krain mrocznych

Przy tym typy ludzkie zaludniające kamienicę Kiepskich nie są wyłącznie tworami przełomu XX i XXI wieku, odbijają się w nich figury z całej polskiej historii. Cezary Michalski napisał prawie 20 lat temu tekst, w którym czytał pierwsze sezony „Kiepskich" w kluczu sarmatyzmu. Ferdek miałby być polskim typem szlacheckim przeniesionym do klasy ludowej i demokratycznego społeczeństwa wieku XX, próbującym zachować w nim swoją tożsamość i styl życia, tak jak polski szlachcic próbował to robić w zmieniającej się rzeczywistości po rozbiorach. Paździoch – współczesnym odpowiednikiem Polaka, który, poddawany presji przychodzącej z zachodu nowoczesności, przyjmuje ją i chce przy jej pomocy zmienić Polskę, tak by mogła skutecznie walczyć o swoje miejsce w rodzinie nowoczesnych narodów. Trochę jak młody Roman Dmowski, zanim do końca pochłonęły go antysemickie obsesje. Boczek z kolei jest w tej lekturze typem znanego z kart narodowej literatury pieczeniarza, zdeklasowanego szlachciury, pochlebstwem i politycznymi przysługami próbującego wychodzić sobie miejsce przy stołach znaczniejszych panów.

„Kiepscy" działają jak most sklejający różne telewizyjne widownie.

Serial oglądały najdalsze sobie krańce Polski. Nie widać tytułu, który mógłby go zastąpić w tej roli. Czas się pożegnać?

Te sarmackie tropy nasuwają się same, głównie za sprawą obsadzenia w roli Ferdynanda Andrzeja Grabowskiego – aktora znanego przed „Kiepskimi" z roli w teatralnej adaptacji „Opisu obyczajów" księdza Kitowicza, bezcennego zapisu obyczajowości szlacheckiej czasów saskich. Jednocześnie „Kiepscy" nie są tylko opowieścią o żywotności wzorca sarmackiego, jego demokratyzacji i zstąpieniu w klasy ludowe w PRL. W postaciach Kiepskich, Paździochów i Boczka mieszają się ze sobą bardzo różne kulturowe trendy i siły, nie tylko sarmackiej proweniencji. Kiepski jest tyleż współczesnym wcieleniem postaci z Kitowicza, co produktem PRL i historii polskich klas ludowych.

Z tych różnych historycznych tożsamości, kostiumów szlacheckich i ludowych bohaterowie Kiepskich próbują zbudować tożsamość odpowiadającą wyzwaniom XXI wieku. Podobnie jak całe polskie społeczeństwo na progu naszej akcesji do Europy. Ten proces negocjowania tożsamości jest w „Kiepskich" poplątany, odbywa się jak we mgle lub sennym widziadle, nieustannie rodzi komiczne konsekwencje.

W chyba najlepszym odcinku całej serii Ferdek dostaje list zapraszający go na zjazd rodzinny książąt Badziwiłłów. List nie precyzuje co prawda, w jakim celu, Kiepski dopowiada jednak sobie to, co nie zostało napisane: uznaje, że jego dziadek, który stracił pamięć w wypadku, był zaginionym księciem ze słynnego rodu. Przyjmuje więc swoje „arystokratyczne dziedzictwo": pisze się „de Kiepski", zaczyna grasejować, ubierać się i zachowywać jak hrabia z przedwojennego filmu. Jak się jednak okazuje, cierpiący na zanik pamięci przodek zajmował się w majątku książąt Badziwiłłów przerzucaniem gnoju, a Ferdek został zaproszony jako potomek dawnej służby – na zjeździe ma zresztą wystąpić w stroju swojego przodka. Arystokratyczne fantazje i pretensje Kiepskiego zostają brutalnie skon-

WOJTEK WILCZYŃSKI / FORUM

Na planie świątecznego i noworocznego odcinka serialu „Świat według Kiepskich", Wrocław, 2009 r.
Od lewej:
Ryszard Kotys (jako Marian Paździoch), Marzena Kipiel-Sztuka (Halina Kiepska), Andrzej Grabowski (Ferdynand Kiepski), Barbara Mularczyk (Mariola Kiepska), Dariusz Gnatowski (Arnold Boczek), Bohdan Smoleń (Listonosz Edzio), Renata Pałys (Helena Paździoch).

frontowane z rzeczywistością i prawdą o jego ludowym pochodzeniu. Wszystko to na dwie dekady przed obecnym „zwrotem ludowym" w polskiej historii i humanistyce.

Temat wypartej ludowości wraca zresztą w serialu. Głównie w motywie rodzin ze wsi – czy to samych Kiepskich, czy Boczka – które odwiedzają swoich miejskich krewnych sprawiając im szereg problemów. Rodzina ze wsi z jednej strony przypomina trochę wstydliwą wiejską przeszłość, z drugiej daje kontakt z żywą, zapominaną w miejskiej rzeczywistości tożsamością. Twórcy serialu nie uciekają jednak w fantazje o powrocie do „autentycznej", wiejskiej, a przynajmniej prowincjonalnej tożsamości, do świata rodem z serialu „Ranczo" – „Kiepscy" pokazują, że Polska tożsamość na nowe stulecie musi się wykuć na miejskim bruku.

Ostatni taki most

Tadeusz Lubelski w eseju z książki „Kino polskie jako kino narodowe" stawia tezę, że jednym z ważnym gatunków, często pomijanych w dyskusjach o kinie narodowym, jest komedia. Lubelski przygląda się zwłaszcza komediom z okresu odwilży, takim jak „Ewa chce spać", których głównym tematem jest ponowne zawiązanie narodowej wspólnoty po traumie wojennej i powojennej historii. W tym sensie „Kiepskich" można uznać za „sitcom narodowy". Serial nieustannie stawia pytanie o możliwość złożenia wspólnoty, przemielonej przez polityczną i ekonomiczną transformację, nowe hierarchie społeczne, kulturowe, polityczne i inne podziały.

Wspólnota zamieszkująca kamienicę przy ulicy Ćwiartki 3/4 jest głęboko podzielona, wygląda, jakby miała się sobie rzucić do gardeł. Babka zwyczajowo nazywa Ferdka „kanalią", Ferdek gardzi „Paździochem-mendą". Obaj potrafią zawrzeć sojusz przeciw Boczkowi, który zamiast załatwiać się w swojej łazience, schodzi do „prywatnej publicznej toalety" piętro niżej. Mimo to wspólnota ta potrafi się zjednoczyć: w rytuałach alkoholowych, walce przeciw wspólnemu wrogowi czy przy okazji katolickich świąt.

Serial staje po stronie wspólnoty i solidarności z jej najsłabszymi członkami, przeciw egoistycznemu, aspiracyjnemu indywidualizmowi. W jednym z odcinków mieszkańcy kamienicy otrzymują listy informujące, że w ramach reprywatyzacji każda rodzina otrzymała jakiś kawałek kamienicy: toaletę, korytarz, klatkę schodową. Prowadzi to wyłącznie do chaosu i radykalnego pogorszenia jakości życia wszystkich. Kiepscy i ich sąsiedzi otrzymują w ten sposób cenną lekcję na temat wartości dóbr wspólnych, które nie powinny służyć prywatnym interesom. W innym odcinku unijni urzędnicy przybywają na Ćwiartki, by sprawdzić, na ile jej mieszkańcy pasują do europejskich norm. Jak łatwo zgadnąć, Ferdek nie pasuje wcale, biometryczna unijna bramka nie chce go wpuścić do wymarzonego raju pod dwunastoma złotymi gwiazdkami. Za głównym bohaterem serialu ujmuje się jednak cała wspólnota, nie chce wchodzić do Europy bez niego, nawet jeśli faktycznie jest „najsłabszym ogniwem", opóźniającym upragnioną europeizację Polski.

Produkcja startowała w Polsacie, gdy na świecie rozpoczynał się złoty wiek telewizji, jakościowa rewolucja zmieniająca serialowe treści. „Kiepscy" z pewnością nie wyglądają jak produkcja po dobrej stronie tej zmiany. O „jakościach produkcyjnych" serialu lepiej nic nie mówić; na tle powstających w tym samym czasie, opartych na zachodnich formatach seriali TVN, sprzedających fantazje o życiu klasy średniej „jak na Zachodzie", „Kiepscy" wyglądają niczym ubodzy krewni z głębokiej prowincji. Formuła sitcomu często rodzi sztampowe odcinki, oparte na przyciężkim humorze. A jednocześnie w odcinkach najlepszych ograniczenia tego typu produkcji działają cuda, zmieniają „Kiepskich" w teatr, gdzie w komicznych, wykoślawionych, surrealistycznych formach przegląda się Polska.

Tak skonstruowany serial potrafi docierać do bardzo różnej widowni: i tej ludowej, i tej najbardziej telewizyjnie wyrobionej. „Kiepscy" działają jak most sklejający różne telewizyjne widownie i różne Polski. Tę, która obok „Kiepskich" ogląda polskie telenowele, z tą, która w zasadzie porzuciła rodzime seriale na rzecz ↦

↦ prezentujących najwyższy poziom artystyczny dzieł jakościowej telewizji, głównie ze Stanów. „Kiepscy" są chyba jedynym w tym wieku polskim serialem o tak wyraźnie „transklasowej" tożsamości i zasięgach. Nie widać tytułu, który mógłby go zastąpić w tej roli. Ostateczne zniknięcie serialu z polskiej telewizji byłoby symptomem coraz głębszej fragmentaryzacji telewizyjnej widowni, jej pękania wzdłuż linii kapitału kulturowego widzów.

I nie tylko wzdłuż nich – w Polsce wszystko pęka przecież wzdłuż podziałów politycznych, także telewizyjna rozrywka nie jest wolna od polaryzacji. Jak spekulowała prasa, przeniesienie emisji ostatnich odcinków serialu na późne godziny nocne mogło mieć związek z ich polityczną wymową. Konkretnie z odniesieniami do dyskusji o przyszłości Polski w Unii Europejskiej, obrony konstytucji, cenzury instytucji kultury i sztuki przez władzę. Polsat nie jest przecież telewizją najśmielszą w krytyce obecnej władzy.

W ostatnim odcinku zakończonego właśnie sezonu Paździochowa próbuje odebrać Boczkowi dostęp do toalety na jej piętrze, zirytowana tym, że sąsiad z góry spędza tam za dużo czasu. Kiepski zawiązuje Komitet Obrony Pana Boczka, który ma bronić toaletowych praw sąsiada z góry. Komitet przegrywa jednak walkę, w referendum mieszkańcy przegłosowują dożywotni zakaz korzystania przez Boczka z toalety. Wiecznie skłócona i godząca się ze sobą wspólnota z Ćwiartki tym razem nie wydaje się zdolna ostatecznie się skleić. Ferdek melancholijnie stwierdza podczas uroczystego opijania wyników referendum, że Boczek był, jaki był, ale był też jego przyjacielem i będzie mu go brakować.

Gdyby serial miał się skończyć na takim akcencie, byłoby to bardzo smutne, ale też jakoś prawdziwe, dotykające tego, co dzieje się we współczesnej Polsce. Bo być może nasza wspólnota tak popękała, że pogodzić nas już nie są w stanie nawet „Kiepscy"?

© JAKUB MAJMUREK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

Powrót taty

ANITA PIOTROWSKA

Do czego można użyć deskorolki? W jednej ze scen filmu Konrada Aksinowicza, zabawnej i strasznej równocześnie, drobny chłopiec przewozi na niej pijanego ojca.

NIE JEST TO JEDYNY GADŻET POPULARNY w okresie transformacji, który posłużył do opowiedzenia o polskim dorastaniu w cieniu flaszki. Piwnice pamięci kryją też pierwsze magnetowidy, wielobarwne kreszowe dresy i finezyjne budowle z klocków Lego – dla dzieciaków wychowanych na początku lat 90. symbole zachodniego dobrobytu. „Powrót do tamtych dni" (pierwotny tytuł: „Powrót do Legolandu") odziera tamtą epokę z nostalgicznej mgiełki. Ojcowska choroba nadaje wymarzonym przedmiotom zupełnie inny odcień znaczeniowy. Co ważniejsze jednak, żaden z polskich filmów „alkoholowych" nie spojrzał dotąd na ów problem z punktu widzenia postronnych ofiar, od strony współuzależnienia.

Picie w naszym kinie, choć potępiane, a nawet demonizowane, prawie zawsze ulegało jakiejś mitologizacji, miało charyzmatyczną męską twarz i takąż frazę. Bywało wpisywane w egzystencjalny dramat („Pętla" Wojciecha Jerzego Hasa) czy w ewangeliczną przypowieść („Wszyscy jesteśmy Chrystusami" Marka Koterskiego), albo otulane w ciepłą, rodzinną opowieść wigilijną („Żółty szalik" Janusza Morgensterna). Z tego trendu próbował się wyłamać Wojciech Smarzowski w „Pod Mocnym Aniołem", brutalnie demistyfikując romantyczno-retoryczne strategie pijaka, a także Barbara Sass („Tylko strach") czy Kinga Dębska („Zabawa, zabawa"), które pokazały, czym jest wysokofunkcjonujące uzależnienie kobiece.

Każdy z tych filmów w centrum uwagi stawiał osoby pijące. Tymczasem Aksinowicz, który zadedykował swoje dzieło zmarłemu niedawno ojcu i przyznaje się w wywiadach do bycia DDA (dorosłym dzieckiem alkoholika), tę perspektywę radykalnie odwraca. Na ojcowskie staczanie się patrzy oczami czternastoletniego Tomka (Teodor Koziar) oraz jego matki (w tej roli bardzo dobra, obsadzona wbrew dotychczasowemu *emploi* Weronika Książkiewicz). Czyli, statystycznie rzecz biorąc, opisuje doświadczenia milionów Polaków i Polek. Robi to w sposób całkowicie przeźroczysty, bez formalnych udziwnień, ilustrując historię kilkoma ówczesnymi hitami i prostym motywem fortepianowym w wykonaniu Marcina Maseckiego. Za to z potężnym ładunkiem emocji.

Najważniejszą spośród nich okazuje się wstyd. Kiedy tata przyjeżdża niespodziewanie z amerykańskich saksów objuczony prezentami, radość synka nie zna granic i tylko matka niespecjalnie się cieszy. Pewnie doskonale pamięta (i antycypuje) inne powroty Alka, szczególnie te nocne, głośne, agresywne, po których trzeba było uciekać wzrokiem przed sąsiadami z bloku. Teraz Alek chce być innym człowiekiem i korzystać z szans, jakie niesie wczesny kapitalizm: pracować w prywatnej stacji radiowej, handlować modnymi torbami, cieszyć się nowym życiem. Dopiero potem, w trakcie rodzinnego przyjęcia, dowiadujemy się więcej o jego „amerykańskim śnie" i o tym, co tak naprawdę przywiózł swoim bliskim w walizce.

Aksinowicz pokazuje, jak powrót ojca marnotrawnego zatruwa nie tylko relacje rodzinne, ale i relacje rodziny z otoczeniem. „Syn pijaka" notorycznie wstydzi się przed kolegami, nauczycielami i nowo poznaną sympatią. Z zawstydzeniem patrzy na upadlającego się coraz bardziej ojca i – niczym biblijni synowie Noego, Sem i Jafet – próbuje zasłonić go przed światem. Tu reżyser nie szuka dla Alka żadnej taryfy ulgowej, a grający go świetnie Maciej Stuhr (wąsaty, z fryzurą na enerdowskiego piłkarza) oddaje całym sobą cielesny i fizjologiczny wymiar alkoholowego upadku. „Chce pić, będzie pił" – słyszymy pozbawiony złudzeń komentarz jednej z drugoplanowych postaci. Mogłoby to być mottem filmu Aksinowicza, gdzie próżno szukać usprawiedliwień czy moralnych

MATERIAŁY PRASOWE

Teodor Koziar, Maciej Stuhr i Weronika Książkiewicz w filmie „Powrót do tamtych dni", 2021 r.

ocen. Dostajemy jedynie tyle, ile mógł widzieć i wiedzieć dorastający wówczas Tomek, czyli obraz ojcowskiego samounicestwienia, któremu nikt, mimo dobrych chęci, nie potrafi zapobiec.

„Powrót do tamtych dni" wyrasta więc z poczucia bezradności i tym również trzyma widza w emocjonalnym imadle. Oglądając film Aksinowicza, zwłaszcza znając dzisiejsze możliwości w zakresie leczenia uzależnień, trudno wysiedzieć spokojnie. Osamotnieni matka i syn, chcąc za wszelką cenę ratować Alka, który odmawia skorzystania z terapii anticolem, chwytają się chałupniczych sposobów. Przede wszystkim próbują zatrzymać go w domu, dlatego mieszkanie staje się w filmie schronieniem, twierdzą i meliną jednocześnie. Aczkolwiek to nie barek w meblościance, lecz poczciwy półkotapczan z dziecinnego pokoju, przerobiony z konieczności na kryjówkę, zogniskuje w pewnym momencie uwagę widza.

Zamiast filmować alkoholową drżączkę, twórca „Powrotu" skupia się bowiem na zwykłym strachu, jaki wywołuje w domownikach człowiek zamroczony alkoholem, ogarnięty chorobliwą podejrzliwością i zazdrością. Zamiast użalać się nad losem alkoholika (co robiono na ekranie już wielokrotnie), pokazuje jego nieświadome okrucieństwo wobec bliskich, często na swój sposób wyrafinowane, trafiające precyzyjnie w najbardziej bolesne miejsca. Właśnie spojrzenie dziecka pozwala na takie przesunięcie.

Bo w sfilmowanej przez Aksinowicza inteligenckiej rodzinie (radiowiec i lalkarka) alkohol wywraca wszystko, szczególnie zaś dotychczasowe życiowe role. Psychologowie nazywają to parentyfikacją – gdy dziecko zostaje zmuszone przejąć rolę dorosłego i opiekować się nim, co ma poważne konsekwencje w budowaniu jego przyszłych związków. Zwłaszcza że filmowy Tomek jest w wieku, kiedy najbardziej naturalny byłby bunt, eksperymentowanie, przekraczanie granic. I coś z tego klimatu młodzieńczej beztroski i humoru przedostaje się na ekran, zanim jeszcze główny bohater będzie musiał stać się w pełni odpowiedzialnym ojcem swego ojca. Stąd być może bierze się pewne usztywnienie i nadmierne ugrzecznienie postaci chłopca, które wyraźnie odróżnia go od rówieśników.

Aksinowicz nakręcił film osobisty, lecz w dużej mierze interwencyjny, zwracający uwagę na wielką skalę problemu polskich DDA, w większości pochowanych w szafach, nigdy niezdiagnozowanych, bezwiednie reprodukujących patologiczne zachowania – niekoniecznie w formie alkoholowego nałogu. Kierując kamerę na współuzależnionych, odsłonił alkoholowe kłamstwa, ale także cały ten rodzinno-uczuciowy splot, który każe latami tkwić w toksycznej, często przemocowej atmosferze. I po prostu nas z tym zostawił, gdzieś na zwykłym wrocławskim osiedlu, w towarzystwie przeciętnych Malinowskich, na gruzach polskiego Legolandu. ©

POWRÓT DO TAMTYCH DNI – *reż. Konrad Aksinowicz. Prod. Polska 2021. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 10 grudnia.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Watch Docs

Festiwal online, MOJEeKINO, 10-19 XII

21. edycja festiwalu Prawa Człowieka w Filmie odbędzie się w wersji hybrydowej. Otworzy go kręcony na gorąco dokument „Sędziowie pod presją" Kacpra Lisowskiego, o niszczeniu niezawisłości sądów w dzisiejszej Polsce. Będą też sekcje „Białoruś. Przykręcanie śruby", „W cieniu czerwonej gwiazdy" czy „Ziemia nomadów".

2. Złe baśnie

Dramat, reż. Damiano D'Innocenzo, Fabio D'Innocenzo, Włochy 2020, HBO GO, od 11 XII

Młodzi bracia D'Innocenzo wbrew swemu nazwisku penetrują mroczne rejony dzieciństwa. Na przykładzie niezamożnej rodziny z rzymskiego przedmieścia opowiadają o tym, jak bardzo niebaśniowe staje się dorastanie za sprawą sfrustrowanych, przemocowych dorosłych. Film otrzymał nagrodę za scenariusz na Berlinale.

3. Notturno

Dokumentalny, reż. Gianfranco Rosi, Niemcy/Francja/ /Włochy 2020

Estetyzacja losu uchodźcy wydaje się czymś mocno niestosownym – ale nie w ujęciu włoskiego mistrza dokumentu. W nowym, bardzo wysmakowanym eseju reżyser „Fuocoammare. Ogień na morzu" (2016) wyrusza na Bliski Wschód, by przyjrzeć się z bliska sytuacji tych, którzy za chwilę będą zmuszeni wyruszyć w drogę do Europy.

4. Întregalde

Dramat, reż. Radu Muntean, Rumunia 2021, Netflix

Tytułowa wioska w Transylwanii jest celem wyprawy trójki mieszczuchów niosących pomoc mieszkańcom rubieży kraju. Ale twórca „Wtorku, po świętach" każe bohaterom skonfrontować swoje wyobrażenia o życiu na prowincji z rzeczywistością. I robi to z właściwym dla rumuńskiej Nowej Fali społeczno-psychologicznym zacięciem oraz ze szczyptą komizmu i grozy.

JAN

Klata:
Wiotcy, słodcy i powabni

Czytanie dzieciom wyssałem z mlekiem matki, czego to ja Marysi, Jadwini i Janeczce nie przeczytałem: „Hobbit", „Władca Pierścieni", komplet „Opowieści z Narnii", „Mikołajek", po całości. W życiu tak dobrze nie czytałem, jak córkom. Na głos. Piękna sprawa. Niektóre lektury się zdezaktualizowały, np. Szklarski już nie porywał ani trochę, Tomek, jego zoo i sztucer wzbudziły natychmiastowy sprzeciw panien Klacianek. Człowiek czyta i czuje, że nie żre, że publika nie akceptuje, sprzeciwia się unisono, narasta rewolta. Po krótkich konsultacjach społecznych Tomek poszedł w odstawkę na śmietnik historii. Tak czy owak, czytanie córkom mi w życiu wyszło...

Okazało się jednak, że narodził się pomysł: Klata czyta dzieciom w MOCAK-u, w ramach ekscentrycznie niszowych happeningów. Dzieci cudze – to pierwsza różnica. Po drugie, wnętrze przestronnie nowocześnie muzealne, bez łóżeczek. Po trzecie, no, jestem starszy, czy ja jeszcze podołam? Tytuł zdarzenia brzmiał: „Wiersze o talencie i trudach pracy twórczej". Dzieci w wieku 3-6 lat. Super.

Piszę dzień po. Ździebko ochłonąłem. Było nieźle. Będę szczery: zacząłem z wysokiego C: „Samochwałą". Nie ma co ukrywać, widownia w ekstazie. Moja buzia tryska zdrowiem, jak coś powiem, to już powiem. Jednakowoż z każdym kolejnym numerem entuzjazm publiki malał, heroicznie czytałem dalej, jednak przez narastające odgłosy zniecierpliwionej dziatwy w alembiku mej czaszki kołatała się myśl: „Klata, zdecydowanie powinieneś był skończyć na »Samochwale«, w tym byłeś naprawdę dobry". Zaprawdę, rezolutnym jest wygrzebać sobie niszę i się z niej nie wychylać, nie zmieniać zwycięskiej formuły. Brnąłem, zgodnie ze scenariuszem happeningu, desperacko zwężającym się kamieniołomem niezrozumienia, skończyłem jednak z godnością, wyskandowanym wierszem Ludwika Jerzego Kerna „Konkurs". Dzieci z ulgą odpaliły latarki i pod opieką kuratorów poszły zwiedzać MOCAK w ciemnościach, a ja zostałem sam na sam z poezją o trudach – wiotki, słodki i powabny, ledwie łapiąc oddech. ©

Lektor:
W trybie przypuszczającym

▪ *Kasper Bajon*
IDEOT. RZECZ O NARODZINACH POTWORA
Ilustracje Katarzyna Gintowt.
Nisza, Warszawa 2021
ss. 208

„Najbardziej interesuje mnie w pisaniu tryb przypuszczający – mówi Kasper Bajon w rozmowie z Emilią Padoł. – Język mi daje możliwość pomyślenia światów teoretycznie niemożliwych, a jednak równoprawnych". Dobre wprowadzenie do lektury najnowszej książki pisarza i scenarzysty, nominowanego do Nike za „Fuerte" – opowieść o jednej z Wysp Kanaryjskich, na której kilka lat temu zamieszkał.

Cofnijmy się o blisko dwa wieki, do roku 1816, kiedy pył wyrzucony w atmosferę przez gigantyczną erupcję wulkanu na wyspie Sumbawa wywołał zmiany klimatu i klęskę nieurodzaju. Trwa zimne, bezsłoneczne lato, w willi Diodatich nad Lemanem dwaj wielcy angielscy poeci i dwie nastolatki romansują i opowiadają sobie niesamowite historie, a efektem wieczornych posiedzeń jest „Frankenstein" – klasyka literatury grozy, ale też powieść stawiająca u progu nowoczesności zasadnicze pytania o ludzką kondycję. Pamięć tamtych wydarzeń powraca dziś nie tyle nawet dlatego, że uczestniczyli w nich Byron i Shelley, ile raczej z powodu niespodziewanie nam bliskiej apokaliptycznej aury.

Kilka lat temu Maciej Płaza opublikował nowy, znakomity przekład „Frankensteina" oraz powstałych wtedy utworów Byrona i jego lekarza Johna Polidoriego. Autorką podaną na okładce jest Mary Shelley – córka Williama Godwina i Mary Wollstonecraft, dwojga pisarzy i buntowniczych myślicieli – choć jej autorstwo bywało kwestionowane, podejrzewano bowiem udział Shelleya, jej kochanka, a potem męża. Kasper Bajon stawia inną tezę: a jeśli autorką była Claire Clairmont, postać niezwykle interesująca i zupełnie usunięta w cień? Claire Clairemont to druga ze wspomnianych nastolatek, młodsza, przyrodnia siostra Mary (ściślej biorąc – pasierbica Godwina), utalentowana i wrażliwa, też zakochana w Shelleyu, choć to Byronowi urodziła córkę. Przeżyła pozostałą trójkę, zmarła we Florencji mając 81 lat, stała się pierwowzorem bohaterki arcydzielnego opowiadania Henry'ego Jamesa „Autografy Jeffreya Asperna". W „Ideocie" dostajemy najpierw erudycyjny esej, który rozmontowuje przyjętą wersję historii powstania „Frankensteina", mnożąc wątpliwości i odsłaniając grę iluzji rozpoczętą latem roku 1816. A potem Bajon wciela się w Claire i pisze za nią – w pierwszej osobie! – nieistniejącą dotąd autobiograficzną powieść. Więcej już nie zdradzę, bo to rodzaj gry – ale mającej głębsze znaczenie. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pecorino w piramidzie

Trzydzieści trzy mile liczy obwód ósmego rowu w ósmym kręgu piekła. Jak wiemy dzięki wędrówkom Dantego – ostatnio na nowo spolszczonym przez mistrza Jarosława Mikołajewskiego – krąg ten mieści bardziej szczegółowo niż inne opisaną kategorię grzeszników, jaką są wszelkiej maści oszuści. W ósmym z dziesięciu jego rowów cierpi zaś podgrupa, która, gdyby Dante dziś miał uaktualnić taksonomię, powinna dostać co najmniej trzy miejsca więcej – bo fałszywych doradców przybywa szybciej niż złodziei, siewców niezgody, świętokupców i pochlebców. Może tylko wróżbici (zwani dla niepoznaki analitykami sondaży i rynku) są w stanie im dorównać dynamiką ekspansji.

Od frontu, na unijnych salonach, toczą się głośne boje: a to o klimat i węgiel, a to o graniczne płoty i wędrówki ludów, innym zaś razem panowie debatują, jak tu się postawić Chinom tak, by nie stracić na handlu – poczytajcie w wolnej chwili, jak dzielnie postępuje Litwa, sama jedna ratując honor reszty. Na kuchennych tymczasem schodach ciśnie się pstrokaty, niepoważny tłumek komiwojażerów z cudownymi proszkami na mole i przekupek z jarzyną. Mało kto słuchałby z uwagą kłótni o pietruszkę, a szkoda, bo właśnie od kuchni, w ogniu podsycanym przez tęgi lobbing, wykuwają się regulacje wpływające na to, co i za ile będziemy zjadać.

„Według Unii cola ze słodzikiem jest zdrowsza od oliwy!”. „Eurokraci zaraz wprowadzą podatek od serów!”. Tego rodzaju komunikaty rozchodzą się kręgami po Twitterze. Ostatnio znów narasta spór o wprowadzenie obowiązku znakowania etykiet żywności uproszczonym, czytelnym dla każdego systemem. Najbardziej naturalnym kandydatem wydaje się NutriScore, bo stosują go już Francja i Niemcy oraz parę innych krajów. Pięć kolorów, od ciemnozielonego, przez żółty, po czerwony, i pięć odpowiadających im liter dla daltonistów. Zielony (z literką A lub B) oznacza, rzecz jasna, produkt o wysokiej wartości odżywczej. Pomarańczowy lub czerwony ma zapalić w naszej głowie ostrzegawczą lampkę: unikaj albo uważaj, ile zjadasz. System opracowali francuscy badacze, tworząc kilka algorytmów oceny – osobno np. dla napojów i produktów tłuszczowych.

W awangardzie oporu są Włosi. Poszło o to, że ich sztandarowe sery, a także szynki wypadają w klasyfikacji na czerwono. A oliwa dostała gorszy kolorek od sztucznie słodzonych napojów gazowanych. „Bruksela pod dyktando Berlina chce, żebyśmy wyrzekli się tożsamości” – taki jest przekaz powtarzany nawet w poważnych gazetach. Z tą tożsamością oczywiście jest coś na rzeczy, Włoch na ogół nie zna słów swojego hymnu, ale wie doskonale, czym się różni pecorino z jego okolic od tego z sąsiedniego powiatu.

Tyle że „kiepskie” noty dostają również roquefort z Francji i manchego z Hiszpanii – z racji zawartości tłuszczów i soli. Mówienie klientowi: uważaj na szynkę, bądź ostrożny z serem, diety śródziemnomorskiej nie narusza, wszak lokuje ona te specjały na dość wysokich piętrach swojej piramidy, czyli nie należy z nimi przesadzać. Plasterek kiełbasy i kąsek pecorino – jak najbardziej, ale podstawa wieczerzy to micha gorącej polenty. Oliwa zaś jest oznaczona na pomarańczowo, bo jest przecież czystym tłuszczem – ale nikt nie mówi, by ją odstawić, po prostu chodzi o umiar. Byłaby, owszem, bardziej szkodliwa od coli, gdybyśmy ją pili duszkiem po litr dziennie, jak byle napój. A tak w ogóle ten system premiuje oliwę, dając jej nieco lepszą notę od prawie wszystkich olejów spożywczych i znacznie, znacznie lepszą od masła. Czy zresztą kogoś dziwi, że jednym z czołowych trolli w tej sprawie okazał się – poza politykami włoskiej Ligi – człowiek związany z holenderską izbą mleczarską?

Męczący jest okrutnie czas przed świętami Bożego Narodzenia. Wszędzie tłoczno, magistraty szpecą ulice feerią gwiazdek i ściekających niby-sopli, które najlepszy ze wszystkich felietonista, skromnie przycupnięty na końcu numeru „Tygodnika”, genialnie określa mianem „smarków”. I jeszcze do tego ta muzyka i przymus radości. Ale mam wtedy jedną małą satysfakcję: pogromcy eurokratycznych ekscesów, stróże kiełbasianych świętości i narodowej buły, dają sobie na miesiąc spokój z polityką żywnościową Brukseli, zajęci tropieniem nowego dowodu na „wojnę z Bożym Narodzeniem”. W tym roku, co pewnie już do was dotarło, wybór padł na napisany drętwą, antydyskryminacyjną nowomową okólnik dla urzędników Komisji, w którym m.in. zalecano, by nie zakładać z góry, że każdy Europejczyk świętuje tak samo (bo chociażby prawosławni będą czekać do stycznia). Papier pod wpływem wrzasku odwołano, szopka i Jezusek jeszcze raz bezpiecznie staną w naszych nawach, choć niekoniecznie w sercach. ©℗

Oto jedno z kanonicznych wcieleń diety śródziemnomorskiej – z jej naciskiem na właściwe proporcje rzeczy „zielonych” i „czerwonych”: niewielki dodatek tych ostatnich zamienia miskę zdrowej, ale nudnej fasoli w coś ekscytującego.

GRAŻYNA MAKARA

Nie ma to żadnej konkretnej nazwy – po prostu salsa per fagioli, a przepis pochodzi z wilgotnych nizin Veneto. Namaczamy i gotujemy do miękkości 0,5 kg fasoli typu „borlotti”, studzimy. Siekamy bardzo drobno 6-7 filecików anchois, 100 g włoskiego salami, dużą cebulę, pół pęczka natki pietruszki, łodygę selera naciowego. W rondlu o grubym dnie rozgrzewamy 5 łyżek oliwy, dusimy to wszystko na wolnym ogniu pod przykryciem co najmniej godzinę, ewentualnie podlewając odrobiną wody, gdyby przywierało. Kiedy wszystko się ładnie połączy i zmięknie, dodajemy 50 ml białego octu winnego, odparowujemy. Łączymy z fasolą i podajemy na zimno lub ciepło, można dodać jeszcze trochę octu, jeśli ktoś lubi kwaśne.

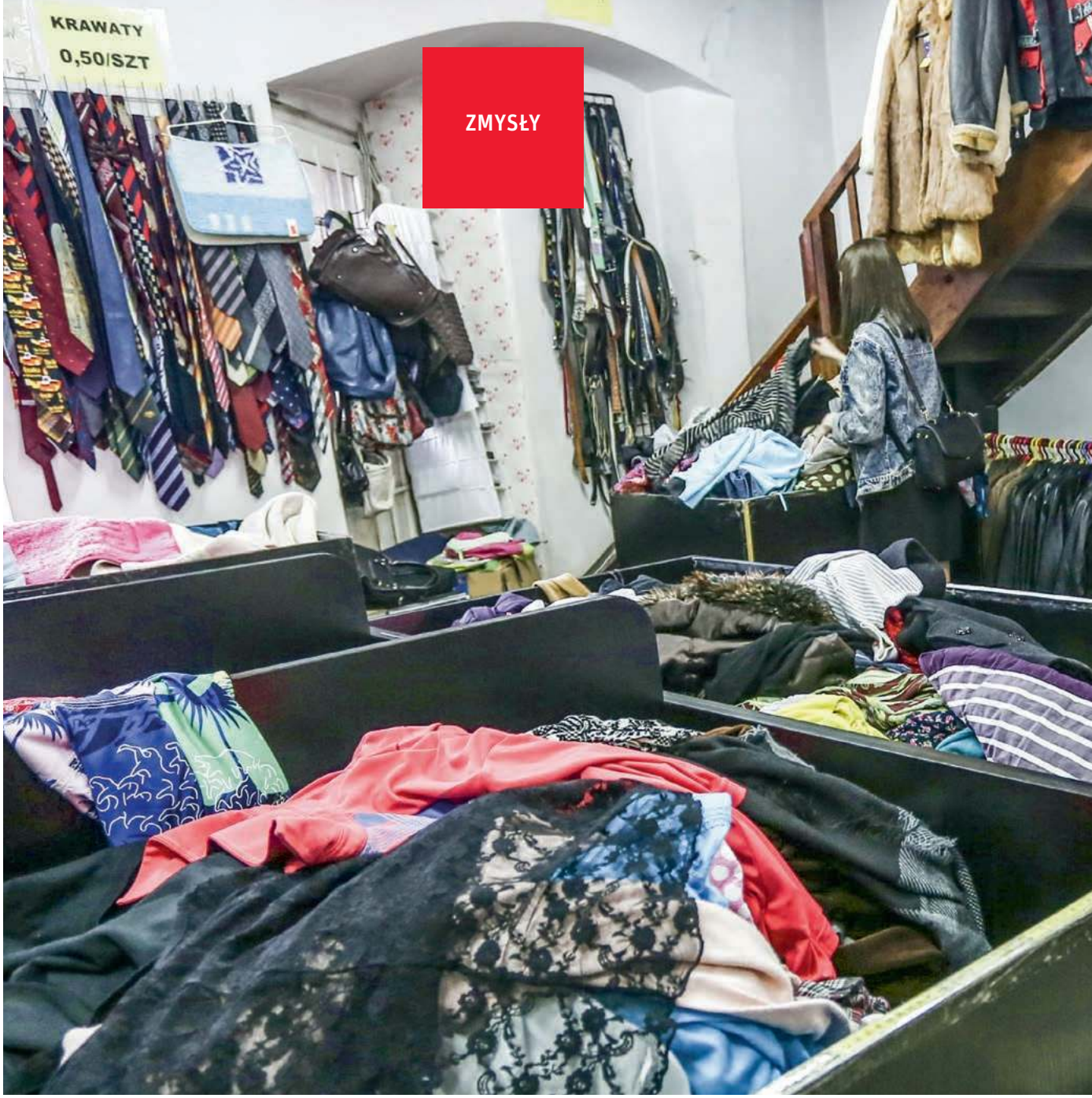

MIEJSCE NIESPODZIANKI

Nigdy nie wiesz, co uda się dziś upolować. Wizyty w ciucholandzie składają się na opowieść o tym, jak niepotrzebny śmieć może stać się prawdziwym skarbem.

EWELINA BURDA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Sklep z odzieżą używaną w Krakowie, kwiecień 2018 r.

Kolejka zakręca za róg budynku. Jego elewacja z lat 50., pochmurne listopadowe niebo i kurtki czekających na chodniku zlewają się w totalną szarość. Kolorowo będzie dopiero za drzwiami, które otworzą się kilka minut po dziewiątej. Nawet gdyby wejść tutaj z zamkniętymi oczami, każdy, kto choć raz był w takim miejscu, bezbłędnie rozpozna je po charakterystycznym duszącym zapachu detergentów. W ofercie: elektryzujący się poliester i zmechacony akryl, gryząca wełna i lekko sprana, ale porządna bawełna. Tylko szczęśliwcy znajdą miękki kaszmir lub połyskujący jedwab. Witamy w ciucholandzie.

Ciucholand niejedno ma imię

Nie ma chyba miejsca w Polsce, które mogłoby pochwalić się taką mnogością nazw. Uporządkujmy je. Mamy „ciucholand" – czyli krainę pełną ciuchów. Dalej są wartościujące i niezbyt zachęcające określenia „szmateks" i „lumpeks". *Die Lumpen* to po niemiecku szmaty, a na zachodzie Polski potocznym określeniem na ubrania są „lumpy". Obie nazwy kończy popularny w nazewnictwie naszych rodzimych biznesów sufiks „eks". Mamy też anglojęzyczny *second hand*, który brzmi najbardziej prestiżowo i nie niesie z sobą tak wielu negatywnych skojarzeń. W obiegu są jeszcze nazwy opisowe: „tania odzież", „odzież na wagę", „odzież używana", ale i w nich ładunek emocjonalny jest całkiem spory. Nazewnictwo wartościujące nie jest wyjątkowe dla Polski – w Nigerii popularne określenie na odzież używaną, która trafia tam z Europy, to *kafa ulaya*, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „ubrania zmarłych białych".

Równie mocno zróżnicowane jak nazwy są rodzaje ciucholandów. Od tych, w których na środku hali ↦

↦ magazynowej znajduje się sterta usypana z ubrań wszelkiego rodzaju, przez miejsca z wstępną selekcją i koszami z określonymi częściami garderoby, po sklepy z towarem wyselekcjonowanym i umieszczonym na wieszakach, z przyczepioną metką z ceną. Spór o to, czy lepsza jest odzież używana „na wagę", czy „z wyceny", od lat dzieli i rozgrzewa fanów takich zakupów, ale jak widać, każdy znajduje typ dla siebie.

– Lumpeks jest miejscem niespodzianki. Nie wiadomo, co się tam do końca wydarzy i co się w nim znajdzie – mówi Marta Skowrońska, socjolożka z UAM w Poznaniu, autorka książki „Drugie życie przedmiotów. Second hand jako zjawisko społeczne". – Dla wielu to nie są zwykłe zakupy, ale rodzaj rozrywki, łowy, polowanie na perełki. Ten sport daje wręcz skoki dopaminy, hormonu motywacji: kiedy stoi się w kolejce przed otwarciem i rusza do wyścigu, żeby wyrywać jak najlepsze kąski.

Skąd się wzięły szmateksy

Rewolucja przemysłowa przynosi zmianę: masowa produkcja dóbr materialnych, w tym ubrań, sprawia, że coraz więcej osób stać na to, by kupić rzecz nową – a nowość zaczyna być wartością samą w sobie. „Używane" okazuje się „gorsze", jest łączone z niższą klasą społeczną i mniejszym prestiżem.

Historia second handów, jakie znamy dzisiaj, łączy się z powstawaniem sklepów charytatywnych, nastawionych na pomoc ubogim. Popularne były szczególnie w Wielkiej Brytanii (jak słynny pierwszy sklep dobroczynny fundacji Oxfam, który powstał w 1947 r. w Oksfordzie). Na przestrzeni lat ich oferta zaczęła być kierowana do szerszej grupy odbiorców, nie tylko najuboższych.

W latach 60. i 70., gdy na Zachodzie kwitnie kultura alternatywna i hipisowska, używanie przedmiotów z drugiej ręki staje się elementem sprzeciwu wobec wartości konsumpcyjnych. *Second hand* służy teraz do wyrażania stylu życia, ubrania z drugiej ręki mają podkreślać autentyczność i poglądy. Tak jest na Zachodzie, bo w PRL-u ludzie żyją w realiach ciągłego niedoboru, a rzeczy z drugiej ręki, w tym ubrania, są czasem jedynymi osiągalnymi.

Marta Skowrońska: – Do Polski, zwłaszcza w latach 80., spływała pomoc z Zachodu, dary rzeczowe. Po 1989 r., gdy pojawiły się w Polsce second handy, byliśmy krajem półperyferyjnym, to do nas trafiały używane ubrania z Zachodu: Wielkiej Brytanii, Szwecji, Holandii. Stamtąd dalej płynie towar do naszych second handów, ale Polska jest dziś też eksporterem odzieży używanej do Azji czy Afryki. W sytuacji nadprodukcji towarów obrót dobrami używanymi pokazuje, gdzie jest centrum, a gdzie peryferie.

Rozkwit sklepów z odzieżą używaną następuje w Polsce w latach 90. Import ubrań z zachodnich sortowni był łatwy i dochodowy, w czasach transformacji założenie takiego sklepu stanowiło świetny pomysł na biznes. Ciucholandy jako nowinka cieszyły się popularnością, a niskie ceny zachęcały do zakupów. Ale wciąż wszystko według nieformalnej zasady „kupuję, jednak się nie chwalę".

Świeży towar z drugiej ręki

– Wizyta w ciucholandzie to opowieść o tym, jak niepotrzebny śmieć staje się prawdziwym skarbem – mówi Marta Skowrońska.

Odzież i obuwie należą do najczęściej wykorzystywanych przez Polaków rzeczy używanych – według raportu CBOS „Polacy i rzeczy używane" z sierpnia 2021 r. stanowią one aż 73 proc. wszystkich produktów z drugiej ręki, którym dajemy nowe życie.

Używana odzież długo była czymś wstydliwym, a jeśli już powoli przestawała być powodem do wstydu, to jednak noszenie ubrań z takiego źródła nie było powodem do dumy. Teraz jednak rzadziej myślimy o tym jako o przejawie biedy – wspomniany raport CBOS pokazuje, że w ostatnich trzynastu latach odsetek osób, które tak myślą, spadł z 69 proc. do 29 proc. Coraz częściej widzimy w tym przejaw zaradności (kupienie czegoś z metką znanej marki lub z luksusowego materiału) albo troski o środowisko.

Dlaczego kupujemy w ciucholandach? – Motywacje są bardzo różne i w ostatnich latach mocno się zmieniły – tłumaczy Skowrońska. – Mamy wzrost motywacji krytycznej, gdy kupujący sprzeciwiają się konsumpcjonizmowi, i ekologicznej, gdy buntują się przeciwko zalewaniu Ziemi odpadami. Te motywacje widoczne są zwłaszcza wśród młodych. Żeby jednak nie popaść w zakłamanie, nie można zapominać o motywacji ekonomicznej, potrzebie zdobycia tanich ubrań, która wciąż dla dużej grupy jest motywacją główną i jedyną, zwłaszcza w mniejszych miastach i miejscowościach.

Znikanie lumpeksu

Coraz więcej osób kupuje i nosi ubrania z drugiej ręki, ale szyldów sklepów z używaną odzieżą na polskich ulicach coraz mniej. Ciucholandy, które znamy z parterów odrapanych kamienic i przyziemi pastelowych bloków, powoli znikają. W 2009 r. w Polsce było ich 23,5 tys., w lipcu 2021 r. działało już tylko 14,4 tys. W dekadę zniknął więc co trzeci ciucholand – w niektórych latach zamykano rocznie po 1-2 tys. sklepów, w ostatnich latach tempo spadło do kilkuset (dane wywiadowni Dun & Bradstreet dla „Rzeczpospolitej"). Nie wiadomo jednak, jak znikanie ciucholandów wygląda w zależności od wielkości miasta czy miejscowości. Mówi się, że najlepsze łupy można znaleźć w mniejszych miejscowościach. W metropoliach odzież używana najczęściej jest szybko przebierana i dużo droższa. Zmiana, która następuje w polskich ciucholandach, dotyczy też wchłaniania pojedynczych sklepów przez sieci, które prowadzą duże sortownie tekstyliów.

Z nowego raportu badawczego SW Research dla firmy Wtórpol (jednej z największych polskich firm zajmujących się recyklingiem odzieży; ma też sieć stacjonarnych sklepów z odzieżą używaną) z września 2021 r. wynika, że 70 proc. Polaków co najmniej raz kupiło odzież z wtórnego obiegu, a ponad połowa osób z tej grupy zakupy te zrobiła w second handzie stacjonarnym. Najważniejszym argumentem przemawiającym za takim zakupem była dla nich oszczędność i możliwość znalezienia dobrych jakościowo ubrań w przystępnej cenie. W ostatnich latach popularność zyskują second handy online oraz portale i platformy, które ułatwiają osobom prywatnym sprzedawanie ubrań.

W lumpeksowym świecie rośnie też grupa osób, które traktują te miejsca jako źródło zarobku – kupują ubrania na wagę w stacjonarnych ciucholandach lub zamawiają przez internet kilku- lub kilkunastokilogramowe paczki z ubra-

niami prosto z sortowni tekstyliów i sprzedają je właśnie za pośrednictwem wspomnianych platform. Szefowie jednej z najpopularniejszych tego rodzaju aplikacji, Vinted, zapowiedzieli ostatnio, że osoby, które za pośrednictwem platformy prowadzą sprzedaż komercyjną, będą blokowane.

Trend przenoszenia się rynku odzieży używanej do sieci wydaje się nie do zatrzymania. Wynika to też z badań: 28 proc. osób ankietowanych dla Wtórpolu częściej niż przed pandemią kupuje odzież używaną online. Czy żal nam będzie ciucholandów mijanych w bramach osiedli? Przez lata udało się wytworzyć w nich specyficzną kulturę kupowania, wolną od sztywnych zasad i tak różną od reguł, które rządzą butikami czy sieciówkami w galeriach handlowych.

– Gdy prowadziłam badania w ciucholandach w Poznaniu, wielokrotnie słyszałam, że klienci mieli w tych miejscach poczucie wolności i nieskrępowania. Ważna dla nich była niezobowiązująca atmosfera, która tam panuje i sprawia, że do sklepu może wejść każdy – opowiada Skowrońska. – Ale czy rzeczywiście każdy tam wejdzie? Chcielibyśmy, by dało się powiedzieć, że to są miejsca egalitarne, gdzie spotykają się osoby z różnych środowisk społecznych. To jednak nie takie proste. Ciucholand łączy różnych ludzi, ale nie wszystkich. Istnieją różne rodzaje lumpeksów, które przyciągają konkretne grupy klientów: miejsca tańsze z odzieżą na wagę, droższe idące w kierunku wyselekcjonowanych vintage shopów. Jest wciąż spora grupa osób, dla których wartością jest „nowość" ubrania – dodaje.

Ważnym czynnikiem, który warunkuje uczestniczenie w lumpeksowym wyścigu i uzyskanie satysfakcjonującego wyniku, jest czas.

– Zakupy w takich miejscach są dosyć angażujące, dlatego częściej spotkamy tam osobę zajmującą się domem, pracującą w wolnym zawodzie czy będącą już na emeryturze – tłumaczy Skowrońska. – A przy rosnącym trendzie przenoszenia się obrotu używaną odzieżą do sieci lumpeksy mogą utracić nawet ten walor łączenia ludzi, który mają dzisiaj. Bo emerytki czekające na otwarcie sklepu w dniu dostawy nowego towaru nie spotkają się już ze studentkami, które przeniosą się w poszukiwaniu perełek do sieci. I ciucholand znowu będzie raczej miejscem dla osób wykluczonych, z bardzo różnych powodów.

Tajemnica

Przed południem towar z nowej dostawy jest już mocno przebrany, ale nieliczni znajdą jeszcze coś dla siebie. Jedna z klientek wychodzi z wypchaną po brzegi foliową reklamówką, inna wciska tylko jedną rzecz do eleganckiej torebki, z którą pojedzie prosto do pracy. Dla ekspedientki przychodzi chwila względnego spokoju. Przez resztę dnia klienci będą się snuć po sklepie leniwie, wchodzić i wychodzić, wprawiając przy tym w ruch wiszące nad drzwiami, lekko obdrapane z brokatu świąteczne dzwoneczki. Za kilka dni powtórka, świeży towar, na chodniku przed wejściem znów ustawi się kolejka.

A gdzie dokładnie dzieje się ta historia? Niepisana zasada wprawionych łowców mówi: adresów ulubionych ciucholandów nie należy zdradzać nikomu.

©℗ EWELINA BURDA

Korzystałam z książki Marty Skowrońskiej „Drugie życie przedmiotów. Second hand jako zjawisko społeczne".

STANISŁAW

Mancewicz:
Niedosyt i przesyt

Zanim nas wezwą na oględziny, pomiary i przesłuchanie do Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii, wypada się rozluźnić. Domyślać się wolno, że ta absolutnie nieunikniona wizyta będzie kolejnym, przeciekawym momentem w naszym kolorowym – co tu kryć – życiu. Oto wszystkie rozmowy z funkcjonariuszami takiego bądź owakiego państwa polskiego pozostawiły na naszym steranym mózgowiu głęboki odcisk. Czasem niosły uczucie niedosytu, a czasem, jakże często, tłustego przesytu. Niedosyt i przesyt, te dwa przepiękne słowa oddają wszystkie emocje po wyjściu z dowolnego gabinetu polskiego funkcjonariusza partyjno-rządowego.

Spodziewane, rychłe wezwanie do siedziby lokalnego oddziału Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii na pomiary, oględziny i przesłuchanie oraz – a jakże – na podpisanie tajnego zobowiązania do współpracy, uruchamia – owszem, może na zapas – naszą chorą wyobraźnię. Należymy do grupy najskrajniej rechotliwych staruchów, którym wszelakie pomiary, mimo wrażliwości na łaskotki, bardzo odpowiadają. Odpowiadają także dowolne badania, wizyty w zawsze bardzo brzydkich gabinetach, lektura oficjalnych pism pisanych przebrzydką polszczyzną, a wypowiedzi polityków polskich na dowolne tematy, w tym apele o zwiększenie tzw. dzietności, sprawiają nam zawsze mnóstwo frajdy. Lubimy tego słuchać, choć mamy niedosyt. Wydaje się – to ciekawe – że polski polityk dowolnej zresztą maści zatrzymuje się w swych rozważaniach na temat zwiększania dzietności tuż przed najciekawszym. Wygląda to, jakby znienacka wyjmował policyjny – pardon – lizak. Choć dobrze widać, że dalej, za lizakiem, coś się dzieje, to owa żywa akcja-narracja jest przed nami, Polakami, skrywana. Trudno się więc dziwić, że naród polski, pozostając w niedopowiedzeniu i zastopowaniu, nie uruchamia dzietności bądź też jest w tej kwestii ogromnie ślamazarny, tkwi w domysłach i niepokojącej demografów amatorszczyźnie. To, co ważne, jest po prostu niejasne, niedopowiedziane, nieopowiedziane bądź opowiedziane źle. Tak z narodem postępować nie można. Naród ma prawo, by opowiadania o dzietności były czynione z werwą i talentem. Do końca.

Ktoś zwróci nam teraz rezolutnie uwagę, że przecież są jakieś kościelno-rządowo-partyjne wykłady na te tematy. Rzec jednak trzeba – o czym tu już napomknęliśmy – że polszczyzna tych materiałów jest hałaśliwie zgrzytliwa, z owych publikacji unoszą się odgłosy zakładów koksujących bądź wulkanizujących, zapachy zaś mazutu i spawarki. Są to publikacje niezrozumiałe i brzydkie. Słowem, próżne są nadzieje, że cokolwiek w sprawie dzietności – za przeproszeniem – drgnie. Powołanie Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii, z solidnymi – jak czytamy – pensjami dla rzekomych fachowców, z ustawowo umocowanymi uprawnieniami do pomiarów, badań i analiz, może być kolejnym problemem tego rządu i jego wielbicieli. Otóż domyślić się łatwo, że są w Polsce rzesze ludzi, którzy nie chcą być patriotami na miarę pisowskich definicji, że będą kryć się po lasach, będą zmieniać tożsamość, w tym oczywiście płciową, będą się niepatriotycznie przebierać, nie mają bowiem ochoty na badanko przeprowadzane przez inspektora Polskiego Instytutu Rodziny i Demografii. Dodajmy, że funkcjonariusze tej służby będą mieli mundury. Na pewno. Żyjemy przecież w czasach postępującego, a groteskowego militaryzmu. Za mundurem panny sznurem – powiada prapolskie porzekadło i właśnie dlatego pracownicy Instytutu winni być wyposażeni w sorty (nie szorty) mundurowe. Projektami kroju, barwami, dystynkcjami, czapkami, formatem i długością szabelki, wszystkim tym zajmą się oczywiście protegowani przez ministra Glińskiego plastycy, których wysyp właśnie z uwagą oglądamy.

No i to by było chyba na tyle, jeśli idzie o powołaną nową polską instytucję badawczą, z rocznym budżetem 30 milionów złotych. Wypada teraz czekać na następną atrakcję. Zdaje się, jakoś po świętach parlament zatwierdzi budowę Narodowego Instytutu Badań nad Polskim Genem Sprzeciwu im. Trofima Łysenki. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

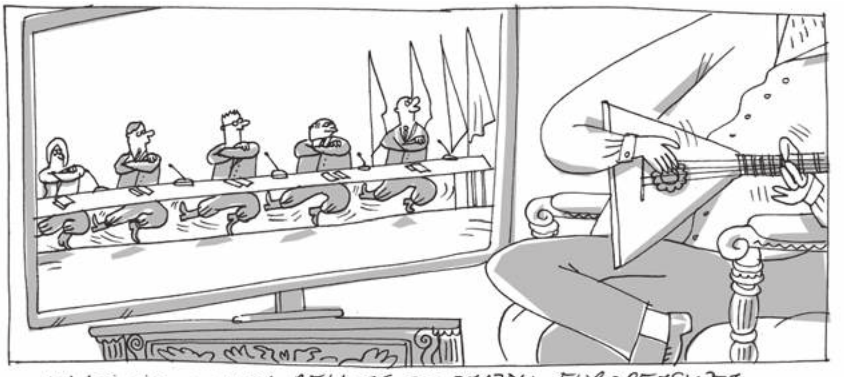

WŁADIMIR OGLĄDA RELACJĘ ZE ZJAZDU EUROPEJSKIEJ PRAWICY W WARSZAWIE.

REKLAMA

SCENARIUSZ I MONTAŻ TOMASZ WOLSKI ANIMACJA ROBERT SOWA MUZYKA BARTŁOMIEJ TYCIŃSKI, DJ LENAR
PRODUCENT WYKONAWCZY MARCIN LIWARCZYK PRODUCENT I KIEROWNIK PRODUKCJI ANNA GAWLITA PRODUCENT WYKONAWCZY ANIMACJI KRAKÓW FILM KLASTER – CENTRUM ANIMACJI W KRAKOWIE PRODUKCJA KUJORA FILM, TELEWIZJA POLSKA S.A., INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ DYSTRYBUCJA MAYFLY
1970
W KINACH OD 10 GRUDNIA
TVP2
RZECZY
GOŚĆ
kontakt
GŁOS KULTURY
ekrany
kijora
TVP
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Krakow Film Klaster
Krakow Animation Center
mayfly

REKLAMA

Włącz Święta z RMF Classic

Teraz gramy tylko świąteczne przeboje
przez cały dzień!

rmfclassic.pl